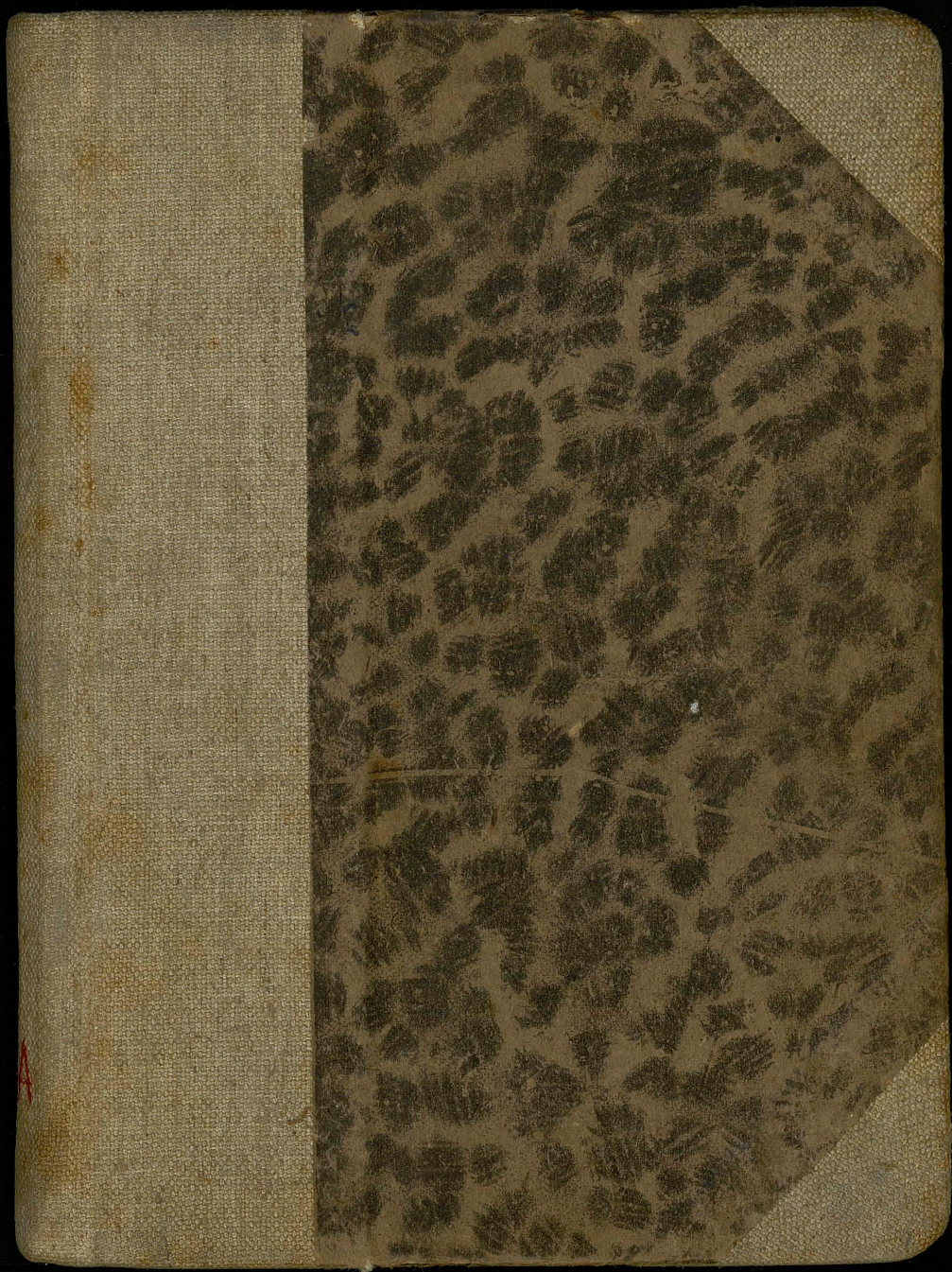
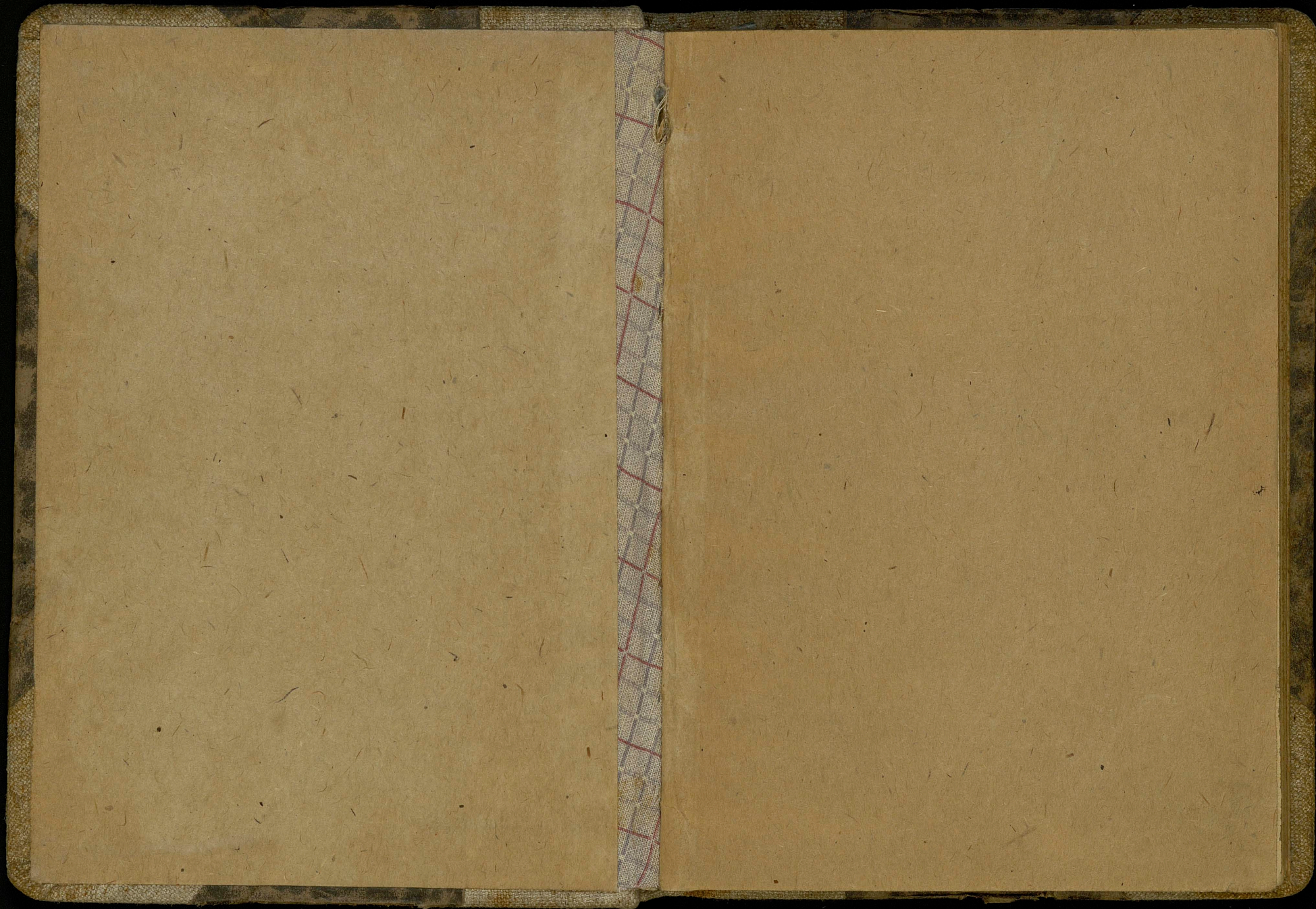
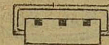






641/316
nuk - te
n^o 40
HEL. ROMER

SWOI LUDZIE

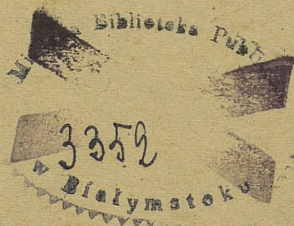


WILNO 1922.

NAKŁADEM I DRUKIEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO
KSIĘGARNIA STOWARZYSZENIA NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO W WILNIE
M. ARCT: W WARSZAWIE, POZNANIU, LUBLINIE, ŁODZI, I LWOWIE

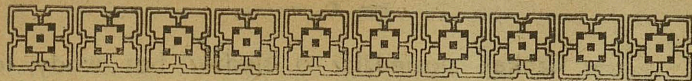


884-311.6



R. 126 z 6.7.45

Tłocznia „LUX”, Wilno, ul. gen. Żeligowskiego 1.



PAN I PODDANY.

(1863 ROK).

Z powodu przesyłania pocztą korekt autorskich wkradło się do pierwszej połowy niniejszej książki kilka przykrych błędów drukarskich, które prosimy poprawić przed przeczytaniem:

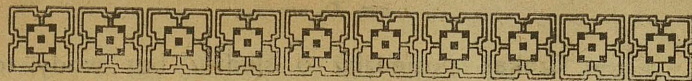
Na str.	22 wiersz 13 z góry—	zamiast „Monstancjj”	winno być „Monstrancji”
„	koniec 35 i pocz. 36	„ „Powtanie”	„ „ „Powstanie”
„	47 wiersz 7 z góry—	„ „korzuch”	„ „ „kożuch”
„	52 „ 3 „	„ „rdle”	„ „ „rondle”
„	76 „ 3 z dołu	„ „korzuch”	„ „ „kożuch”
„	82 „ 8 z góry	„ „durza”	„ „ „durna”
„	82 „ 10 z dołu przed słowem „gęby”	opuszczono wyraz	„rozdziawiastość”
„	82 „ 10 „	zamiast „roskosznie”	winno być „rozkosznie”
„	86 „ 16 z góry	„ „sposobności”	„ „ „sposobności”
„	89 „ 14—15 „	„ „pqsowe”	„ „ „ponsowe”.

lesie chodzi, a?..

— Mnie nic do tego, kto po lesie chodzi, czy ruskie, czy panowie, aby szkody nie było.

— Nic więcej nie wiesz?

— Nic.



PAN I PODDANY.

(1863 ROK).

— Więc tak a tak, Jurko Sulżycki, nie poznajesz się, że panom pomagałeś w miatieży przeciw ruskiemu gosudarowi, który was z pańszczyzny uwolnił?

— Mnie pan dawno pańszczyznę darował!..

— Małczy ty swołocz! Ja ciebie pytam, czy ty im strzelby do lasu nosił? Czy ty w leśniczówce broń im przechowywał? Czy ty paniczów uzbrojonych we dworze widział? Czy twój pan do miatieży należał, czy nie? Czy ty sam, chamie niewdzięczny, buntował się przeciwko jego imperatorskiej mości cesarzowi Aleksandrowi II, czy ty polskim panom pomagał? Gadał, a to zęby wybiję i różgami sieć każę—wrzeszczał coraz bardziej rozzłoszczony urzędnik policji w komisji śledczej wileńskiej.

Spokojny, łagodny, ale pewny głos więźnia w kajdanach, stojącego przed stołem, odrzekł:

— Nic ja nie wiem i nie widział. O żadnym buncie nie słyszał. Leśnik jestem i lasu, drzew swoich pilnuję.

— A jakże ty pilnujesz, kiedy nie wiesz, kto po lesie chodzi, a?..

— Mnie nic do tego, kto po lesie chodzi, czy ruskie, czy panowie, aby szkody nie było.

— Nic więcej nie wiesz?

— Nic.

— Czekaj, posiedzisz o śledziu bez wody, to inaczej my pogadamy z tobą, chamie ty przekłety! Czego ty trzymasz się panów, czego ty im dobrze życzysz? Oni krowopijcy wasi, oni was w poddaństwie trzymać chcieli, a car uwolnił, oni was biją, katuja? Nu gadaj, prawda?

— U naszego pana nikogo nie bili — odparł Jurko Sulżycki spokojnie, podnosząc swoje siwe oczy na rosyjskiego żandarma, który był czerwony ze złości.

— Pies pański! — wrzasnął moskał wściekły.

Jurko Sulżycki westchnął i przeżegnał się, spojrział przez okno na niebo, którego kawałek widać było nad murami ostrogu (więzienia) i zamyślił się tak głęboko, że nie czuł prawie, jak popychając i szturchając go w plecy popędzili z powrotem do kazamaty.

Za co on tu siedział? To sobie rozważał dzień i noc w bolącej głowie i coraz to odpowiadał sam w sobie.

— A ot, taki, moja prawda, nie ich.

Nie za panów on poszedł do lasu, Jurka Sulżycki, choć z panami razem, nie za panów on bić się szedł z moskałami, ani za pańskie majątki. Za całą ziemię litewską, za kościoły i za dwory i za chaty, żeby w nich każdy, jak mu Bóg przeznaczył, swoją mową się modlił i swoją mową dzieci nauczał. Żeby ruskich nie było urzędników — pijaków i złodziei, co łajali, kradli i o byle co w mordę bili.

Jurka Sulżyckiego nikt nie bił, bo tej mody nie było w wielkich majątkach pana Sulistrowskiego i pan tego pilnie przestrzegał, by nawet do głowy nie przyszło ekonomom znęcać się nad chłopem. Nie jednemu, pracowitszemu, pańszczyznę pan darował, innych oczynszował, a we dworze, jak w domu rodzicielskim, nigdy nie brakło pomocy, ani nauki. Więc i od tych rozmów z dziedzicem i z panią,

rozjaśniło się Jurkowi w głowie. Przestał być jak ciemne bydło, któremu obojętne, w jakim jarzmie chodzi i kto je batem popędza. Zrozumiał, co wolność kraju, a co niewola znaczy. Do głębokości swojego prostego serca wziął tą myśl i nosił ją ze sobą wszędzie: nie powinno tu być obcych, my u siebie sami gospodarze, a obcy won! Musi być wolność na naszej ziemi.

I jak nadeszły takie wieści, że panowie robią bunt przeciw cesarzowi, a do panów przyłączają się w imię Boże chłopci, najwięcej na Żmudzi, gdzie nawet po polsku nie rozumieją wcale, ale chcą za wolność Litwy i Polski walczyć, wtedy Jurko Sulżycki poszedł do wikaręgo, księdza Żuka, do spowiedzi i wyznał mu, że on też chce iść „do lasu”. Kiedy to wyrzekł cicho, przez kratkę konfesjonału posłyszał, że ksiądz poruszył się niespokojnie; zaczął więc powoli tłumaczyć, że może to grzech ludzi zabijać, ale on postanowił życie ofiarować za wolność kraju.

— Nie prosili my tych ruskich, żeby oni przyszli, na co nam ich? Kościoły zamykają, naród unicki za wiarę męczą i biją; wszystkich chcą na ruskich przerobić... a Polska nie chce niewoli, i Litwini nie chcą, tak mówił pisarz gminny, pan Dobkiewicz, i my pójdziem, zmiłuj się Ojczy duchowny, daj rozgrzeszenie, jak żołnierzowi!

I kiedy to mówi, patrzy Jurka, aż młodemu księdzu po bladej twarzy łyzy kap, kap z pod powiek i aż na komeżkę płyną.

Zdziwił się bardzo i przestraszył Jurka, ale i nie miał czasu pomyśleć, co to znaczy, kiedy ksiądz podniósł rękę, pobłogosławił go łacińskimi słowami, a potem pochylił się i rzekł:

— Ja z wami.

I od tego dnia rozmawiali otwarcie i sprawy różne załatwiali ważne i sekretne. Las był ich opie-

kunem i przyjacielem. Las wyhodował Jurka od małego dziecka, bo był synem łowczego i cała ich rodzina była leśnikami, z ojca na syna.

Ten piękny, szumiący las litewski, którego głos Jurko znał jak pacierz, którego każdy szum i śpiewanie rozumiał, ta puszcza, nie dająca prawie przystępu człowiekowi, teraz zaludniła się, zadrgała nowem, dziwnem życiem. Czasami o świcie różowym, kiedy las stał jeszcze senny, a drzewa drzemały nieruchome i tylko rosa kąpała kryształowemi kroplami z każdego liścia, w krwawem świtanu zorzy, nagle, hen, gdzieś w głębi, rozlegały się strzały...

Jakieś okrzyki niosły się ponad drzewami, jakieś hałas ludzkie, a nad sosnami zrywały się stada kraków i, kracząc, zbierały się w jedno miejsce, na żer. Znaczyło to, że tam była bitwa. Że tam, w sercu kniei, ludzie szarpali sobie ciała kulami i bagnietami, że tam wolność walczyła z przemocą.

Czasami o zmroku, dziwne postacie przemykały się do chaty łowczego, czasami on, obładowany worami, sunął cicho w łapciach, skacząc po rojstach, z kępy na kępę, lekko jak kot, dążąc do jakiegoś ukrytego miejsca. Raz w nocy, powoli, przydzwigał ciężar nie mały. Rannego powstańca, który umarł nad ranem, powtarzając:

— Dla Ciebie, Polsko, słodko umierać.

Młody był, miał ręce białe i delikatne, choć widać, że od tygodni przebywał w lesie, nie rozbiegając się i nie myjąc. Pierścień miał złoty i zegarek. Jurko pochował go pod krzakami leszczyny, papiery i rzeczy odniósł na plebanję, i często, gdy był w domu, siadywał na progu chaty, kurzył lulkę i medytował, jak to słodko umiera człowiek za Ojczyznę.

I mimo niebezpieczeństwa, dobrze było Jurkowi, aż któregoś wieczora przychwycili go kozaki w odległej

wiosce i zbili, bo nie wierzyli jego zmyślonym interesom. A że oddawna zauważyli, że ktoś powstańcom daje znać o ruchach wojska i amunicję im przynosi, a Jurko za często z domu wychodził, więc podejrzenia były.

Choć się nie przyznawał, zaparli go do więzienia w Wilnie i tu od kilku miesięcy dręczyli go pytaniami.

Ale on milczał, jak kamień. Bili go kilka razy, ale on nic nie wyznał. A wiedział nie mało. Wszak znał z twarzy i z nazwiska tych paniczów, których widywał w lesie, w obozie powstańców. Wiedział z jakich są dworów i co tu robią. Ale ani myślał zdradzać ich i coś mówić. Myślał sobie: Pomęczą i puszcza, aby przetrzymać.

Ale męczył się. Turma go gniołła, jak kamień grobowy. Jego wyhodował las, szumiące sosny kołysały od urodzenia do snu, a mech zielony, miękki i pachnący, za posłanie nieraz służył; on, leśnik i myśliwy z ojca i dziada, dusił się w ciemnych murach smrodliwego więzienia. Posadzili go przytem z brodiagami, jakimiś złodziejami, którzy cały dzień klęli, kłócili się, łając obrzydliwemi słowami, albo opowiadali, przechwalając się, swoje paskudne postęпки. Jurko, który więcej żył w lesie samotnie, niż z ludźmi, i nawet nie ożenił się, bo nie znalazł, jak sam mówił, cichej dziewczyny, coby mu w chacie głowy nie dużyła, przywykł do poważnej ciszy lasu, do jego wieczornych i rannych pacierzy, kiedy to Bogu śpiewa żywioł wszelki, a puszcza kołysze powiew jakiś łagodny, jak tchnienie. Stwórco, dającego życie roślinom, zwierzętom i ludziom.

To też teraz, całymi dniami, siedział w kącie; osowiały, senny, patrząc przed siebie szklanemi oczami, nie słuchając i nie widząc, co się w koło działo. Zapatrzył się w te obrazy dawnego życia i tam znajdował pociechę.

Śnił nocami, że tam wrócił, że znowu lekko, cicho, skacze w łapciach po kępach, tropów łosi, czy saren wypatrując, albo szukając legowiska niedźwiedzi, na obławę dla panów, albo co tchu do powstańców niesie ważne nowiny.

I zdawało mu się, że słyszy jak las go wita i szumi: „Jurko, Jurko Sulżycki, ty wrócił do mnie, ty mój syn i mój druh, ty leśny człowiek wolny, ty myśliwy ważny, tobie moja zwierzyna, moje jagody i grzyby, tobie moje szumienie i kołysanie, słuchaj jak las śpiewa“...

I różne takie obrazy snuły się przed oczami: jak obławy były wielkie i weseli panowie strzelali, pili, zapraszali Jurka do kompanji, po rojstach i ostepach z nim chodzili, grubego zwierza tropiąc.

To znów, jak do dworu chodził, zwierzynę nosząc; dla małych panienek ptaszki błotne, bekasy, tłuste przepiórki i kuropatwy, cietrzewie i głuszce dla państwa. Pan do kancelarji wołał i o las rozpytywał, a Jurko wszystko powoli i rozważnie tłumaczył.

Snuły się przed jego pamięcią święteczne dni i piękne nabożeństwa, w białym kościele na wzgórzu, procesje i kiermasze, dożynki i sianokosy, kiedy to wychodziło z chat może sto ludzi, w białe płótno odzianych, mężczyźni i kobiety, i żeli czy kosili, a potem wracali mimo lasu śpiewając: „Zara moja, ty wieczornaja, czemu ty rano tak za les zaszła?“ albo „Horek, horek piałun, u harodzie, nie harczej że jemu, jak mnie byci“. Głosy szły daleko, daleko, po wodzie jeziora, a po lesie echo odpowiadało aaa, tęsknie, jękliwie... Dziewczęta wianki płotły i wyglądały jak lilije w białych płótniankach i łapciach tykowych na nogach. A gdy która za mąż wychodziła, szli młodzi do dworu po błogosławieństwo i Państwo

wieńczyli pannę młodą. Pani dawała jej płótna na nowe gospodarstwo i owieczkę, a na głowę wkładała dziewczynie zawiązkę, całą kwiatami i błyszczącymi nitkami oplecioną. A potem tańce i tańce, cały dzień i całą noc w ciasnej stancji. Uj-ha! Krucielica, miacielica! drobno, drobno i prędko! co raz prędejj, aż w głowie się zmaci i świat cały w kółko się kręci. Jurko, choć taki spokojny i trochę mrukowaty, a tańczyć, strach jak lubił! Pić wódki nie lubił, ale jak poszedł krakowiaka, lepietuchę polkę, czy miacielicę na weselach, to już dziewczęta tylko patrzyły, żeby brał i kręcił, jak wiatr, z miejsca prawie nie scho-
dząc.

I teraz, siedząc sennie na więziennej pryczy, zdaje się Jurkowi, że słyszy tę nutkę: „Oooj! ty dola, dola, dola, ty maja! Oooj! ty, oj ty, oj ty, doleczka maja!“! Najprzód skrzypki pociągną długo, zajączą, zaniosą się narzekaniem, a potem pocieszają, jakby naśmiewały się z lamentów, jakby mówiły: cóż robić? Jaka jest dola chłopska, taka jest, a ty poskacz bracie, kiedy zdżasz. I cymbały dzwonią do wtóru, jakby kryształowy deszcz sypał perłami, a bęben potakuje.

Jurko, wytańczywszy się, szedł sobie potem rankiem do leśniczówki i pogwizdywał wesoło miacielicę, a rozmaite ptaszeczki leśne i polne odpowiadały jemu: tiurli, tiurli. Albo jeżeli zimą, pośpiewywał głośno: „Oto porosza dla nas myśliwych, daj że nas Boże, widzieć szczęśliwych“. I czego jemu brakowało? Żył z matką staruszką, w czystej chacie, obowiązek spełniał, głodno, ani chłodno nie było... ot i zechciało się chłopu leżeć w pańskie interesy! Jakaś gorycz podeszła Jurkowi do duszy i za gardło zdusiła. Czego on lał? Czy to jego sprawa? A może i jego? Jak jedna ziemia i jeden chleb, jak te same drzewa i pola, to musi być wszystkim ten sam inte-

res. Choć wiadomo, panowie bywają rozmaici, ale zawsze swoi. Ten sam im kościół, ten sam cmentarz, a tamci obcy. Obcych nie trzeba, zresztą nie sami panowie byli w powstaniu, poszli i ludzie prości, i księża, i rzemieślnicy. Więc i dobrze robił Jurko Sulżycki, że nosił powstańcom czego im było trzeba, bo oni chcieli wolności dla narodu i całej ziemi, tylko że teraz tak nudno, że zdaje się dusza kona w tej turmie. Żeby kto przysłał wiadomość, żeby kto dowiedział się o niego? Ale kto o prostego człowieka spyta? Zdychaj chamie, a nikt nie zapłacze, chyba matka stara...

Znów Jurkowi stało gorzko na duszy. Pomyślał: „Pan nasz bogaty i majątków ma, że za dzień nie obejdiesz, może by i mógł mnie pomóc, ale czy tam pomyśli? Dużo ma ludzi, interesów, dzieci... gdzie tam jemu zajmować się leśnikiem swoim. W turmie siedzi, to siedzi... zgnije tu, czy na Sybir popędzą do katorgi, a pan jak panował we dworze tak i będzie. A może i pana wzięli? A może wypędzą z pięknego dworu? Przecie słyszał i widział jak bogatych, młodych szlachciców zabierali ze dworów, od żon, od dzieci i pędzili piechotą w kajdanach, księża tak samo więzili i bili... Nie, panom też nie lepiej teraz, może gorzej. Wszak oni bunt przeciw carowi zrobili, na nich kary najsroższe, sztrafy największe.

Nic już Jurkowi nie pomoże... Nikogo on swego nie zobaczy, tylko te mordy zbójckie... A tu tęsknota coraz mocniej serce gryzie... i nuda... i żalność...

— Ubieraj się w kancelarju, — ryknął nad nim jakiś głos.

— Co, czego, jeszcze śledztwo? ja nic nie wiem! — bełkotał wystraszony Jurko, zrywając się z pryczy.

— Idi, idi, nie razgawarywaj... — popychał go stróż więzienny.

Powłókł się biedak, szepcząc pacierze.

— O co oni mnie jeszcze męczyć będą? — myślał, idąc, potykając się o łańcuchy, przez ciemne duszne korytarze.

Wepchnęli go do rozmównicy. Stało tam dość dużo osób, żołnierzy z bagnetami, więźniów i odwiedzających.

— O mój Jezul — pomyślał Jurko. — A czyż to mamę moją tu puścili! Czyż zaszła staruszcza aż do mnie...

Kiedy to myśli, patrzy, jak przez tłum przepycha się do niego jego Pan, pan Sulistrowski, a obok dwie młodsze panienki. Wszyscy czarno ubrani, panienki, choć jeszcze małe, także sukienki żałobne i kapelusiki czarno owinięte miały.

Jurko stanął, jak skamieniały. Pan podszedł i nim przemówił: Jurko... — już chłop runął mu do nóg, szlochając.

Ale i nie tknął ziemi, bo ramiona pańskie w pięknym odzieniu, objęły jego aresztancki chałat i bogaty dziedzic, jak syna, z całych sił przycisnął do serca prostego chłopca.

Jurko oparł swą młodą, jasno-włosą głowę na ramieniu pańskim, jak na ojcowskim, i szlochał aż trząsł się cały, a Pan uspakajał go dobrymi słowami i też płakał.

Wszyscy spoglądali na nich ze zdziwieniem. Nie zwykła to była rzecz w owych czasach, żeby Pan z poddanym się ścisnął i całował. A małe panienki w żałobie też płakały, patrząc na Jurka, jedna ciemnymi, druga błękitnymi oczami i sunęły mu w ręce jakieś pakunczki, mówiąc po cichu:

— To my, Jurku, dla ciebie zrobiliśmy, weź, weź na drogę, żebyś o nas pamiętał, żebyś wrócił do nas, my ciebie kochamy, bo ty za Ojczyznę cierpisz. Ty powstaniec, ty biedny, kochany nasz Jurko!

Słodkie łzy płynęły po twarzy leśnika. Już mu ani turma ciężka, ani dola straszna. Pan Sulistrowski rzekł półgłosem:

— Sulżycki, o matkę bądź spokojny. We dworze będzie i nic jej nie zabraknie. Ciebie, biedaku, nie mogłem wyratować, choć starałem się. Pójdiesz na Sybir. I ksiądz Żuk skazany. Ale ty wiesz za co ty idziesz? Prawda?

— Panoczku, — jęknął Jurko, — och, Panoczku, wiem... Ksiądz nauczał: za naszą i waszą wolność — mówił.

— Tak Sulżycki: za naszą i za waszą. W smutku i w miłowaniu niema panów i sług, są tylko dobrzy i źli ludzie, kto dobry, temu Bóg zgotuje nagrodę, nie w nim, to w dzieciach, może one, — spojrzał na córeczki, — doczekają, że za twoją mękę i za moje zgryzoty i za wszystkie nasze wspólne niedole od wroga doznane, może kiedyś prześlą nam niebo i Bóg da wolną Ojczyznę.

— Da Panoczku, — szepnął Jurko z przekonaniem.

— Teraz chciałem, żeby one przyszły pożegnać się z tobą, żeby całe życie pamiętały twój postępek. Widzisz, one sieroty, żona moja nie żyje. Podwójną żalobę noszą dzieci.

Dziewczynki, płacząc, rzuciły się ścisnąć Jurka i wspominać, jak im ptaszki i wiewiórki z lasu nosił i jak mama nieboszczka go lubiła. Jurko całował rączki panienek i pocieszał je jak umiał.

W całej rozmównicy zrobiło się cicho. Każdy patrzył na te pańskie, delikatne dzieci, na tego Pana

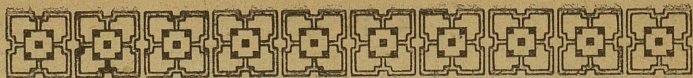
z Panów jak z aresztantem gawędzi i nad jego dolą się frasuje. Żandarm dyżurny zobaczył to zaciekanie i grubijańsko wypędzać gości zaczął.

— Bywaj zdrów, Jurko, niech Bóg prowadzi! — wołały dziewczynki.

— Zostawajcie z Bogiem, panoczki. Mamie mojej uklon mój niski zanieść proszę.

— Pamiętaj Sulżycki, za naszą i za waszą wolność!





BYŁO TO W KROŻACH.

O pięć mil od Rosieñ, w sercu świętej Żmujdzi jest mała miejscina, co od rzeki Krożety — Krożami nazwaną została. Na wyniosłej i stromej górze, stoi starożytna Fara, do której wierni wstępują po kilkadziesiąciu stopniach kamiennych. U stóp góry, pieniąca się i szumiąca, płynie krętą wstęgą rzeczka Krożeta, a nad jej brzegami, małe domki z ogródkami, rozsypane jak bukiety.

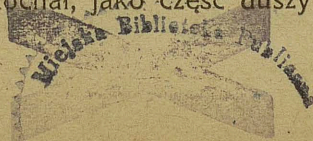
Za górą farnego kościoła, tuż za miasteczkiem, wyniosła góra Miedziokalnia wznosi swe czoło wśród pól i łąk, dawniej stuletnie rosły tam dęby, pamiętające może czasy, kiedy tam na cześć bogini Medzoima składali pogańscy litwini upolowaną z łuków zwierzynę. Góra ta prześlicznie zarosnięta, czarujący przedstawia widok. Tam lipy miodo-wonne, głogi różowe, i ciernie śnieżyste, kalina w jesieni koralami sypiąca, leszczyna, kwiaty dziwne, a wonne, jak nigdzie, wszystko to, jakby ogród rokoszny tworzy, a widok — prześliczny! u stóp góry ogromne jezioro Dorziu błękitnieje łagodną falą muskając wybrzeża. Zdala, bieleją mury dawnego collegjum jezuickiego, które tu Ojcowie Św. Ignacego Lojoli zbudowali w r. 1607 i sto dziewięćdziesiąt lat uczyli w niem młodzież litewską zasad wiary, prawa i obyczajów. Tam, nad wiecznie pieniącą się Krożetą, długi most i młyn terkoczący żwawo, dalej mury

klasztoru panien Benedyktynek i kształtny ich kościółek, bieleje nad zielonością drzew i bujnych krzewów.

Uroczy to zakątek Litwy i pełen pamiątek. Jagiełło i Witold fundowali tu pierwszy kościół w r. 1416 pod wezwaniem św. Michała, odbywały się tu sądy starościńskie dla całego księstwa Żmujdzkiego, Karol Chodkiewicz, starosta żmujdzki i hetman litewski, założył tu ogromne Collegjum, czyli szkołę jezuicką i kościół Panny Marji. Były tam przepiękne obrazy, organy sławne i dzwony potężne. Kazania tam miewał Piotr Skarga, a uczeni jezuici, poeta Sarbiewski, Wyrwicz i inni słuchali, siedząc w stallach. Potem Kroże przechodziły z rąk do rąk różnych właścicieli, zmniejszały się. Collegjum jezuitów zmieniono na świeckie, wreszcie, po rozbiorach kraju, polską szkołę zamknęli Rosjanie i Kroże stały się małą, nudną miejsciną, jakich wiele. Ale miały piękną, ciekawą przeszłość i ludzie o tem pamiętali.

Nieraz, w małych dworach, otulonych krzewami bzu i spirei, na ganeczkach, wspartych na czterech słupach, siadywali sobie starzy ludzie w kapotach, z fajeczką w gębie i gawędzili o dawnych czasach, kiedy to Kroże były pełne gwaru uczącej się młodzieży, a w dni świąt uroczystych, piękne procesje szły do kościoła parafjalnego, do klasztoru Benedyktynek. Cudne, dźwięczne dzwony, słynne na całą Litwę, nawoływały wiernych do modlitwy, a czyści ich głos wznosił się wysoko, aż zda się, ku niebiosom, by Panu zastępów opowiadać o biedach ludzkich, o ich krzywdach, zanosić dziękczynienia i prośby i modły wiernych.

A lud ten umiał się modlić. Nie ustami tylko w pieśni i modlitwie, ale sercem całym korzył się przed Bogiem i niepojęty Jego majestat uwielbiał. Z głębi duszy wołał mową rozmaitą do Boga, a w kościołach swoich, które kochał, jako część duszy wła-



snej, śpiewał lud tej krainy po polsku i po litewsku, zgodnym chórem pieśni błagalne, lub dziękczynne, szląc w niebo rodzinnego kraju.

Nie było naonczas waśni wśród dzieci tej pięknej, kochanej Litwy naszej. Wspólna je uciskała niedola, wspólny wróg mowę ich rodzinną przesładował. Wspólne też mieli mieszkańcy Kroź wspomnienia, kiedy to w latach powstań 1831 i 1863 roku, szli ramię do ramienia chłopci żmujdzy i szlachta polska, zaścianki Laudy i mieszczanin Kroski czy Rosieński.

I śpiewali sobie długie lata wspólnie, w miłości i zgodzie, a potem przyszły inne bolesne czasy.

Ale nie o tem chcę pisać. Chcę opowiedzieć co wycierpieli w Krożach Polacy i Litwini od obcych, nie od siebie wzajem, jak teraz nieraz się dzieje.

Otóż koło roku 1891, wśród rodzin, zamieszkujących Kroże, jedną z najpobożniejszych w tym pobożnym ludzie, była rodzina Trakstelisów, składająca się ze staruszków Kazimierzostwa Trakstelisów i wnuczki ich jedynej, Anuli.

Rodzice Aniuliti, jak ją z litewska nazywali, pomarli jednego roku na cholere, a starszy syn Trakstelisów zginął w 63 roku w powstaniu w partji Narbutta. Młodość więc i dzieciństwo Anuli było smutne i pełne opowiadań o dawnych czasach, o polskim powstaniu, o prześladowaniach religji przez moskali, wywożeniu księży i zamykaniu kościołów. Dziadkowie opowiadali jej kolejno o tych smutnych i pięknych zdarzeniach, i dziecko, jakby przygniecione było ciężarem tych łez i krwi wylanej.

Błada była i chuda Aniulitia i niewesoła, a mimo to podobała się każdemu, bo smukła była i zgrabna, cicha, spokojna, a kiedy wzniosła swoje siwe oczy do góry i zaśpiewała w kościele, ser-

ca ludzkie napełniały się rzewną błogością, taki słodki głos miała i takie niewinne, czyste spojrzenie.

Ubrana zawsze ciemno, jasne warkocz koło głowy owinięte, przykryte skromnie białą chusteczką; tak szła do roboty i na Mszę, tak ją widzieli na zabawach, jeśli czasami gdzie poszła. Nie lubiła tańców, ani głośnych zabaw i płocha młodzież przeżywała ją czasami mnishką zato, że wołała w kościele przesiadywać, jak na tańcach.

Ale że Aniulitia nikomu swoją pobożnością nie przeszkadzała się bawić, nie musztrowała innych, ani sądziła ostro, owszem, była miła i słodka w obejściu, więc jej nikt nie dokuczał i jeśli kto żartował, to wesoło i życzliwie, z żalu, że taka ładna, miła i zamężna dziewczyna od ludzi stroni.

A ona chodziła sobie po robocie na łąki, rwała śliczne kwiaty, które tam tylko, nad Krożętą, rosna i nosiła bukiety do kościoła Benedyktynek, strojąc ołtarz, rozmawiając z siostrami, z których jedna była jej daleką ciotką i uczyła ją czytać, pisać i śpiewać pobożne pieśni.

Czasami nawet myślała, że gdyby dziaduńkowie, którzy są już starzy, umarli, to ona by może wstąpiła do klasztoru, pod wielkim sekretem, bo to było przez rząd rosyjski zakazane. Lubiła bardzo białe mury klasztoru, znała każdy zakątek, obrazy w ołtarzach, tafelki wielkich okien. Najlepiej jej było siadywać u progu kościoła i spoglądać z wysoka na rozległy kraj daleko, daleko, rozciągniiony, rzewny, szumiący, śpiewający i cieszący się ludźmi i ziemią w obliczu Boga.

Zdawało się wtedy pobożnej Anuli, że jakiś niewidzialny aniół Boży płynie cicho i powoli przez przestrzeń i skrzydłami swemi muska rozpalone czoła rolników i zmęczone oczy uczonych, i kołysze bóle serdeczne i uspakaja złości. Myślała, że o ta-

kiej cichej, świętej godzinie, nikt, nigdzie, nic złego nie może zrobić. I modliła się serdecznie, żeby Bóg dał dobrym ludziom szczęście, a złym opamiętanie, żeby na cały kraj spłynęło takie słodkie uczucie jakie ona czuła w duszy.

Właśnie w roku 1893 maj był wyjątkowo piękny, bzy po ogrodach kwitły i jaśminy, a zapach się rozchodził daleko, a cały kościół był jak jeden bukiet, tyle tam dziewczęta przyniosły kwiatów.

Aniulitia od jakiegoś czasu słyszała koło siebie ludzi opowiadających, że mają zakonnice, Benedyktynki, wywieźć precz z klasztoru i kościół zamknąć.

Ale myślała, że to jakieś bajki; tak jej się wierzyć nie chciało, żeby ktoś chciał dokuczać spokojnym siostrzyczkom, które nic złego nikomu nie robiły, sto sześćdziesiąt lat chwaliły Boga w czystości chrześcijańskiej, a dzieci miasteczkowe uczyły robót, pieśni i katechizmu.

Aniulitia u siostrzyczek nauczyła się czytać po litewsku i po polsku; bo choć w domu mówili Trakstelisowie po litewsku, to jednak po polsku umieli, i jeśli się zdarzało, że ktoś do nich po polsku zagadał, odpowiadali bez namysłu w tym języku. Bo w owe czasy były to mowy bratnie.

Otóż na wiosnę w roku 1893, mieszkańcy Kroź dowiedzieli się ze zgrozą, że nie tylko rząd rosyjski każe dziewięciu staruszkom, mieszkającym w klasztoru, wynosić się na dożycie swych lat sędziwych do Kowna, ale Kościół ma być zamknięty!

To wszystko w głowach spokojnych ludzi, nie mogło się pomieścić! Za co? Dlaczego? Nikomu nic złego nie wyrządzali, podatki płacili regularnie, z policją spraw nie mieli, buntów żadnych nie podnosili. Cicho żyli i nadto już widać pokornie, kiedy taki gwałt im zadają bezprawnie.

Wierzyć nie chcieli, żeby to sam cesarz taki wyrok podpisał. Zaczęli podawać prośby, żeby przynajmniej kościół obronić. Parafjalny stary był, po pożarze z drzewa tymczasowo odbudowany, rząd nie dawał pozwolenia na murowanie nowego, więc niech klasztorny będzie, do użytku wiernych.

Zakonnice tymczasem wywieziono. Oj płakała Aniulitia, mało jej serce nie pękło, a z nią wszystkie dziewczęta i baby, a nawet i niejednemu mężczyźnie łzy w oczach stanęły i pięści się zaciskały, patrząc jak staruszki, chude, przygarbione, popędzali uradnicy „skarej, skarej”; na wózki, śpiesząc się, jak złodzieje co cudze dobro kradną. A tylko, jak wilki w szkodziu, oglądali się w koło, niespokojnym wzrokiem, w strachu, że im kto łbów nie rozwali, za taki zbojecki postęppek.

Ale lud jest długo cierpliwy.

Odprowadzili zakonnice jak mogli najdalej, obdarowali czem mogli na drogę. One, ucałowawszy każda próg domu, który była przysięgła nie opuścić aż do śmierci, płacząc i błogosławiąc cisnący się lud, odjechały.

Zaczęły się starania o kościół. Otrzymywano odmowne odpowiedzi, wciąż jednak z litewskim uporem, proszono na nowo.

Jednak biskup żmujdzki, kazał kościół zamknąć, i ksiądz Możejko, wikary, odprawił 8-go sierpnia ostatnie nabożeństwo. Płacz był w całym kościele, ale oczy ludzkie zalane łzami, błyszczały jakimś ogniem wewnętrznym. Już byli się zmówili wszyscy, co mają robić. Lud litewski się zbudził i zawział się bronić swych świętości.

Jakże to? Nie dosyć, że tu nikt w mowie swojej, ani po litewsku, ani po polsku uczyć się nie może! Nie dosyć, że litewskie książki z narażeniem życia z Prus przekradać trzeba, a polskie policja też za-

biera, gdzie znajdzie, nie dosyć, że wszystko dla Polaków i Litwinów, po moskiewsku: i w szkołach, i w urzędach, i w gminie — jeszcze ostatnie dobro, ostatnią pociechę, — Kościół ludziom mają odbierać? A nie! Tego już nadto! Nato Krożanie nie pozwolą.

To też ledwie ksiądz Możejko, błądy i zmęczony, wyszedł z Najświętszym Sakramentem na korytarz klasztorny, tłum otoczył go z płaczem i krzykiem, żeby od nich Boga nie zabierał i ich sierotami nie zostawiał! Oni grozili już, że sami odbiorą, jeśli ksiądz jak zdrajca, moskali słuchać będzie.

Aniulitia nic nie mówiła, tylko padła na kolana zagradzając przejście i wznosząc ręce ku Monstancji, którą ksiądz trzymał, wołała w głębi duszy: „Boże nie opuszczaj nas!“ „Boże, nie daj nas na zatarcenie“.

Wreszcie ksiądz postawił w kątku Najświętszy Sakrament i najstarsi ludzie powoli, z uszanowaniem, odnieśli Go do ołtarza. Ksiądz stehórzył i uciekł. Nastąpiła narada. Zapadło postanowienie dzień i noc stróżować koło kościoła, a nie dać zamknąć. I tak się stało.

Z wysokiego wzgórza, na którym stoi klasztor, widać było całą okolicę. Straż, gdy tylko zobaczyła kogoś podejrzanego, biła w dzwony, i całe miasteczko się zlatywało, zwartym kołem otaczając ukochaną świątynię.

Zaczęły się dla Aniuliti dni i noce jak nie z tego świata. Wszystkie historie jakich się nasłuchiwała od starych ludzi, o gwałtach i prześladowaniach moskiewskich, o męczeństwie pierwszych chrześcijan, stanęły jej żywo przed oczyma.

Czuła, że i tutaj stanie się coś podobnego.

Wszyscy zresztą żyli jak w gorączce. Każdy był gotów życie oddać z radością. Zawzięli się ludzie i rozpalili się ich serca tem większą miłością do

swego kościoła, im większą była złość tych, co tym pobożnym i nikomu nic złego nie wyrządzającym ludziom, chcieli odebrać ich świętość.

Aniulitia z innymi kobietami stróżowała kolejno, to w dzień, to w nocy. Przyrządzała dla wartowników żywność, na którą się składała cała okolica. Daleko rozeszła się wieść, że oto Krożanie chcą obronić swój kościół i wielka ztąd dla nich wzrastała sława i uszanowanie.

Często w nocy, gdy dziewczęta zebrane cicho nuciły: „Diewas musu gelbotojas“ (Bóg nasz obrońca) lub „Serdeczna Matko“, na przemiany, zdawało się Aniuliti, że już umarła i że oto leży w kościele w trumnie.

Mała lampka przed Najświętszym Sakramentem oświetlała tylko krążek podłogi, a wszystkie kąty były ciemne i tajemnicze, zdawało się, że szły jakieś westchnienia i szepty od ołtarzy, jakby sam Bóg i święci Pańscy użalali się nad swym ludem dręczonym niewinnie. Coś w cercu Aniuliti drżało wtedy, jakby w oczekiwaniu czegoś strasznego, ale zarazem błogość niezmierna ogarniała ją całą, że czuła się gotową każdej chwili życie oddać u stóp ołtarza, a nie odstąpić odeń ani kroku.

Takim sposobem dociągnęli biedni Krożanie do jesieni i zimy. Już listopad ziemię zmroził, tylko bystra Krożanka nie dawała się skuć w kajdany lodowe, i mrucząc, a pieniać się po kamieniach, śpieszyła dalej, i dalej, nieść wieść o Kroskich nieśczęściach. Aż oto w nocy, zatętniły pod kopytami licznych koni kamienie w miasteczku. Kościół otoczyli już bure wilki-uradnicy w swych niezgrabnych kapotach. Wnet zaturkotały powozy i wieść się rozeszła, że sam gubernator Kowieński Klingenberg, Niemiec i moskal w jednej osobie, przyjechał zamykać kościół i ukarać buntowników przeciw woli carskiej.

Na czele uradników i urzędników, pędząc przed sobą księdza dziekana Jastrzębskiego, ruszył pan Gubernator do drzwi kościoła. A błądy był, a wystraszony i zły, tylko rzucał oczami dokoła, tak się bał, że ktoś go jak psa, zastrzeli za ten rozbój po nocy. Na mowę księdza i gubernatora, namawiających ludzi by się nie buntowali, drzwi kościoła się otwarły i ukazała się gromada ludzi, niosących dla obrony portrety carskie. Biedni! Nie wiedzieli już czem przekonać moskali, że ani buntu, ani złej myśli nie mają w sobie, że oddają się pod opiekę panującego i tylko proszą by ich tak strasznie nie krzywdzić.

Ale ten widok rozwścieczył tylko gubernatora, który kazał odpychać ludzi ode drzwi i rozpędzać nahajami. Uradnicy, jak istne wilki krwi chciwe, zaraz świsnęli raz i drugi po twarzach i plecach mężczyzn i kobiet. Tego już było nadto. Spokojni Litwini zawrzeli, w duszach ich był hart i cierpliwość niezmierna, ale tego już znieść nie mogli, by niemi poniewierali w tak haniebny sposób. Głuchy okrzyk wściekłości wydarł się z setki piersi: „Bij moskali!“ ozwało się po polsku i po litewsku; mężczyźni zaczęli wyrwać koły z płotów i tłuc uradników. Zakotłowało. Wrzask i płacz kobiet, klątwy i strzały moskali, wszystko to w ciemności nocnej, oświetlonej kilku pochodniami, straszny robiło widok. Gubernator, trzęsąc się ze strachu, uciekł otoczony policją do kościoła i wbiegł, jak zając, na chór, krzycząc, by zabarykadować drzwi. Wiedział, że ratunek przyjdzie, bo rozkazał kozakom maszerować za sobą. To też nim się zdążył lud rozmówić, posłyszano nagle zdala tętent po bruku i wycie tak dzikie, że krew zmroziło.

„Kozacy!“ krzyknęli wszyscy; zdawało się że stado szatanów z piekła wyleciało i pędzi po dusze ludzkie z wrzaskiem: „ura, ura“!

Wlecieli z końmi w tłum, i zaczęli siec na prawo i na lewo, szablami i nahajami. Tłum zagotował się, rwał rękami za uzdy kozackich koni, za mundury jeźdźców, spychał ich z koni. Ale oni otoczyli wszystkich, i wiązać zaczęli mężczyzn, a kobiety gnać przed siebie. Strach, co się wtedy zaczęło. Zdawało się, że Bóg się odwrócił od ziemi i na moment dał szatanom panowanie.

Kozactwo waliło na ziemię pojmanych mężczyzn i siekło bez miłosierdzia kijami; jęk, stękania, ryki bólu napełniły miasteczko. Kobiety tarzały się po ziemi, jak oszalałe. Inne uciekały przed siebie wpadając w doły i w pół zamarzniętą rzekę, byle ujsć od kozaków. Ach, bo te, co nie zdążyły uciec!...

Boże zmiłuj się nad niemi! Gorsza od śmierci spotkała je dola!

Gubernator stał na rynku i wrzeszczał na całe gardło: „Ja wam teraz pokażę, wy przekłete buntowniki, kto tu pan, ja was nauczę mnie więzić“.

A na ziemię, odwiecznie wierną swej wierze, spływała z pod kijów moskiewskich polska i litewska krew i łączyła się w jedną strugę wspólnej krzywdy!...

A jęki, łkania i krzyk okropny nieszczęśliwych kobiet i dziewcząt biły w niebo straszną skargą...

Cóż się stało przez ten czas z Aniulitią?

Kiedy zrozumiała co się dzieć zaczyna, kiedy posłyszala mrozący krew w żyłach rozpaczliwy wrzask kobiet, rzuciła się przed siebie do ucieczki. Plecy i ramiona miała pocięte nahajami, bo jedna z pierwszych stanęła przed drzwiami kościelnymi, by bronić do nich przystępu.

Uciekała jednak co sił. Ale tuż za nią zagrzemiał tętent konia i rechoczący głos: „Pastoj, lubka, pobawim się razem, pan gubernator raczył pozwolić pokochać się, tak choć po dobrej woli, a nie, to gwałtem wezmę“.

I szarpnął ją raz i drugi za ramię, ale ona wyrwała się za każdym razem i pędziła nad stromy brzeg Krożety, by skoczyć do wody, i raczej śmierć znaleźć, niż dać się pohańbić. Ale moskał już ją znów doganiał; ostatnim tchem leciała dziewczyna, czuła, że słabnie, jęk wydarł się jej z piersi: „Najświętsza Panno Ostrobramska „ratuj!” i w tej samej chwili, ostatnim wysiłkiem szarpnęła się z pazurów kozaka i... rzuciła się pod konia.

Kozak klnąc przeleciał i widząc, że dziewczyna nie wstaje, zsiadł z konia, myśląc, że udaje. Ale przy świetle wschodzącego dnia, ujrzał rozbitą podkutem kopytem skroń bladej jak śnieg Aniuliti, cofnął się więc klnąc na czem świat stoi, i pognął dalej. A ona leżała cicho, z ustami przytulonemi do ukochanej ziemi rodzinnej, z oczami wpool przymkniętymi, spoglądającemi zda się na kościół, który tak broniła.

Taką ją znaleziono pod wieczór, gdy z jękiem i płaczem rachowano zmarłych, rannych i pohańbionych.

Taką niewinną i czystą przyjął cmentarz Kroski, i wiosną otoczył kwieciami bujnym i wonnym.

Taką została w pamięci ludzkiej, jak męczennica, patronka ziemi umęczonej od obcych.

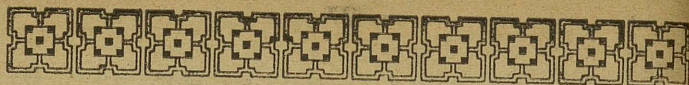
Kościół ta cała krwawa męka nie ocaliła. Został zamknięty. Krożan, mimo że z samego Petersburga zjechali do Wilna najslawniejsi adwokaci by ich bronić, mimo że dowiedli, że winy, ani buntu nie było, pognali na wygnanie.

Ale gdy w 17-ście lat potem, kaprysem carskim, pozwolono znów kościół odnowić i otworzyć, poczuli ludzie, że w ów dzień pamiętny, kiedy gubernator Klingenberg kazał mordować lud litewski i polski za wiarę, nie on odniósł zwycięstwo, ale oni.

I Bóg dnia tego losy kraju naszego przesądził. Za krew, mękę i lzy niewinnych ofiar, doczekała się ojczyzna nasza, że nie z łaski i od kaprysu obcych władców, otwieramy zagrabione nam dobro i swobodnie wznosimy pieśń nadziei i dziękczynienia.

Wspólnie raz jeszcze przelana krew litewska i polska, za wspólną krzywdę i wspólne świętości, powinna by dać wreszcie słodkie owoce miłości i zgody w wolnej Ojczyźnie!





STARY CZŁOWIEK.

Śliczna była jesienna pora! Cała ziemia leżała cicha, zamysłona, jak skrzętna gospodyni, co sobie na zimę wszystkiego przysposobiła, pełne świronki i bodnie nabrała, zmęczyła się, zasapała, a teraz siadła sobie na słoneczku i odpoczywa kądziel przędząc. I ziemia matka kądziółkę jesienną włóczyła od ścierni do ścierni, od drzewa do drzewa, snując nitki srebrne po złotej słomie i rudych pniach, i na oczy ludzkie nosła mięciutkie niteczki zasnuwając wzrok i pamięć ludzką, jakby chciała, żeby jej dzieci odpoczęły w marzeniu. Stał więc tak cały świat złoty i dostojny, spokój był wielki wkoło i zadowolenie. Kto zapracował, ten miał spokój w sumieniu swoim, a w duszy pogodę. Wiedział, że i on i ziemia jego, głodu nie zaznają zimą. Oglądali ludzie swoje porządki, swoje bogactwa i cieszyli się, że ich pot i trud nie na marne poszedł. Lato ich umęczało to deszczem, to suszą, to groziło gradem, to burzą straszło, ale za to jesień cieszyła pełnemi stołami.

Każdy gospodarz chodził koło swoich budynków, patrzył na pełne gumna i myślał: „Ot wiem ja dlaczego tyle było męki, wiem na co ja pracowałem... będzie i mnie i innym: chleba i miodu, i grzybów i warzyw, wszystkiego co ziemia-matka dała, a ja, człowiek boży zapracowałem. Mizerna ja mrówka na tym wielkim świecie, ale wszakoż moja praca, i są

siada praca, i jeszcze wielu, wielu ludzi, to razem jest fundament, na którym stoi cały ład społeczny, cały porządek świata i całe życie narodu. Dlatego chociaż praca bywa czasem nieznośna i ciężka, ale plon jest miły sercu i sumieniu“.

Tak sobie w duszy medytował niejeden prosty człowiek, choć możeby nie umiał tego powiedzieć, bo przecie nie wszystko człek potrafi wyrazić mową. Myśl jest lekka, jak chmurka na niebie, i leci jak ptak, a mowa bywa u niektórego też leci, ale to jak plewy z pod arfy; a więcej rozważna mowa, jest ciężkowata i powolna, jak ważne zbożowe ziarno, posilne i życie utrzymujące w człowieku.

Bywa słowo jak chleb, a bywa słowo, jak truczna, i takie gadanie, jak świeża woda pod słońcem płynąca, i takie jak bagno zgniłe, co dusi i śmierdzi, są takie słowa co przelecą po ziemi, jak cień lecącego ptaka i ślad po nich nie zostanie, a takie też, które tak ziemią wstrząsną i ludźmi, że nie prędko się uspokoją. Czasami od takich słów świat nowy powstaje, ale wtedy bardzo boleśnie dźwiga się z ruiny; inne zaś ciche, mądre i dobre słowa zapadają w dusze ludzkie, jak ziarna. Niewidać ich długo, a potem, niewiadomo skąd, rozkwitają jak te przelaszczki na wiosnę i świat robi się od nich błękitny, trochę do nieba podobny, a ludzie, co te słowa przyjęli do duszy, mają życie szczęśliwe i słodką śmierć.

Słońce wędrowało po niebie oglądając ziemię, i pieszcząc zmęczone pola, a wysoko leciał klucz żorawi i płakał z tęsknoty za swojemi stronami. Połem, ścierniskiem, powoli, tu i tam, chodziło stado wioskowe. Małe, nie bardzo tłuste krowy, ciężkie owce biegające, jak nieprzytomne, kozy łapczywe na wszystko i pstrokate prosiaki, które to ryły, to kwiwały, to tarzały się w rowie przydrożnym, postę-

kując z rozkoszy. Daleko, daleko, słyhać było, jak ktoś popędzał konia przy orce, pies gdzieś zaszczekał w wiosce za górką, i jeszcze cykały koniki polne. Czasami z brzóz rosnących po obu stronach drogi, odrywały się liście złote, jak motyle z bajki i pomalutku spadały koło białych pni.

Przy bydle siedziało kilkoro dzieci wioskowych, rozłożywszy ogieniek i piekąc kartofle, a drogą, podpierając się kijem sękatym, szedł jakiś stary i zgarbiony człowiek.

Z daleka on szedł i bardzo ciężka była jego droga. Można powiedzieć, że jakby z innego świata, na nowo na ten przychodził, tylko, że już nie przed nim nie było, a wszystko za nim. Wędrowanie jego po ziemi było takie krwawe, że pod starami jego, bardzo zmęczonemi stopami, powinny były wykwitać czerwone róże, jak u stóp męczenników. A może i wykwiwały, tylko ludzie śmiertelnymi oczami swemi tego nie widzieli. Wszystko naokoło było syte, ciche i spokojne, a on, ten stary człowiek, nie miał w ostatnie dni swoje ani ciszy, ani spokoju, a serce jego było takie głodne, jak i całe jego nędzne ciało. Nikogo bowiem już nie miał, ktoby go kochał i nakarmił, a ubogi był... najuboższy z ludzi!

Wracał z tak daleka, że zatracił pamięć dni i tygodni, i miesięcy podróży, i miejsc jakie przebywał. Wiedział, że kiedyś, pół wieku temu, przemierzył te oto strony młodemi nogami. Że te śliczne, złote i purpurowe lasy, co obejmowały całą okolice, jak krajkę tkaną w kolory najpiękniejsze, że te rojsty mszyste i pleśnią pachnące, kryły przed laty 50-ciu jego, i kilkunastu innych zuchów, którzy wszyscy poszli „do lasu“ z dubeltówkami powstanie robić. Bunt przeciw milionom ruskiego cara zrobili, przeciw milionom wojska i pieniędzy. Ale oni kochali i cier-

pieli za miliony ludzi, i życie swoje nieśli w ofierze za wolność wszystkich i wszędzie. Chcieli, żeby wszyscy ludzie mieli równe prawa, i żeby nie było nad ich narodem obcej przemocy. Ale ta obca, rosyjska przemoc była silniejsza i straszliwie zemściła się na tych młodych. Na starych ich rodzicach także, i na dzieciach, jeśli u którego były i na dworach, jeżeli to był panicz ze dworu, i na okolicy szlacheckiej, i na chacie chłopskiej. Kogo nie powiesili, tego pognali piechotą, w kajdanach, skatowanego, na daleką Syberję, dokąd trzy miesiące iść trzeba bez przerwy, po lodzie i śniegu, w wieczny mróz, w tęsknotę, w zatracenie gorsze od śmierci.

Ale twarde jest życie ludzkie, i kiedy chce być silniejsze od katów, to wszystko wytrzyma. Tak i oto pan Florjan Tołłoczko, choć Bóg jeden chyba policzyć mógł jego męki, wytrzymał i więzienie, i kije, i śledztwa, i szpitale, i pędzenie w kajdanach na Sybir, i kopalnie w Nerczyńsku pod ziemią, i chłód, i głód, i łajania wszystkie, i okropną nudę, tęsknotę za krajem, która serce z pod żeber wyrывa pazurami, i niesie „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych“. Tęsknota, „chandra“, okropniejszą jest męką od wszystkich bólów przez wroga zadanych. Ona pcha w ręce fuzję i mówi: „Dobij“, ona pokazuje przepaść i mówi: „skacz“. Ona w bezsenne, białe, podbiegunowe noce, dusi za gardło nie wypłakanymi w dzień łzami, które jak spiekła krew palą i szepcze: „Nie wytrzymasz“.

Ale pan Florjan Tołłoczko, litwin był twardy, i nie zgryzła mu duszy męka długoletnia, a i ciało, choć siedemdziesiąt blisko lat męczyło się na świecie, jeszcze duchem mężnym ożywione, szło jak mogło, swoje strony przed śmiercią zobaczyć.

Wiedział, że okolicy swojej szlacheckiej, Tołło-

czek, nie zobaczy, bo za powstanie spalili cały zaścianek kozacy i kazali miejsce zaorać, żeby i ślad nie został, że stąd „buntowszczyki” wyszli. Ale chciał tę stronę zobaczyć, i ludzi dopytać się, może jeszcze kto z tych czasów żyje?

Od tego dnia, kiedy mu powiedzieli het, tam w Syberji, że wyszły jakieś dekrety carskie i „ubiraj się starik w rodinu”, upłynęło lat sporo. Nim się wybrał, nim wysprzedał, nim dojechał. Potem, potem, smutków takich doznał, jakich jeszcze nie zakosztował za cały czas niewoli. Widać niczego mu Pan Bóg nie chciał oszczędzić. Oto jechał do Ojczyzny, do Litwy swojej rodzinnej, jak do zbawienia niebieskiego śpiesząc, wszystkiego najlepszego się spodziewając, i w głębi duszy oczekując nagrody za tę krew przelaną za wolność Polski i Litwy razem. I kiedy przybył do Wilna, a potem do znajomego powiatowego miasteczka ostatkiem groszy się dobił, rozchorował się i długo leżał pół żywy, stękając, jakby mu wszystkie rany dawne krwią spłynęły na nowo. Bo cóż on biedny znalazł, ten nieszczęsny pan Florjan Tołłoczko w swoim kraju rodzinnym, za który młodość oddał? Na cóż on patrzył swojemi staremi, zaczerwienionemi oczami, z których jakby krwawe łzy płynęły? Kraj cały jak długi i szeroki, miasta i budynki, i kościoły, i szkoły, wszystko łapa moskiewska wzięła, zgmiotła, zmietosiła, i na swoje kopyto przerobiła. Rosja i Rosja wszędzie na wierzchu, silna, rozrosła, panuje, a nisko, jak przydeptana trawka, mociuje się polska mowa, żeby nie zginąć zupełnie. Gorzej, jeszcze, jeżeli chciał stary, stęskniony dziad, pogadać z kimś, uznać swoje serce sieroce, wspomnieć dawne swoje czasy, wtedy ludzie ręce otrząsali jak od warjaty i mówili mu nieraz, że gdyby nie ich, tamte, bunty pańskie i szlacheckie to by może było lepiej w Litwie.

Ze oni wtedy nie rozumieli co to prawdziwa

wolność znaczy, bo prawdziwa „swaboda”, to idzie z głębi Rosji, gdzie pod ziemią rośnie, a jak rozwinięte swoje skrzydła czerwone, to rozniesie nie tylko tron carski, ale i ołtarze, i pałace, i fabryki, i wszystko stary porządek.

Tak koło starego powstańca mówili młodzi, a i starsi jego dawne czyny nazywali szaleństwem. Cierpiał on od takich gawęd więcej, niż od moskiewskiej katorgi, milkił, stetryczał, zdziwaczał i uciekał od ludzi. Nie dość tego, znalazł w swoich litewskich stronach i tę nowinę, jak nóż w serce kłującą, że litwini i polacy których zostawił, wspólnie nad mogiłami bratnimi płaczącymi, teraz bój wiedli ze sobą, o język, o prawa, o kraj, o wszystko, i łajali się jak tylko niewolnicy rozgoryczeni i zatruci niewolą, łajając i nienawidząc się mogą.

Nie dość i tej zgryzoły; kiedy staruszek pan Florjan Tołłoczko, wędrował do prostego narodu, żeby choć po chatach wspomnieć dawne czasy, słyszał o powstaniu, że to był polski bunt, który pany—szlachta zrobiły dlatego, że cesarz ruski darował chłopom pańszczyznę, a pany chcieli żeby ona wiecznie była.

Na takie gawędy wstrząsła się do dna dusza starego człowieka i westchnął do Boga: „Panie dla czegoś mię opuścił! Czuję, że tego już nie wytrzyma, że trzeba mu umierać. Jeżeli całe życie jego było nie potrzebne, ofiara na nic, to może już Bóg choć tę łaskę mu zrobi, że śmierć na niego zesze prędzej.

I zapragnął umierać choć pod płotem, choć na miedzy, ale jaknajbliżej tych swoich rodzinnych Tołłoczek. Wziął więc kij i powłókł się dziadulek w tamte strony.

Wszystko się zmieniło, lasy wyrosły gdzie ich nie było, a znikły gdzie rosły, wioski pobudowały się; gdzie orali sochą, teraz plugi szły żelazne, jakies

były i fabryki i ludzie po miejsku odziani. Ale dużo zostało jednak zaścianków, i dworów tych samych. Dawali mu tam nocleg i jeść, litowali się pocziwie nad jego sieroctwem i nędzą i nie bardzo wypytawali dokąd idzie i poci? Bo naród u nas nie jest ciekawy cudzych interesów. Tak dowędrował pan Florjan Tołłoczko do drogi i do łąk, pod starą puszcze, gdzie na skraju były kiedyś ładne domki z ganeczkami i ogródki z malwą i miętą. Tołłoczków rodziny okolica.

Westchnął stary aż zagrało w steranej piersi, i przegramolił się przez rów, na steckę polną, koło rżyska. Tamtędy mu iść wypadało i właśnie w stronę dzieciaków, co koło ogniska siedziały.

Kiedy podszedł zupełnie blisko, stanął zdziwiony. Starszy chłopiec 14-letni siedział okręcony w siermięzkę, trzymał w ręku... książkę i czytał tamtym. Na widok starego przerwał, spojrzał z podełba i schował książkę za siebie.

— Chłopcze,—rzekł drżącym głosem Tołłoczko, czy mnie stare oczy nie mylą, ty czytasz, hę?

— Nu dek cóż że czytam, umiem to i czytam sobie — odburknął nadęty jakoś chłopiec.

— A skądże ty, Boże mój jedyny, czytać umiesz po polsku, kiedy tu szkoły ruskie i wszystko tak, po przykazu...

— A ot żesz!... Tobie dziadu, na co wie-dzieć? Ot i zaraz gadaj jemu! Skąd? czaho, i czamu—złościł się znów chłopiec.

— My same nauczyły się, my same—zaśmiały się inne dzieci — mnie nauczył Pietruk, a Pietruka Kaziuk, Kaziuka Anielka, a Anielkę Zośka, a Zośkę Grasyłka, a Grasyłkę Albin, a Albina i znów Pietruk, cha, cha, cha — krzyczały wszystkie ze śmiechem, skacząc koło przygarbionego dziadula i zaglądając w oczy.

Ale on nie gniewał się za te figle-dziecinne, stare jego zeschnięte niedolą serce, biło czegoś aż tchu brakło.

— Siadę ja koło was dietki, bardzo nogi zabolaly — szepnął, a wtedy starszy chłopak obejrzał go uważnie i rzekł:

— Może chce bulby? Nadto smaczna, w żarku leży... i zaczął wygrzebywać kijkiem kartofle z ogniska.

— Ty mnie powiedz, co ty czytasz — spytał Tołłoczko.

— Nu ot, jakie tam czytanie... na co dziadźka tobie ta ciekawość? — rzekł grzeczniej jakoś chłopiec, ale patrzył na starego bokiem i z podełba — moją książkę jeszcze popeckasz, a to rzadka książka i nie dla każdego pisana.

— A ty, dziadźka, czytajesz? — spytała mała dziewczynka.

— Cemuż? Czytam...

— I pisane?

— I pisane.

— Ach, to ty mądry, może ty nauczyciel?

— A ci po polsku ty, ci po rusku na książce rozumiesz? — spytał starszy chłopak.

— Umieję i tak, i tak,—rzekł pan Tołłoczko,—a jak ty się nazywasz chłopcze?

— Owsiuk Stefan, uczeń...—ale nie domówił, bo przerwał mu wrzaskiem drugi, młodszy, i rzucili się do siebie, tarmosząc się za siermiężki i pokrzykując: „Dureń ty... puść! Odczep się“, — i różne takie słowa, które zawsze chłopcy krzyczą, kiedy się pobijają.

Teraz pan Tołłoczko, powstaniec, zobaczył, co to za książkę, „nie dla każdego pisana“, czytał Stefan Owsiuk. I pewnie. Na pierwszej stronicy, którą widział rozwartą przed sobą, czernił się napis: „P o-

wtanie 63 roku: Za naszą i waszą wolność”.

Stary człowiek zatrząsł się cały i drżące ręce wyciągnął do tej książki, co tak leżała przed nim w trawie na powitanie i pożegnanie.

— Skąd, dzieci... skąd ta książka! Kto wam dał, ach dajcie, dajcie i mnie!.. Czy wy rozumiecie co tu pisane... czy wy wiecie!?..

— Ot... czemuż my nie rozumiemy... rozumiemy, a dostali... nie dostali... tak, należeli my ją na łączce, cha... cha... — zaśmiał się Stefuk, skończywszy tarmoszenie się z bratem.

— Dziecko, ty myślisz, że ja komu?! Boże! Prędzej bym skonał, niż ja o tem komu powiem, jaż... — zadusiło go coś pod gardłem. Nie mógł mówić więcej, i cicho, maleńkimi łezkami, bo stare oczy już i łez nie miały, zapłakał pan Florjan Tołłoczko na swojej miedzy rodzinnej, spotkawszy chłopskie dzieci, co o jego historii książkę czytały polską.

— Nu, kiedy zaklął się to musi nie powiesz, to i nie gadaj dziadźka nikomu, bo uradnik niucha po chatach a papka kiedy sztraf zapłaci za polska nauka, to i wybije, tak mówił. I książki szkoda, bo nadto piękna, — powiedział Owsuik życzliwie.

— Piękna mówisz? — drżąc cały pytał powstaniec.

— A wiadomo, ot te małe, durne jeszcze, a słuchają, jak czytam... biedne te ludzie, męczyli ich, *znajesz dziadźka*, za wiarę i za wolność! — tłumaczył mu Owsuik.

— Za wiarę męczyli... i za wolność... za... za... czyją wolność?..

— Wiadomo i za prosty naród oni cierpieli, i za swoje panowanie, a wszystko chcieli, żeby sprawiedliwość była na świecie... Chcesz dziadźka, tak i tobie poczytam, poznasz... na, zakąsuj bul-

bu, kali chcesz, i słuchaj, bo to piękne czytanie.

Owsuik pociągnął nosem, poślinił palec, i odwróciwszy parę kartek, rzekł, podnosząc błękitne oczy na staruszkę.

— Tu, proszę posłuchać, ja wpierw przeczytam ich pieśń, co oni śpiewali, jak szli w lesie na bój.

I Stefuk zaczął miarowym głosem gładko czytać:

„Lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne, nad mogiłą śpiewa jakieś ptaszę polne, nie było, nie było Polsko szczęścia tobie“...

— Ajej Stefuk, patrzaj, co jemu zrobiło się, umiera, ci co! — wrzasnęły w tem miejscu dzieci, odskakując od Tołłoczki, którego biała, jak śnieg, głowa, zsunęła się z podpierającej ręki, i blada twarz, pokryta zmarszkami, przytuliła się do ziemi, jakby ją w kochaniu i szczęściu wielkiem całował drżącymi ustami.

— Pan, pan, co robisz!? Ajej może będzie umierać? Może on głodny, a bułby nie jadł, poleć do chaty, — gadały dzieci jedno przez drugie.

Ale pan Tołłoczko ocknął się ze słabości i wyprostował. Drżącymi palcami rozpinać zaczął stare swe ubranie i domacawszy się medalika złotego, Ostrobramskiej Najświętszej Panny, który go nigdy nie opuścił przez te pięćdziesiąt lat bied i męki, zdjął go z szyi i podał zdziwionemu Stefukowi.

— To dla ciebie... za... to czytanie takie... śliczne — wyszeptał, kreśląc znak krzyża świętego nad dziećmi.

One stoczyły się wszystkie koło zdumionego Stefuka, oglądając podarek.

— Ajej, Stefciuk, toż to musi złotny! Ot kiedy piękny prezent! I nie długo ty czytał a taki prezent dostał! Ot jakie jemu szczęście! Pan! nie-

ma u ciebie więcej medalików? A może ty szkaplernik i szkaplerze rozdajesz? To także nie pokazuj się uradnikowi, bo nie wolno szkaplerzy. Ale my nie powiemy.

— Nic ja już nie mam — rzekł cicho stary.

W tej chwili posłyszeli nad głowami lament i wrzask obrzydliwy, stado wron zaczęło się na jasnym błękitnie przeleciało nad niemi, kracząc i skrzecząc jak duchy potępione. Dzieci zagapiły się do góry.

— A ot i prawdę mówi dziadźka Bałaban, że wielka wojna będzie na świecie, i padliny wiele, i umarłych tyle, co gwiazd na niebie. Wiesz pan, dużo narodu zginie, więcej jeszcze jak wtedy — rzekł z ważną miną Stefuk Owsiuk, podparłszy się w boki.

— Któż to mówi o wojnie — zdziwił się stary człowiek.

— Ho, wszystkie mówią... będzie straszna, jakiej jeszcze nie było, bo kruków i wron namnożyło się i latają stadami. One czują, a stare ludzie wiedzą.

— O wojnę ludów modlili się ci, co chcieli zmartwychwstania Polski! — szeptał Tołłoczko. Pannie, ręka twoja nademną się wyciąga, i dajesz mi znaki na niebie i na ziemi, od których dusza moja do twego tronu ulatuje.

— Pan, zajdź do naszej chaty, przenocujesz, podjesz, a bajki umiesz gadać, tak opowiesz? Dobrze? Stareńki ty, zmęczony, u nas mama dobra, da tobie mleka. Posiedź sobie pod dębem, nim słońce zajdzie, a potem krowy popędzimy do Kania-bicz ot tam, za borkiem i ty pójdziesz z nami, chcesz? — prosiły dzieci. Stary Tołłoczko mówił im, że dobrze, że owszem, wszędzie z niemi pójdzie, gdzie zechcą. Więc tymczasem zostawiły go samego, rozbiegły się za krowami, które pochowały się

w krzaki, i wrzeszcząc, zwyczajnie jak dzieci, wypędzwały żywiołę, skacząc po kępach i cwikając wtkami leszczynowemi kwiczące i ryczące bydłeta.

Staruszek siadł pod dębem, próbował czytać w oczach ciemniało, chciał zjeść kartofli bo zdawało mu się, że jest głodny, ale nie mógł przełknąć. Słabo mu jakoś było i ciepło. Miło. Senność na niego nadchodziła słodka jak miód, myśli płynęły pomaleńku jak fale jeziora w letni dzień, a coraz to każda jakby mówiła: „Ot dla tego, dla tego, dla tego.” Co? dlatego? — pytał sam siebie pan Florjan Tołłoczko i zaraz przypomniał sobie. Dlatego on do lasu z dubeltówką na Moskali poszedł, dla tego on 50 lat na Syberji wycierpiał, żeby chłopskie dzieci w jego kraju o tem wiedziały z polskiej książki i o tem co to jest wolność.

— Och niewola, niedola... dumal, niewola, niedola... i zamyślił się czy zadrzeć, czy już może po jego duszę anieli niebiescy z błękitnego nieba się pochylali, a widząc jego zasługi, dali mu spojrzeć w przyszłość, dość, że oto nagle pan Florjan Tołłoczko, ujrzał przed sobą na polu, dziwne rzeczy.

Patrzył on na dalekie ugory: bliżej rżysko zło-ciło się, jakby kto na niem skarby nasiał, a rozsute na słomie pajęczyny, srebrzyły się jak najdroższa tkanina, wysadzana klejnotami, bo krople rosy nie obeschły i błyszczwały kolorowo jak brylanty. Była to niby droga, która szła w nieskończoność, i mieniła się jak pas tęczowy. Otóż pan Florjan Tołłoczko wpatrzył się w tę drogę, jakby na niej kogoś wyczekiwał, aż mu oczy zaszyły łzami i cały świat zaczął dziwnie drżeć i chwiać się w posadach, a w uszach huczało mu coś niby dzwony, niby huk armaty. Daleko, daleko, zobaczył teraz pan Tołłoczko, jak z pod lasu, wyszedł jakiś człowiek wysoki i szedł ku niemu, Szedł łąką, błotem, potem ciężko

kopał się przez orane zagony, i widać było, że ledwie iść może.

— Dlaczego on idzie prosto do mnie — myślał pan Tolłoczko, przecie to można ominąć, tamtędy łatwiej iść?

Ale wędrowiec szedł wciąż prosto i coraz był większy. Kiedy wszedł na tę drogę utkaną z pajęczyn i promieni, zobaczył pan Tolłoczko, że to był człowiek nie stary jeszcze, ale pochylony wielkim trudem. Czoło jego ogromne, jaśniało jakby płomieniem, ale oczy smutne kryły się w cień gęstych, wielkich brwi, zwieszonych i groźnych. Na plecach miał ten idący, szarą kurtę strzelecką i na ten widok stare serce powstańca zaczęło bić jak dzwon na pożar.

— Co to jest — myślał, Boże miłosierny! a który to z moich towarzyszy do mnie wraca? Nie znam... nie pamiętam, a jakbym poznawał czy on po mnie idzie takim żołnierskim krokiem?...

I nagle ujrzał stary powstaniec, jak za każdym krokiem wielkiego człowieka, z bruzd, z mgły, która zaczęła ogarniać ziemię, powstawali jeden za drugim, młodzi chłopcy. Każdy miał strzelecką kurtkę, broń w ręku i płomienie w oczach. I szli za tym pierwszym, a on ich twardym krokiem prowadził. I było ich coraz więcej, i więcej, pełne już było pole, aż szaro i niebieskawo zrobiło się od tych mundurów, aż końca widać nie było, bo coraz to nowi wychodzili z mgły i formowali się szeregi. A ten, który ich prowadził był tuż przy starym powstańcu. Ujrzał on oczami, zachodzącymi złotym tumanem, że tamta, surowa twarz idącego, rozjaśniła się uśmiechem dobrym, jak słońce dla skostniałego w lodach Syberji starca, silne ręce wyciągnęły się do jego zgrzybiałych dłoni, z szablą, jakby go na nowy bój wzywało.

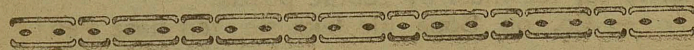
— Dokąd Boże! dokąd? Znów do lasu? — szeptał stary.

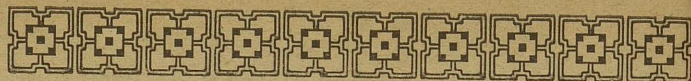
Za Polskę! Za Litwę! w pole! — zaszumiały głosy w powietrzu.

— Kto ty, co ich prowadzisz? — pytał.

A cały ten tłum żołnierski i gaje okoliczne zaszumiały rozgłośnie Naczelnik! Naczelnik! Naczelnik! Jakies muzyki dalekie poniosły we mgle melodje, pieśni młodości, wolności i szczęścia. Tysiące głosów śpiewało: „Nie zginęła“!

Wtedy zrozumiał staruszek, że Bóg mu daje w przedśmiertnej godzinie łaskę widzenia rzeczy przyszłych i nagradza go za męki obietnicą, że syn tej ziemi pomści jej krzywdy. Więc pochylił siwa głowę i cicho, słodko zasnął na rodzinnej swej mie-dzy, pan Florjan Tolłoczko, stary bezdomny powstaniec.





KRÓL ALKOHOLU.

— Gdzie idzie, Dziergaczowa? spytała okryta chustką kobieta, idącej prędko, wysokiej baby, okutanej też w chustkę w kraty.

— Do panicza. A to Antoniowa? Cóż tu robi po nocy.

— Drzewo do pieca kradnę ot co robię — powiedziała tamta rozzłoszczonym głosem.

— Co takiego, jakie drzewo? Cóż wy, na opał nie macie we dworze?

— A ot co przyszło się robić uściwej kobiecie! Żeby nie dla dzieci! Ale cóż, zimą pomarzną a i jeść, na czym zgotujesz, prawda że jeść niema czego, ponuro mówiła Antoniowa.

— Czy ja zdurniałam, czy przepraszając, Antoniowa. Co gada? Co to, we dworze drzew niema? Lasy u pana na wiorsty leżą, a wy do pieca dREW nie macie?

— A ot, czy ja jedna. Wszystkie te co zostały bez mężów, bo na wojnę ich wzięli. poborowi byli, to tym pan Biżewski nic dawać nie chce, ani ordynarji, ani nic, krowy, mówi. sprzedawajcie, bo nie mam czem karmić; to już musi przyjdzie się umierać z dziećmi. I nie ja jedna, trzy nas takie, po nocy płoty rozbieramy na opał, głodujęm, a żona gorzelanego, takąż delikatna, z sześciorgiem dzieci siedzi, bo żeby nie przysyłali z innych dworów, to sio, to to, też musi by żebrać poszła.

— Co, on Boga nie lęka się ten nasz Pan!?

Krzyknęła ze złością Dziergaczowa „a żeby on skróś ziemi przepadł!

— Jak jemu Boga bać się, kiedy on czortu duszę zaprzedał. To żarty, tyle tej czortowskiej wódki robić na setki i setki tysięcy rubli. Toż tu aż śmierdzi spirytusem, a ludzie zawsze pijani i pijani“...

— Wy idźcie i krzyczcie, że on musi wam dać ordynarję, taki jest przykaz od gubernatora...

— Oho, jaka Dziergaczowa praworna, widać jaka ma pańska fanaberja! Dobrze mówić iść, a jak weźmie i wypędzi, ja do gubernatora nie dobiję się, a on dziesięć razy do Wilna pojedzie i z gubernatorem obiad będzie jeść... mruzczała Antoniowa, od której Dziergaczowa odskoczyła i prędko iść zaczęła w stronę pałacu, który świecił wysokimi oknami. Widzisz, jaka fanaberzysta... pańskie nasienie, tego i złości się, że zapisana na chłopiankę, a to pana siostrzyczka cha, cha... stary pan i chatę dał i ogrodu mamuni, to i kował złakomił się i ona zawsze przy dworze żyje, a na swojej ziemi gospodarzy, cóż jej za bieda. A czego ona niesie się do pałacu, ciekawość? Antoniowa powoli schylona pod brzemieniem kołków i desek z płotu, przemysłowała się pod krzakami ogrodu i dobrnęła do czworaków. Otworzyła drzwi i z ciemności doleciał ją płacz dzieci, śpiewanie jękliwe nad kołyską i lamentowanie czyjeś. Jakaś baba „głosiła“ z taką rozpaczą, że Antoniowa rzuciła z hałasem drzewo w sionce i potykając się o koryta i kaduszeki, skoczyła do stancji, krzycząc:

— Co tu stało się! Umarł kto, czy co?

— A Bożeczka ty moj!.. *a niczało użę z nami nia budzie, a dziecieczki maje... a sieroty maje... a głoweczka maja... a żeb my lepiej wszystkie odraży pomarli, co tak męczyć się... a żeby on światła niebieskiego nie oglądał... żeb jęho skrucilo...*

lamentowała Kazurycha, mieszkająca w tej samej izbie i mająca tak jak Antoniowa, pięcioro dzieci a w dodatku starą matkę mężowską na karku.

— Powiedz ty mnie, czego głosisz? — pytała Antoniowa, którą obstały dzieci, napierając się kolacji i światła.

Ale tamta jęczała dalej jak nieprzytomna, a tylko z pieca odezwał się senny głos trzeciej baby „rezerwiski“ Malinowskiej.

— Nu, coż ekonom przyszedł, mówił co pan kazał krowy sprzedawać... że jutro, mówi, mięśnik żyd przyjdzie i kupi, do wojska mówi, kupi i zapłaci dobrze.

— A Jezus ty Marjo... a coż z nami będzie! Dzieciż umrą bez mleka... co tu gadać, mój Franuczek tylko co odłączony... jakżesz ja jego posną bulbą wykarmię!.. Toż parsiuła i cieluła bez mleka nie wychodujesz, a nie już dzieci!

— Tegoż ta Kazurycha głosi; jej że mleka nie stało w piersiach, jak męża wzięli, z przełknięcia i tak, że zgryzoty, prosto łzami kobieta spływa... bardzo o męża lęka się, a teraz i bez krowy zostanie.

— Tak coż będzie?

— A ot, jak Pan Bóg da...

— Będym pana prosić, nogi ręce całować...

— Nu będym, ale nic z tego nie wyjdzie, on i nie dopuści do siebie, przez tego sobakę Kojra powie i koniec... Coż, przyjdzie się z dzieciukami umierać...

— Co ty gadasz, Malinowska, czy ciebie dur opętał?

— A co będziesz robić? Przeciwno wiatru nie przewiejesz i nie siądziesz. Taka nam dola sądzona...

— Coż będziem robić?

— A ot, będziem jeść póki co, a potem położym się na śmierć, z dzieciukami, chata zaprzem i be-

dziem leżeć, kiedy poratują ludzie, to dobrze, a nie, to coż zrobić? Wojna nadeszła, to nie tyle ludzi zginie, stare mówio, że są takie znaki na niebie, że może i miliony ludzi zginie, tak ot... *jak ludziom, tak i nam!*

— A ty flejtuch zawsze była, Malinowska i teraz bez ratunku chcesz ginąć! Nigdzie tego nie słysząc, żeby rezerwistkom krowy sprzedawać! Jak nasz pan taki pohanny, to będzie i na niego sposób, bę-dzim prośby podawać, bę-dzim starać się, siostry jego, co z panienką przyjechała, pójdzim prosić?

— Aha, ot znalazła, pana takie majątki, wszystkoż to na nich pójdzie, kiedy on stary kawaler. A ci pamięta jak panienka dzieci uczyć zaczęła, co wyrabiał? Mówił lokaj, że krzyczał, co ja będę za was sztrafy płacić, zachciało się chamów tych uczyć, żeby jeszcze fanaberje im większe wyrosły...

— Tak coż, umierać przyjdzie się?..

— A ot, już taka dola jak komu pisana, wiadomo, nasza dola... prostego narodu... cierpi dla panów, a potem haniając gorzej sobaki... tak już od Boga dadzono... — sennie gadała powolna Malinowska.

— A nie od Boga, a od djabła — wrzasnęła nagle Kazurycha... — ja temu czortu pałac spałę, kiedy on mnie dzieci zamorzy... pomyślcie kobietki tyle spirytusu, tylko zapalną rzuć, a pójdzie wsio-o-o...

— Aha, a ty do kryminału.

— Mało to teraz włóczy się różnych ludzi...

— Pójdę ja do pałacu, tam Dziergaczowa czegoś poszła, może ona co pomoże, ona fanaberyzta, ale rozumna kobietka, nu i może u pana.

— Nu wiadomoż... siostrzyczka... choć do familji nie wpisali, ale zawszeż...

Antoniowa zawróciła z miejsca i nie zważając na płaczące z głodu dzieci, leciała przez dziedzińce,

potem pomiędzy ogromne, murowane budynki wpadła. Prawdziwe to było miasto, ta największa rektyfikacja spirytusu na Litwie, w majątku Lėkupy; ogromne cysterny, na 20.000 wiader, mocowały się jak wieże, dalej browar piwny ciągnął się długim budynkiem, wysokie kominy, zaczęte mury, schody, rowy, relsy, ruch robotników, ich pijane krzyki i zapach odurzający alkoholu, tumaniał głowę każdemu, kto tu wchodził.

Antoniowa biegła do kancelarji, gdzie wiedziała iż o tej porze siaduje pan tej całej fabryki i właściciel milionowej wartości lasów, ziemi i gorzelni w Wilnie. Słyszała od męża, że goście, wożeni do pałacu, nazywali pana Biżewskiego „Król alkoholu“, i teraz biegnąc, z przerażeniem o dzieci w duszy, wyobrażała sobie biedaczka djabelską władzę wódki nad ludźmi, i potęgę tego, co tą wódką tyle ludzi rozpaja. Gdzież jej, biednej matce, żonie furmana, „rezerwistce“, może już wdowie, mierzyć się z takim panem? Chyba że może Dziergaczowa? Albo stary Kojra, jedyne człowiek, któremu pan ufa, dla tego że taki sam skąpy.

Właśnie wpadła na dziada, jak wylazł z jednej fabryki i lał do drugiej, otulając się kożuchem, w uszatej czapce na głowie, mruczając coś i żując ciągle szczęką. Rzuciła się do niego z lamentem:

— Dziadźka, milińki, szczyryńki, ratuj nas!

— Czego, czego? Paskudztwo! Czego leziesz? A? Antoniowa! Niechaj, niechaj, wiem, wiem, krowy, dzieci! Nie ma, nie ma. Pan kazał, ja nic nie poradzę, nic; nie ma paszy, pan swoje bydło sprzedaje. I tak Niemcy zabiorą jak przyjdą, i tak z głodu pomrzym.

— Dzieci, dzieci! Zmiłuj się Pan Kojra...

— A ot, i czego tyle? Płodzą, płodzą, jak zwierzęta... paskudztwo... a potem lamentują; idź, idź,

nie durz mnie głowy, bo jak co postanowił, to i będzie...

— A żeby wy jutra nie doczekali! Żeby wy konali i skonać nie mogli, czort pan i czortowy jego sługa! — kłęła rozwścieczona kobieta, a stary żminda dreptał dalej, kaszlał, śmiał się i mruczał w korzuch, którego nie zdejmował nigdy.

— Nie kluj, nie kluj, kobietka, a to nie pięknie, nie po chrześcijańsku i Pan Bóg skarże, i jak pan dowie się, to będzie nie kontent, i nie podziękuje za takie piękne życzenie, oj musi że nie podziękuje...

Antioniowa latała jak oszalała po budynkach, potykając się, błędząc, bo nigdy tu nie chodziła; lazała na jakieś kręte schody, otwierała drzwi, przechodziła korytarze, nawpół ciemne, dyszące zimną wilgocią i spirytusem, którym wszędzie oddychali ludzie, snujący się, odurzeni, pijani samym zapachem. Praca jednak, na doświadczone oko, nie była tak porządną jak zwykle, robotnicy stali po kilku w przedsiódkach, po dziedzińcu snuli się żołnierze w papachach i gadali głośno ze spotkanymi ludźmi. Jedni odgrządzając się chrobro na „giermańców“, inni bojaźliwie opowiadali że Niemcy biją, i są tuż, tuż! A im zostaje tylko duszę ratować i uciekać, uciekać, do matuszki Rosji, dokąd Niemiec nie pójdzie, a tu im, ruskim ludziom, k'czortu ten katolicki kraj ratować!

Ludzie wystraszeni, jedni rozpowiadali o tem żeby do Rosji uciekać, daleko od wojny, inni zaś wzruszali ramionami z obojętnością, powtarzając:

— Prostemu człowiekowi wszędzie jednako, a ciągać się w obce strony, gdzie i kościoła nie ma, to nie interes.

Antioniowa nie słuchając, słyszała te głosy, te rozmowy i te wiadomości. W jakiejś chwili zatoczyła

się i osunęła koło ściany w ciemnym kącie. Nieprzywykła niedojadać, głodna, w tym tumanie wódczanym, odurzyła się i zakreśliła się jej w głowie tak, że iść dalej nie mogła. Rozmyślała że poco ma iść do dworu, poco starać się, poco męczyć się o dzieci, kiedy i tak najdzie coś takiego, co jak miotłą zmiecie i ją z dziećmi, i nawet pana z pałacem... już koniec... koniec życia i wszystkiego w koło. Zaczęła gorzko, z żalem, z rozpaczą wspominać i płakać. Była młoda, zdrowa, niebrzydka i niegłupia kobiecina, wyszła za mąż w sąsiednim dworze, za ślicznego furmana, Antka Jazkiwicza, i kochała męża bardzo. Dobry był, delikatny, ambitny, wesele mieli, ach, jakie! Tam, w Karlinie, państwo obdarowali ich dobrze i tańce dwa dni trwały... przypomniawszy się jej biała suknia, i welon, i baranina, kielbasy i tort od pani na weselu. I bielutka stancyjka z kwiatkami, gdzie mieszkali zaraz po ślubie, i gdzie dwoje dzieci rodziła bez wielkiej fady, bo kobieta była jak orzech. Nigdy nie zaznała biedy, ani nędzy, rodzice jej byli dość zamożni, nikt nią nie poniewierał, a teraz!? Zebraczka... ścisnęła ją z dziećmi do jednej izby z żonami parobków, a i tu Kojra podobno mówił, że jak precz nie wyjada, to okna powyjmują? A niech, niech zmarzną... niech na ich sumienie i to jeszcze. Czy to jedno... Przekleństwa same szły na usta, pięść zaciśnięta podniosła się w stronę pałacu. Cała okolica wiedziała, że czego nie urwał w rachunku i nie utargował stary Kojra, to sam pan kręcił, odkładał, zwlekał, obliczał, aż brzydły proszącym o załatwienie interesu, ich własne pieniądze. Kradł za to kto chciał, bo przez skąpstwo nie było dozoru, a życzliwości nikt nie miał dla lękupskiego pana. Kto mógł to kradł, gdzie się dało. Obejrzała się w koło i znów myśl jak przez szatana podsunięta, przeleciała błyskawicą: ach żeby tu ogień!... ale przeżegnała się ze strachu.

— Musi tu nieczysty kusi, w tym spirytusie... pójdę... jak pijana głowa, i kto wie co w głowie robi się złego...

Podczas gdy to się działo z Antoniową, alejami krzaków, wśród kłębów pachnących rezedą i różami, szła szybkim krokiem Dziergaczowa. Słowa spotkanej furmanowej docięły jej do żywego; nie pierwszy to raz słyszała przemówki do swego pochodzenia. Wiedziała doskonale, że matka jej służyła u rodziców obecnego pana, w garderobie, i że dostała chatę z ogrodem, krowę i całe gospodarstwo, gdzie po śmierci starego, wyniosły się obie ze dworu. Anielka Dziergaczowa całe życie spędzała przy panach, dzieciństwo w pałacu, w kredensie, i w garderobie, a często i w salonach, młodość też nie daleko, a gdy młodziutka wyszła za mąż, za dworskiego kowala, to głównie dla tego, żeby wrócić do tego dworu, do tego pałacu, gdzie jej pozwalała chodzić służba, z którą umiała się zaprzyjaźnić. Więc jak byli goście, przychodziła pomagać słać łóżka, nakrywać do stołu, robiła to tak jakoś z pańska, przez grzeczność, jakby każdemu pokazać chciała, że ten pałac, to jest także i jej dom. Kiedy sama chodziła po wielkich salonach, pełnych luster i widziała swoją wysoką, smukłą postać, miną dumną i hardą, uśmiechała się z zadowoleniem, które wnet w gorycz i złość przechodziły. Ona jedna, była do starego pana podobna; ona tylko, miała tę pańską, wyniosłą minę, dla tego pewnie ją lubił i na starość, kiedy dzieci i żony nie było w domu, wołał ją, uczył, kazał czytać głośno i tkął w ręce pieniądze. Anielka brała i nawet przemawiała się nie raz zrecznie, chciwa była i ambitna. Nie tych groszy by chciała. Całego majątku, który by się jej należał i nazwiska pańskiego, i edukacji. Może by o tem wszystkim stary pan pomyślał, gdyby nie to, że nagle umarł, i zostało całej parady zapisana przez niego chatka i ogród w miasteczku,

którą kiedyś darował matce Anielki. Na myśl o tem, co jej się należało, a co dostała, Dziergaczowa zaciskała zęby i spoglądała na całe Lękupy, jakby życzyła żeby je ziemia pochłoneła. Całe jej życie było ciąglą zazdrością i pretensją, a ludzie podjuzdali ją jeszcze, wyśmiewając jej hardość i pańskie fanaberje, jak mówili, przypominając jej kim była.

Szczególnie niecierpiała p. Biżewskiego za jego skepstwo, pogardę dla ludzi prostych, a przymilanie się bogatym. Kręcąc się ciągle po dworze, uważała nie raz, jak się pan dziedzic kłaniał i kręcił jak piskorz przed urzędnikiem albo gośćmi, co przyjeżdżali z lokajami i dziewczkami z miasta, wyprawując troje dziwów, jak mówili lokaje. Całemi nocami słysząc było wtedy z salonów śpiewy, tańce, fortepian, piski i bieganie po korytarzach, a potem wrzaski i chichoty w sypialniach.

Dziergaczowa, wsuwała się zawsze wtedy do pałacu, ciekawość ją piekła, przyglądać się, ile razy mogła, temu życiu i temu światu, do którego jej nie dopuścili. I zawsze wracała do swojej chaty z tem przekonaniem, że tyle tylko różnicy, że tam więcej pieniędzy a takie same pijaństwo, rozpusta i głupie gawędy jak u prostych. Nieraz, widząc roślą, przystojną kobietę, przechodzącą spokojnym krokiem przez korytarze i nie witającą się z nikim pierwsza, zaczepiali ją weseli panicze i namawiali do siebie. Ale ona nie chciała.

Pieniądze za fatygę przy pokojach brała chętnie, parę razy wzięła nawet „na drogę”, i obiecała przyjechać do Wilna, ale ani myślała tego robić. Nie chciała żadnych awantur, z męża była zadowolona, miała wygody i mało roboty, dwoje dzieci, i jeżeli czego chciała to panowania, a nie ponieważ, jak te dziewczyny wymalowane, śmierdzące perfumami

i potem, które latały w koszulach po pałacu, łajały się i płakały po pijanemu.

Idąc teraz do pana Biżewskiego, śpieszyła Dziergaczowa, by się spotkać w kredensie z mężem, szła, gdyż bała się trochę, że pan zmieni po swojemu, obiecując wielkie pieniądze, i Dziergacz zechce jechać z rzeczami pana do Rosji. A ona nie chciała tego, tu jej dom i tu jej prawo, a pan niech ucieka od Niemców, mała bieda, nikt po nim płakać nie będzie. Idąc minęła stajnię, i zobaczyła, że mimo wieczoru, zaprzęgano do faetonu i karety konie, a wóz pod rzeczy odjeżdżał w stronę pałacu.

— Ehee... Cóżto, już uciekają? — spytała furmana.

— Pana siostra z panienką, i ciotka, jadą w nocy. *Oni* już blisko...

— Gdzie? Kto mówił?

— Ludzie z pod Kukuciszek przyjechali... uciekli, tam już *oni* są... mogą tu być może i za dwa dni, idą galopem.

— A nasze, nic żesz nie bronią?

— At, — splunął stary Wincenty furman — nasze! Jakże to nasze!? Muzyki te nieszczęsne! Cóż oni, nas, bronić będą? A im co za bieda, toż nie ich kraj, do ichniej Rosiei nikt nie lezie. Naszych chłopców gdzieś pognali, a tych ruskich tu; generały kradną, a oficerzy piją, to jak oni mają nie ustępować. Kowno już wzięte.

— Aha, a Pan?

— Pan póki co, siedzieć będzie; niewiadomo co ze spirytusem robić, depesze lokaj nosi, i nosi, ale kuźdy już głowę potracił.

Dziergaczowa pośpieszyła dalej, przeszła ostatnie kłaby i weszła na wyźwirowany plac, na którym stał pałac, obrosły stuletniemi drzewami, ciemniał śliczny kanał pełen wody, do którego prowadziły

stopnie z białego kamienia; otoczony kamienną poręczą, błyszczał od wschodzącego księżyca, dziewczyny kuchenne myły tam rądle i gadały, kwacząc jak kaczkę, o tem, że kucharz kazał miedź czyścić i zbierać do pakowania.

Dziergaczowa nigdy nie wchodziła do pałacu inaczej jak „paradnem” wejściem, chyba że goście siedzieli pod kamiennymi słupami, nad schodami. Teraz jednak, nie było nikogo; przez drzwi otwarte na rozcież, widać było znoszone i stojące kufry, biegającą służbę, i panie chodzące tu, i tam, nie spokojnie. Dziergaczowa minęła to wszystko, nie zwracając na nikogo uwagi i poszła prosto na piętro, do kancelarii pana. Koło drzwi, oparty o ścianę stał jej mąż, duży, ciężki chłop, dość młody, o łagodnej i sennej twarzy.

— Czego tu stoisz, jak żebrak — burknęła zaraz.

— Bo pan zajęty — odparł spokojnie.

— To co, będziemy tu styrczyć całą noc?... zaczęła, ale urwała, widząc że schodami leci chłopiec kredensowy, z miną wystraszoną, trzymając w ręku depezę. — Aniuk, co stało się, Niemcy blisko? — spytała zatrzymując go.

— Ojej! jak blisko! Idą dzień i noc, ale ot co. Telegram jest od gubernatora, ot ten, do naszego pana, żeby wszystek spirytus, wszystka wódka wypuścić!...

— Co ty gadasz, zkąd wiesz?

— Mówił ten, co depezę przyniósł, mówili na telegrafie, nawet już urzędnicy poszli z wiadrami do sadzawki, słyszę, wypuszczają, i tak, na drogę... nie ma czasu zabierać, niema wagonów, nie ma porządku, ot co!

— Nu, nu, toż pieniędzy zmarnuje się w błocie! Ale co będzie jak ludzie popiją się i wojsko

Toż tu kozaki stoją, oni do wódki bardzo łakome... oj może tu być szurum burum... niechaj jo ta wojna... — mruczał powolny Dziergacz, kiwając się na dwie strony.

— Aniuk, ty wtedy telegram przynieś, jak my wejdziemy do pana, słyszysz, teraz to już wszystko jedno — tłumaczyła Aniela chłopcu, który na razie trząsł głową, a potem wzruszył ramionami, przyznając jej słuszność.

W tej chwili wyszedł z kancelarii rządca ogólny p. Biżewskiego, wybiegł raczej, wołając na cały korytarz:

— Dużo pan na swoim kręcielstwie zarobisz! I tak lada godzina to wszystko Niemcy rozbiją — i zbiegł ze schodów. Widać nie pogodzili się czegoś przy rachunkach. Dziergaczowa weszła, ciągnąc za sobą męża. Zaraz od drzwi, przełazić musieli przez graty, któremi duży pokój był zawalony, na ładnych meblach, złożonych i krytych adamaszkiem, leżały w kurzu sznury i żelaztwo, beczka z wódką stała w kącie, jakieś szruby i kawałki maszyn koło okna i biurka; papierów, rachunków, ksiąg kasowych mnóstwo leżało na podłodze, na fotelach, na biurku, porozrzucanych, pomieszanych z gazetami, z rulonami obić, próbkami linoleum; pas transmisyjny zajmował miejsce na kanapce, a ładna podłoga, w deseń układana, była zalana jakimś tłuszczem, z wywróconej blaszanki. Przez otwarte drzwi, widać było w drugim pokoju porozrzucane po meblach i po łóżku ubrania, które do kufrów składał służący. Koło biurka, stał niedużego wzrostu człowiek z bródką, blady, ciemnawy na twarzy, skrzywiony jakiś, o oczach bladych, patrzących z podełba. Kurczył się, chociaż w pokoju nie było chłodno, owszem zaduch, jak w nigdy nie wietrzonym miejscu.

Gdy Dziergaczowie weszli, pan Biżewski cofnął

się jak by chciał uciekać i zaczął rozlażłym, gderliwym głosem.

— Czego, co to, znów lażą! Ja nie mam czasu... aha Dziergacz no, tak, tak, to ja sam wołać kazałem... ale czego ty tu, a, czego? — mrucał w stronę Dziergaczowej, która stanęła obok męża i założywszy ręce pod chustkę, spoglądała na pana po swojemu, z góry i skrzywiona. Pan Biżewski bał się tej baby jak ognia; żeby wiedział że można ją za pieniądze wyprawić za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę, to, jak był skąpy, to by zapłacił i dawno wysłał ją gdzieś. Ale nie umiał się do tego zabrać i przez niedołęstwo, tchórzostwo, obawę awantur i hałasu cierpiał że szwendała się po pałacu, wtrącała się w różne rzeczy, kłócąc się z nim nie raz i nic sobie nie robiąc z nikogo, nawet ze starego „hada”, wszechmocnego Kojry. Wszyscy wiedzieli kim była dla pana i bali się jej; goście, śmieli się z tej siostry nie ślubnej, ale rozmawiali z nią inaczej niż ze służącą, a ona laziła tu i tam, robiąc tyle ile chciała, i jak z łaski, a zawsze, za najmniejszą usługę wytargowując u pana jakieś dary: to kwity do lasu, to kartki na zboże, a potem już z „hadem” dawała sobie rady, aż echo rozchodziło się po dworze od ich rozmówek.

Dziergacz wiedział że żona najlepiej wszystko załatwi, i leniwy, prawdziwie *tutejszy* człowiek, najlepiej lubił przez nią robić interesa z panem. Ale teraz, ona chciała żeby on się sam rozmówił, to też kiedy zaczęła tłumaczyć coś panu urągliwym głosem, rzekł:

— Pozwol Anielka, Pan mnie kazał przyjść, tak będziemy gadać.

— Chcę żebyś jechał z wagonem moich rzeczy, mój Dziergacz, ty uczciwy człowiek jesteś, ja tobie ufam, wierzę że nic nie ukradniesz, nie skrzywdzisz

mnie, ja ciebie wynagrodzę, oho, jak! Zapłacę, obaczysz! I ordynarję dam większą i może drugą krowę pozwolę trzymać...

— Cóż pan gadasz — zaczęła porywczo Dziergaczowa.

— Pozwol Anielka, ja pana chciał spytać, a jakżesz ja wrócę? Toż już Niemcy blisko?

— Jakie tam blisko, wrócisz duszko, wrócisz, zdążysz, ja tobie dam taką kartkę że ciebie na każdy pociąg wezmą.

— Aha, a jak nie wróci, to niechaj ja ginę, tak jak te baby, co mężowie na wojnę poszli, a pan i mnie krowa zabierzesz — dorwała się do głosu Anieli.

— Co gadasz, cicho, czego ty tę babę tu przyprowadziłeś; ta Anieli zawsze mnie czegoś męczy, ja ciebie pytam, jedziesz? To trzeba jutro, raniutko, słuchaj jak...

Dziergacz podniósł na pana swoje spokojne, szare jak nasze jeziora oczy, popatrzał, jakby uśmiechnął się temi oczami, podniósł pomaleńku rękę lewą, złożył ją w kulek, prawy łokieć o nią oparł, palcem parę razy nos podtarł, i westchnął, jakby stęknął, słuchając tłumaczenia pańskiego, a wysłuchawszy rzekł:

— Nie pan, tak ja musi być, nie pojadę.

— Czemu! Co ty, gubić mnie chcesz, człowieku!?

— Nu cóż, ci moja zguba, czy pańska? Ja nic nie wiem, ja mam swój kawałek ziemi i nie będę jak pies po obczyźnie latać, zęby szczerząc za kawałkiem chleba.

— Wszyscy uciekają, wszyscy ze dworów, i służba, i my.

— Musi być panom te dwory nie miłe, musi ta ziemia nie ze wszystkiem wasza, kiedy takim let: kim sercem *pamy uciekajuć* — przemówiła Dzierga-

czowa umyślnie *po prostemu*, żeby „narągać się” panu.

— Idź ty, nie durz mnie głowy, Dziergacz, co, ty nie pojedziesz? Złotem ciebie obsypię!...

— A na co mnie ta bieda, złota mnie pan nie dasz, a ja od swojej strony nie odjadę, i chaty nie zostawię, jeszcze czego! Tylko co pola kawalek dokupił i będę rzucać! I Anielki z dzieciukami nie zostawię, na cóż my żenili się, razem żyć, tak już panoczku nic z tego interesu nie będzie.

— To choć tu pilnujcie, chrońcie, strzeżcie! — gadał dziedzic jak w gorączce, biegnąc po pokoju.

— A cóż my tu upilnujem, czy to nasze — spytała Dziergaczowa, — Pan nie dbasz i rzucasz cały dwór, a chcesz żeby my, sługi więcej dbali; cóż my bić się z Niemcami nie będziemy o pańskie meble i pałac, i za jakie łaski?

— Dziergaczowa, ty już swoje fanaberje zanadto pokazujesz, jeszcze Niemcy nie tak blisko, i jeszcze ja mogę was wyprawić... Co to? — wyrwał z rąk chłopca wlatującego z depeszą, papier, i rozerwawszy, pochylił się żeby lepiej przeczytać. Nie uwierzył oczom. *Wypuścić 10 tysięcy wiader spirytusu... rząd zapłaci odszkodowanie.* Tak, ale czy upita ludność nie spali mu dworu?! Trudno! Nie było czasu do namysłu, nieusłuchanie rozkazu, pociągało straty olbrzymie, a tak, można było dowieść w Petersburgu, przy protekcji, że spirytusu było 15.000 wiader.

— Wołać mnie gorzelanego i Kojrę, zaraz, wy ruszajcie, jutro się rozmówimy: rzekł głosem powolnym i spokojnym, tylko kwaśniejszym niż zwykle i piskliwszym, a gdy wyszli, zawołał do służącego: — Jak świt wyjeżdżam Janie, pakuj co prędzej, nie mów tylko nikomu.

Naturalnie, w godzinę, cały olbrzymi dwór wie-

dział, że otwarto krany od cystern, i że Pan ucieka. Panie już wyjechały.

W otwartym oknie na ogród, zalany światłem księżycy, stał dziedzic łękupski, i czując coraz silniejszy zapach spirytusu, rozchodzący się od strony zabudowań rektyfikacji, rozumiał, że krany puszczone, i że olbrzymie bogactwo, trujące i cenne, leje się w błoto. Że musi uciekać, bo w Rosji ma setki tysięcy rubli, zresztą boi się tu zostać, wszyscy przecie uciekają... że zostawia tu miliony w lasach, ziemiach i budynkach, i nie wie co zostanie jak wróci. Nie miał wielkiej miłości do ziemi, niczego nie kochał, ale chciwość darła go na części, i męczył się, słysząc wrzaski tłumu, zwiastujące mu, że alkohol płynie i marnieje tyle pieniędzy. Gryzł palce z wściekłości, i myślał tylko o tem, ile mu zapłaca za szkodę. Ani cudna noc, ani stare ściany dworu, ani piękne, duże drzewa ogrodu, nie znaczyły mu nic. Nie jeden uciekał dziedzic w tych czasach, opętany strachem, ale zegnał ze łzami próg domu; nie wielu zostawało, nie chcąc opuszczać rodzinnych gniazd swoich i tułać się po obczyźnie, ale ten był tylko królem alkoholu i bał się że kończy się jego panowanie.

Dziergaczowa nie mogła usiedzieć na miejscu, darmo ją mąż napominał żeby została w domu, rwała się iść patrzeć co się dzieje. Zdjęty ciekawością, i on wylazł, mruczając. Zaledwie wyszli, uderzył im w nozdrza zapach spirytusu, który rozszedł się tak silnie, że zadusił zapach lasu sosnowego i łąk, nocną rosą pokrytych; idąc w stronę dworu, potykali się o leżących przy drodze i w rowach ludzi, upitych na śmierć, inni pełzali na czworakach po kałużach, i lizali błoto, przesiąknięte spirytusem. Kolo płotów, oficer jakiś, lajał ostatniemi słowami, po rosyjsku, kupę żołnierzy, podpierających

ogrodzenie, i spitych do nieprzytomności; niektórzy probowali się jeszcze wyprostować, inni walili się z nóg jak martwi, a wszyscy wyli beładnie jakąś żołdacką pieśń, ponurą i tęskną, gdzie były słowa o śmierci i krwi. Na wszystkie strony biegali mieszkańcy miasteczka i dworu, nosząc w wiadrach, kubłach, neckach i dzbanach, w czym kto mógł, spirytus, który czerpali z sadzawki, pełnej po brzegi wody, zmieszanej z wylewającym się z cysterny rynsztokiem spirytusu.

Darmo kilkudziesięciu kozaków, pod komendą oficera, nahałami odpędzało ludzi; ze smakiem smagali po plecach, zwłaszcza dziewczęta, uciekające z piskiem i gonili za nimi w krzaki, sami mocno pijani. Wśród murów gorzelni, ktoś rzucił był zapalną w dużą, wykopaną jamę po glinie, i tam palił się błękitnym, lekkim ogniem spirytus, mimo że kilku przytomniejszych ludzi, starało się zasypywać to płomie piaskiem. Powietrze było jak w szynku; smród alkoholu, potu ludzkiego, juchtu i machorki, zadusił wszystką czystość powietrza, ciszę roztrącił wrzask i harkot setek ludzi, a czasami dzikie hurra i strzały, dawały znać, że *chrabre* wojska carskie, jeszcze jako tako trzymają się na nogach.

Cichaczem, drogą przez pola, nie oglądając się ze strachu za siebie uciekał ostatnią czwórka dzieci. Dziergaczowie szli powoli ku pałacowi, on kiwał po swojemu głową, powtarzając spokojnie: ot co dzieje się z narodem, błoto liżą ot! Ona milczała, z zaciśniętymi zębami i jakąś radość była na jej twarzy.

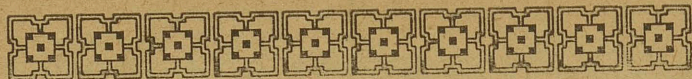
Ciągnęła męża „zobaczyć czy jeszcze pan jest”. Weszli w otwarty dom, pusty zupełnie; rabować nikt nie myślał, wojna jeszcze tego nie nauczyła, służba snuła się składając swoje manatki. Stary Kojra biegł po pokojach, trzęsąc się i powtarzając „paskudz-

two“, znosił do jakichś szuflad, do skrzyń, papiery i rachunki, powierzone mu widać przez pana.

Dziergaczowa szła prosto w najpiękniejszy, jak salon umeblowany pokój, nieboszczki pani, gdzie stały meble i lustra mahoniowe, kandelabry z brązu, wisiały firanki i kapy z adamaszku, tualeta zaś, lśniła od kryształów i sreber. Tu mieszkała siostra pana, i wyjeżdżając nagle, zabrała tylko swoje kufry; całe łękupskie bogactwa leżały i stały nietknięte. Dziergaczowa weszła, stanęła, i rozejrzawszy się w koło, widząc wszystkie pokoje puste, zamarły dom, opuszczony, siadła na rozłożystym łóżku, pokrytym śliczną pościelą i atlasową kołdrą, i rzekła do zdumionego męża, patrzącego na nią gapiowato:

— Teraz ja tu będę...





ŁAURUK HAŚCIŁO.

Idzie sobie drogą, stecką polną, od dawien dawna wydeptaną pośród miedz i pól rodzimych, idzie i patrzy, i wzdycha. Ciężkie, jak stękanie roboczego bydłęcia, jest westchnienie chłopskich piersi.

Ile tam dni znojných, pracowitych się odzywa, ile mrozów przekaszanych, ile głodów cierpliwie znoszonych, ile gniewów nie objawionych.

Żył sobie, ot, jak ojce, i jak wszyscy w wiosce, Łauruk Haściło, i ani mu dobrze, ani źle było na świecie. I niebardzo głodno i niebardzo syto. Możeby lepiej było i bogatszymby się stał, żeby do Ameryki ruszył, jak inni, albo rozumniej pracować umiał. Ale skąd miał co umieć? Czy to kto uczył? Ot, jak „bački“, tak i on, tę ziemię grzebał, a co Bóg dał, to i wyrosło. W obce strony jechać nie chciał. Może tam brylanty rosną i pieczenie baranie same do gęby laza, jak niektórzy opowiadają, ale Łauruk Haściło na to się nie poślakomił. Pieniędzy, czemuż? Chciałby jak najwięcej, tyle pięknych rzeczy jest do kupienia na kermaszu, albo i w Wilnie, kiedy na odpust do Kalwarji pójdziesz. Ale, żeby po te pieniądze w ruskie miasta iść, czy za morze jechać, to już nie! Nie, braciszku, tego Łauruk za nic nie chciał. I sam nie umiał powiedzieć czemu, jak go namawiali. Bywało gada ten i ów, namawia „machluje“ o zarobkach, buty piękne pokazuje; pół roku

temu, jak wyjechał na fabrykę, a już i przy zegarku, i kalosze głębokie ma!

A Łauruk nic. Popatrzy, podziwi się, rozpyta wszystko akuratnie, posłucha, a potem, jeżeli na dworze, rozejrzy się jakoś naokoło, a jeżeli w chacie, to wykręci się bokiem, przez małą szybkę spojrzy, i powie pomaleńku, po swojemu:

— Nie, musi ja, to nie pojade.

— Czemu?

— Ot, tak. Swoje strony... Przywykł ja tu żyć... Mnie by nudno było... Tutejszy ja...

— Ach ty, ciemny narodzie — wołał taki namawiacz z miasta: — toż tu nudno, jak w turmie, ani ty świata nie widzisz, ani co posłyszysz ciekawego...

A wtedy Łauruk Haściło gębę otwierał w cichym śmiechu. Nie, w miastach to oni rozumu nie nabierają, nie! Świata tu nie widać! A Bożesz mój! Czy nie za murami, za ulicami, świat widać? Nie, tylko kamienie i smród, ot pociecha! I ciągle, jak kermasz, ludzie lecą gdzieś i hałasują. Dobrze tak czasami w odpust, czy tam na jarmarku, ale codzień to i w głowie huczy i człowiek jak pijany chodzi.

A w wiosce, na robotę sobie wyjdiesz, na słonko popatrzysz, czy prędko ono z za obłoków wyjdzie, oczy swoje złote przetrze, i ludzi, pola i bydelko ogrzewać zacznie.

Spokojnie sobie, nie śpiesząc się, zaorzesz kiedy czas, a kiedy inny czas, zasiejesz, czy tam kośba wypadnie, czy żnieja, wszystko pomaleńku zrobisz, na swojej ziemi pracując, a co ona ta matka da, tem z dziatkami i żonką żyjesz, Boga chwaląc.

Swoja ziemia. Choć ona czasem macochą okaże się i za trudy, za siódme poty wylewane wiosną i latem, nie koniecznie hojnie obdaruje jesienią, i wiosna bywa głodnowata, chleb z miękiną i z dyrsą jeść trzeba, ale cóż zrobić? I matka, bywa, że

szturchnie i wylaże, a dlatego matka. Tak i ziemia, swoja. Jej nie dogodzisz i ona nie dogodzi, jakby chciała mówić:

— Durny ty człowiecze, jażby tobie wszystkiego dała co najlepsze; komory ty by miał pełne i śpichlerze i świronki, a czemu ty mnie nie tak plugiem skrobał jak należy? Czemu ty mnie gnoju nie porzucił do syta? Czemu ty mnie pracy swojej, potu poskapił?

To Łauruk Haściło bardzo dobrze rozumie jak do niego ziemia gada, czy kiedy on ją orze i bruzdy odwalają się wilgotne, tłustawe, i rozsypują się pod błyszczącą stalą pluga, czy kiedy mizerne kłoski kołyszają się w zbożu i naragają się gospodarzowi:

— Czemu lepiej nie siał? Czemu ziarna nie czyścił? Czemu dwa razy nie bronował? Czemu perzu nie wybrał?

Łauruk drapie się wtedy za ucho i mówi sobie: prawda ot, ich prawda, nie moja! Lenił się ja, ciągał się po gospodarstwie jak smoła, wszystko na jutro odkładał, aż i jutro pokazało się nieprzyjemne... Nu, nic, poczekaj ty na przyszły rok... tak sobie ten Łauruk do ziemi gadał.

A ona jemu jakby odpowiadała. Dziw nad dziwy! Ale to tak było. Jak czasami w Niedzielę po mszy i po obiedzie, wyjdzie Łauruk popatrzeć jak żyto rośnie, czy tam kartofle, czy kto do szkody nie lezie do grochu... jak podejdzie miedziami, sznury swoje wązkie obchodząc... to nie raz, nie dwa, a zdarzało się, że jakby coś z ziemi, czy z powietrza gadało:

— Nic sobie Łauruk ty nie sumuj! Nie lamentuj, nie ten rok, to drugi będzie dobry. Chłopska dola twarda, nie takie rzeczy wytrzyma. Tylko ty mnie trzymaj się, tylko ty mnie nigdy nie rzucaj, tylko ty mnie potem swoim krwawym, nie leniąc się,

polewaj, a już ja ciebie gorzej — lepiej, a zawsze nakarmię. Ja dzieci swoich nie umorzę. To i nic dziwnego, że jak temu chłopu takie myśli po głowie chodziły to on o żadnych fabrykach, ani Amerykach, słyszeć nie chciał.

I żył by tak: Do wieku. Umarł by sobie po chrześcijańsku z księdzem i sakramentami, złożyli by w piaseczku, na mogilniku pod szumiącym borem i stypę piękną z wódką i śpiewaniem wyprawili, krzyż malowany postavili, a on spał by sobie spokojnie. Oj, już kiedy by spał, to za wszystkie ziemskie niedospania, i odpoczywał, wiecznym odpoczywaniem, za wszystkie trudy, aż do sądu ostatecznego, kiedy to archanioł trąbą na dolinę Jozefatową wzywać będzie.

A jeszcze i z pod tego mogilnego piasku, z pod desek trumiennych smołą pachnących, musi być, że Łauruk Haściło patrzył by na swoją ziemię i na swoje gospodarstwo. Czuł by jak ta ziemia od ciężkiego mrozu stęka zimą, albo jak mruczy z radości na wiosnę, strumykami szemrząca, kiedy ją słonko Boże z kajdanów zimy rozkuje, i da wolność płodzić dobre ziarno i wszystko co człękowi do życia potrzebne.

Musi być, że jakby widział szkodę w polu swoim, czy złe oranie, czy tak, jakie hultajstwo, to i z mogiły by się odezwał. Nawet mówił o tem synowi, i Jasiuk okropnie się bał, że Ojciec po śmierci przyjdzie go za nogi ciągnąć, jeżeli się nie nauczy przy nim dobrze orać i bronować. To też starał się chłopiec jak mógł, a swoją drogą obiecywał sobie zawsze dawać dziadom na pacierze za duszę ojca, żeby broń Boże czego, umarł.

Ale tymczasem nie wybierał się na tamten świat. Zdrow był i wytrzymały, jak ten kamień przy drodze, co to sto razy kołem szturchną i przejadą, a on nic, łeb swój uparty trzyma jak trzymał.

I tak sobie życie płynęło pomalerkowi nad Laurukiem Haścila, i nad jego żoną Marcysią, i dziećmi Jasiukiem, Kaziukiem, Antosiem, Anielką i nad wioską Podjelniaki, gdzie mieszkali, i nad całym litewskim i białoruskim krajem i nad całym światem pewnie.

Aż tu Boże zmiłuj się nad nami! Głos poszedł po narodzie, że wojna! Jaka! gdzie? Gdzieś na końcu świata, jak ta japońska? A nam co do tego! Otóż nie, okazało się, że wcale inna: tuż blisko, za ścianą można powiedzieć. Z „Germanem”, czyli Niemcem. Ruskie byli zawsze z Niemcami w wielkim przyjaźnielstwie, nawet niektórzy mówili, że cesarz ruski, choć prawosławny, ale z Niemców i żona jego, carowa, też. A tu, ot i pokłócili się czegoś, nie podobalo się coś tym cesarzom, czy innym, i wojna. A ty, prosty narodzie, cierp!

Mobilizacja! Uradniki kartki rozmaitych kolorów ponaklejały na chatach, a to pierwszy rocznik, a to drugi.

Płacz, lament w całej wiosce. Baby wyją i na mszę do proboszcza noszą, żeby Bóg nieszczęście odwrócił, a mężczyźni klą, piją, kłócą się i szukają, jak się wykręcić. A niektórzy, owszem, z ochotą idą „Niemców, mówią, bić będziemy, kraj ich bogaty, dobra różnego nabierzem, bogaczami wrócim”.

W cichy kraj jakby burza nadleciała i odejść nie chciała. Wszyscy jak w gorączce. Kto pójdzie? Kto zostanie? Lauruk spokojnie siedział, bo jego kategoria była bardzo daleka. Poszedł do dworu i raz wysłuchał, jak mu pan tłumaczył, potem ponieważ nie bardzo wierzył, podsypał żyta Abramkowi w miasteczku, i ten mu drugi raz to samo powiedział, że chyba by wojna trzy lata trwała, to Lauruk pójdzie, a tak, to nie.

Trzy lata? No, śmiech myśleć. Gdzież to wojna może trwać trzy lata? I ludzi by nie zostało.

Poszli z wioski żegnani płaczem i skowytem takim, że zdawało się ściany domów, i psy na łańcuchach, i powietrze, i ziemia jęczą, i wyją za gospodarskimi synami, co odchodzili, obcy jacyś, źli, jak wilki, w swoich borych mundurach, bić się niewiedomo za co i po co. Tego to nikt w wiosce nie rozumiał i nie wiedział. Nikt tu Niemców nie znał, nie widział, i każdy myślał: Nie lepiej to siedzieć cicho, na cóż taki harmider, takie zmartwienie z tą wojną?

No i była ta wojna. Gdzieś tam, bili się za Warszawą, miastem polskim, tak jak i Wilno, ale bardzo daleko, aż w Polsce. Bili się gdzieś za Kownem, tam znów gdzie Litwini siedzą. Ale tutejszy człowiek, tymczasem był bezpieczny. Trochę wszystko zdrożało, czasem list przyszedł, że którego zabili z soldacików podjelniackich, dali na mszę, popłakali, pomodlili się i koniec.

Aż coś w rok po tym początku wojny, ten i ów z miasta zaczął przywozić takie wiadomości, że włosy na głowie stawały. Niezwyciężone rosyjskie wojska uciekały w popłochu. Trząsł się ze strachu car w białej stolicy Petersburgu, co teraz Petrogradem kazali nazywać, że to tamte nazywanie z niemiecka było.

Nie tylko uciekali ruskie, ale nie do wiary rzeczy! Podobno uciekając, ze złości, palili wszystko co na drodze: chaty nie chaty, dwór nie dwór, wszystko im było jedno. Pola żytnie, owsy dojrzałe i jęczmień nie podpalali, strach pomyśleć. A kartofle końmi tratowali. Tak opowiadali „bieżency”.

To cóż, pytali ludzie w Podjelniakach, to i z nami tak będzie, a czegoż oni chcą? Czy to koniec świata i Antychryst leci jak w Apokalipsie pisze? Dlaczego oni chcą naród ogłodzić, a cóż my jeść będziemy?

Tamci opowiadali, że ruscy pędzą i naród przed sobą, że urzędnicy namawiają by do Rosji jechać,

a tu Germańcom tylko gołą ziemię zostawić. I niektórzy porywali się uciekać do tej Rosji, ale inni słyszeli o tem uciekaniu okropne rzeczy. Że ludzie giną jak muchy od chorób i nie wygody, a osobliwie dzieci, tak że drogi znaczone małemi mogiłkami, a czasami zgroza pomyśleć, małe trupy przy drodze leżą, bo czasu nie dali pogrzebać, tylko pędzą i pędzą dalej, na zatracenie.

Baba Lauruka z dziećmi była bardzo niespokojna i nie wiedziała co robić. Lauruka nie było w chacie, jak te wiadomości przyszły, bowiem policja popędziła wszystkich mężczyzn na robotę, gdzieś aż za Wilno — okopy od Niemców kopać. A straszili ludzi, że oni wcale nie wrócą, bo ich ruski zabierze ze sobą uciekając, żeby Niemcom ich nie zostawiać, tylko baby i dzieci. Więc strach padł na wioskę i płacz i modły co dnia, aż ciężko żyć było.

Nagle któregoś dnia przywlekli się prawie wszyscy z robót. Ależ wyglądali! Boże odpuść! zczernieli, i z twarzami jak ziemia, zaraz położyli się, ziółka pijąc i ratując się, czem kto umiał, od śmierci. Bardzo byli chorzy, ale kontenci, bo Lauruka konceptem wyzwolili się od robót i opieki rządowej. Tam też słuchy doszły o odstępowaniu wojsk rosyjskich, i przewodnicy powiedzieli pracującym, żeby nie śmieli zostawać tutaj. Gdzie carskie wojsko, tam i oni mają iść!

Ehel nie Laurukowi Haścile takie rzeczy gadać! On z wami nie pójdzie, choćby go mieli zabić na jego własnym polu! Gospodarz on, i umierać chce pod swoim węglem, a nie jak pies bezdomny, czy cygan, na rozstajnych drogach. Nie, braciszki, już wy jego do uciekania nie namówicie! On tutejszy i tutaj zostanie, a czy tam nad nim niemiec, czy ruski panuje, taka bieda! Jeden czort, a drugi taki sam.

To i co? Skóra chłopska twarda. Przywykła,

to wszystko wytrzyma, byle w swej stronie. Byle nie w obce kraje iść. Byle od tej ziemi nie odchodzić.

To też Lauruk zwąchawszy pismo nosem, powiada do swoich wioskowych.

— Słysz, kumy, który chce wrócić do chaty

— Kto nie chce, kuźdy chce, wiadomo, odrzekli.

— Nu, tak ryzykujmy! Znam ja takie ziele, pijanica nazywa się, objesz się, zaraz torsjt i bolenia brzucha dostaniesz. Cholery jednym słowem. Przestraszają się i puszcza.

— Ot i wymyślił! do szpitala odstawia, nie do domu.

— To w drodze ucieknem.

Tak i zrobili, tylko że nikt niemi się nie zajmował, ani ich do szpitalu odwozić nie myślał. „Starszy“, jak zobaczył, że oni czernieją na twarzy, i bardzo wymiotują, plunął, zaklął do czorta, kazał im wydać kartki uwalniające, i przegnał precz do domów, żeby mu obozu nie zarażali. Otóż wyśmiewali się z niego wszyscy!

I wracali, pomaleńku, bo bardzo im zaszkodziły te pijanice, ale kontenci, że do chat, a nie do Rosji idą.

I tak znów przyczaili się cicho w chatach, czekali, jaka też to ta wojna będzie, co już tak blisko do nich podchodzi, jak ten smok z bajki, co wszystko przed sobą pożera, siejąc ogniem i siarką z paszczęki.

Nikt nawet po nowiny nie wysuwał się na trakty. Podjelniaki były za lasami, za błotkami, i niektórzy mówili, że w takie wertepy Niemcy wcale nie pójda.

Aż tu któregoś wieczora ledwie ściemniało na niebie, przewalać się zaczęły różowe łuny pożarów. Paliło się naokoło prawie, a najwięcej na zachodzie, aż o świcie, ranny wietrzyk przyciągnął smród spa-

lenizny. Z za lasów, na jasnym niebie ukazały się małe obłoczki i pękały ze stukiem: paf, paf, paf, raz i drugi zacharczał nad wioską aeroplan. Chociaż słyszeli ludzie o takim „czorcie”, co po niebie lata, ale nigdy tego nie widzieli, i przestraszyli się jeszcze bardziej. A tu codzień zaczęli ze spalonych wiosek przylatywać ludzie, jak oszaleli ze strachu i męki. Kobiety, dzieci w koszulach, boso, jak z łóżka wyskoczyli, mężczyźni z małymi tobołkami. Tak ich w nocy pożar, czy strzelanina obu wojsk przychwyliła, że przytomności nie mieli co zabrać. Opowiadali, że kozacy rozbijają wszystko w miasteczku i tylko krzyczą: wódki, dziewczek!

Trzęśli się wszyscy i wielkim płaczem napełnili sioło.

Zgorzały ludziom chaty, stodoły, obórki, zboże i bydłę wszelakie, nędzarzami zostali. Podjelniaccy pytali, czy Niemcy bardzo straszni. Tamci mówili, że tak. Ze tłusci, brodaci, silni, i jakoś tak idą, i siedzą, i jedzą, jakby tylko dla nich miejsce było na świecie, a ty, człowieku, umieraj sobie, czy żyj, to on, ten Niemiec i nie spojrzy. Dzieci tylko widać lubią, bo często któryś dzieci pogłodzi, i coś da, i na palcach pokazuje, ile u niego jest. Najczęściej dużo. Taki naród mocny, dobrze widać je, to i dzieci dużo płodzi.

Wreszcie i na Podjelniaki zwała się ta chmara.

Któregoś wieczoru, właśnie kończyli kartofle, które na gwałt wykopywali i chowali w wiadome miejsca ukryte, pastuszki pędem przybiegły z góry, wrzeszcząc w niebogłoso: „idą, idą”! Kto żyw, zaczął uciekać i chować się po kątach, zwłaszcza kobiety i dzieci. Ale inni odważniejsi wyszli na wzgórek, żeby zobaczyć wreszcie, jak to oni wyglądają ci Niemcy.

Lauruk też wyszedł i, gdy wgramolił się na góręczkę i spojrzał, dech w nim zaparło. Od lasu,

krętą drogą, sunął się... wąż, nie wąż, smok, nie smok, ogon jakiś, na Bóg wie, ile sążni długi. I cały ruszał się cicho, bez głosu, szary, jak zakurzony kurzem dróg dalekich i, zda się, łykał tę drogę, i szedł pożerać las, i wioskę, i ludzi.

Za chwilę doleciał już szelest kroków, jakby odgłos chrzęstu łuski smoczej, tysiące zda się szły przed siebie, nieprzepartym twardym krokiem.

Lauruk poczuł, że mu serce zamiera. Nigdy nie widział takiego mrowia w szeregach; na prawdę wydało mu się, że ono przejdzie po wiosce, a po niej i śladu nie zostanie. „Kto takich zwojuje”, myślał?

I oto wpłynęła cała rzeka ludzi w ciasne opłotki. Gwar powstał, komenda, bieganie... Nie minęło i godziny, jak Niemcy porobili takie dziwy, że wioskowi ze zdumienia i o strachu zapomnieli. Calutkie drzewa ocepili drutami, które zaczęły dzwonić, kuchnię jakąś na kółkach przywieźli, i w mig jeść z niej zaczęli dawać żołnierzom. Jenerały jakieś, bardzo wielmożne, zasiadły w najlepszej chacie, którą wyporządkowali, wyrzuciwszy gospodarzy na dwór. Zaczęli rznąć owce, krowy, wieprze, kopać warzywo, gotować w kotłach ogromnych, jeść, pić piwo, które całymi wiadrami im noszono. Częstowali nawet chłopów, pytając ich: „Rusek panje”? A gdy chłopci zrozumiałwszy o co chodzi, pokazywali szkaplerze i wołali: „Katolik, tutejsze, my, nie ruskie, nie”! To klepali po plecach i, śmiejąc się, wołali: „gut, gut”, co umiejący trochę po żydowsku Klipa, rozumiał, że „dobrze” znaczy. Z tego wymiarkowali, że teraz ruskim nie trzeba być, bo Niemcy na ruskich najbardziej zawzięci. Na zabierane rzeczy, kiedy chłopci się skarżyli, dawali jakieś karteczki, ale nikt ich wyczytać nie mógł, jakimiś, jak żydowskimi znakami pisane były.

No, i zaczęły się niemieckie porządki, jakich niebo i ziemia, ani oczy ludzkie nie oglądały. Cała okolica zrobiła się w parę miesięcy inna, jak to w pieśni mówi: zmieniała się postać rzeczy, zmienił się porządku szyk. Hałasu było pełno po ziemi i w powietrzu, a nie wiatr to był, albo grzmot niebieski, ale piekielne hurkoty turkoty karabinów maszynowych, co szczekały hen za borami, jak stado złych psów, warczenie aeroplanów i wstrząsający huk armat, od którego we środku człowiekiem targa ból i strach, a ziemia i niebo stękają z rozpacz. Automobile pełne wojskowych, broni, mebli, amunicji, latały wyjąc i gwiżdżąc, toczyły się groźne armaty po drogach, na które Niemcy ślać kazali całe lasy.

Kładły się sosny, pańskich borów bogactwo i dęby cenne, i drżące osiny, i co popadło, a lasy znikwały, jakby jakaś żniewa-potwora sierpem zagarniała i słała na ziemię. Pnie tylko i gałęzie leżały bezładnym łomem, a wiatr bez oporu hulał, wyjąc, i mroził do reszty ludzi w ziemiankach.

Ach, bo mało kto pozostał w swojej chacie, w rodzinnej!

Gdzie Niemcy nie spalili wiosek, to wypędzili ludzi precz; sami siedli sobie w ciepłych ścianach, i szwargocząc cały dzień, pracowicie kręcąc się koło swoich zajęć wojennych, grzeli wieczorami zęby przy palących się ogniskach, zjadając konserwy i mięso, śpiewając ponure, groźne pieśni.

A ludzie, gospodarze osiadli? Ach dolo, ty dolo! Siedzieli gorzej dziadów ostatnich w ziemiankach sklejonych z desek, resztek belek, chrustu, na klepisku z ziemi, gdzie woda stała i marzła zimą...

O jakże umierały dzieci od tej wilgoci i chłodu!

Jakże chorowali ludzie, których Niemcy pędzali na ciężkie roboty, sprzegając tak zwane „Panje

kompanie“. Ludzie ci nieszczęśni przymierali głodem w źle opalanych szopach, jeść dostawali mało i źle, a pracowali gorzej wołów. Dźwigali na plecach tak ciężkie kłody drzewa, że padali z porwanymi kiszkami, a Niemcy kopali ich butami, bili i kłeli.

Nadto cierpliwy był ten naród i nadto pokorny, dlatego tak nim poniewierali.

I na Łauryka Haściłę przyszły czasy okropne. Z chaty wygnali, ale tak skomlała żona i dzieci, tak on sam w ręce i nogi całował Niemców, że pozwolili zostać w świronku. Zimno i ciasno im tam było, ale zawsze lepiej, jak w tych dołach ze szczerej ziemi, w których ludzie już jak w grobach, gnili za życia z gorączki i febry.

I łajania i szturchania doznał gospodarz Łauryk Haściło, przy tej niemieckiej pańszczyźnie, i tylko bić żaden do niego nie sunął się, bo jak raz rzucił Haściło sosnę i nieść nie mógł, a Niemiec dał mu w zęby, to nagle coś chłopem podniosło jak piorunem. Zazgrzytał zębami i chwyciwszy siekiere, zaczął iść do Niemca patrząc na niego takim wilczym wzrokiem z podełba, że Niemiec wrzasnął na żołnierzy, coś tam zakrzyczał, i poszedł dalej.

Od tego czasu krzywdził go i dokuczał, ale nie tknął. Zrozumiał, że i ten zahukany Łauryk, nie da się jak bydle poniewierać.

A Haściło po swojemu przyglądał się milczkiem wszystkiemu, i dziwił się bez końca.

Bo oto, Niemcy, choć takie złe, ale podobały się jemu z różnych rzeczy! Robota u nich szła, ot co! Jak w zegarku. A przytem każdy wiedział co ma robić i rozumiał dla czego.

Nic dziwnego, czytać-pisać umiał każdy, i wśmiewali się, poduczywszy się po naszemu, że nasz naród taki ciemny. Listy pisali, czytali książki i ku-

powali gazety; czasem i polska trafiła się, to ludzie starali się i czytali, nawet uczyli się, niektóre, od tych niemieckich żołnierzy, co mówili po polsku, i o sobie dowodzili, że są Polaki z Wielkopolski, z pod Poznania, albo ze Śląska.

Łauruk sobie wtedy w głowie miarkował, że jednak ten polski naród ważny jest, i szeroko po świecie rozciągniony, kiedy Niemcy z takiej daleczyny przyszli, a i tam polski naród żyje. I dziw, więcej umie niż tutejszy. Choć mówili łamaną mową, ale deklarowali o sobie, że są Polacy, a kiedy pytali o to tutejszych, to ten i ów popatrzał po innych, za ucho drapał się i mruczał: że, katolik on, tutejszy... nie ruski, nie! A czy Polak? A Boh wiedaj! Musi Polak... ale Polaki to pany, a my ot naród prosty nazywa się.

Ale od niemieckich Polaków posłyszeli, Łauruk i inni, że w Polsce wszyscy są Polacy, i panowie, i proste chłopcy. Tak oni sobie gadali, i szły ciężkie dni, tygodnie i miesiące i coraz było gorzej. Armaty grały, pękały szrapnele, życia ludzkie kładły się jak kłosa. Wojna srożyła się, jakby ludzi wścieklizna ogarnęła.

Zaczął się w tej okolicy przyfrontowej głód straszny. Dużo do czego chłop przywykł, i nieraz zdarzało się na wiosnę biedować, ale co teraz było, tego i najstarsi ludzie nie pamiętali. Niemcy zabrali wszystko: i bydło, i zboże. Kładły się w chatkach na śmierć całe rodziny. Puchli z głodu i zamierali powoli w męczarniach. Dzieci i starych, to i widać nie było, bo wszyscy leżeli już na cmentarzu, a ci zostali, ciągnęli się jak szkielety, że zdaje się kość o kość dzwoniła.

Niemcom też letko nie było. Czego nie jedli! Psy, koty, wrony, gawrony, trawy różne, nawet, ha-dosć taka, żaby łowili i żarli, a padlina końska, to

już za największy bal była. „Wytraci nas ta wojna do ostatniego“ szemrali Niemcy i kłeli swego Kaizera (cesarza) coraz głośniej, a oficerowie udawali że nie słyszą, bo słuchy chodziły że w Rosji zbuntowało się wojsko, rżnie oficerów i cara zabili. Coraz straszniej było.

Łauruk Haściło chodził do siebie niepodobny: troje dzieci wynosił na mogiły, a żona głosiła i głową o ściany biła. Letkie były trupki, jak ptuszczyki... same kostki z nich zostały.

Do samej śmierci dzieciuki jęczały: jeść, jeść... zdaje się kroszeczka chleba, mleka kapkę to by i wyżyły... A tu nic, nic, choć ty matko — ojciec żyły sobie rozpruj i daj.

Tylko dwóch starszych chłopców zostało, ci chodzili na roboty i jaki taki prowiant dostawali od Niemców. Zdawało się że już zmiłowania Bóg nie zesze i wszyscy tu wymrą z głodu. Aż raz straszny krzyk posłyszeli ludzie. Niemcy lecieli jak oszałeli. Pokój! Pokój! Z Rosją skończyła się wojna! Teraz się też chłopci dowiedzieli dziwów, że cara naprawdę niema, zabity, że panują tam w Petersburgu i Moskwie bolszewicy, którzy chcą cały świat przerobić; odebrać bogatym, a dać biednym.

I ziemię chcą rozdawać — to, myślał Haściło jeżeli są tacy co dadzą ziemi, to najwięksi dobrodzieje. Chodziły takie słuchy, że bolszewicy to rabusie okrutni, że to żydowskie panowanie z niemi przyjdzie, a nie żadna wolność, ale temu chłopci nie chcieli wierzyć, bo jakże, myśleli? Prosty naród rządzi, to już żyda nie dopuści do panowania. Spytać nie było gdzie, bo we dworach pustki, panowie pouciekali ze strachu, a gdzie jakie zostali, to daleko. Proboszcz nie chciał o polityce gadać, bo lękał się Niemców i donosów, więc jeżeli kto przyszedł, to wypychał za drzwi, mówiąc: „Jak Bóg da, tak będzie, jak Bóg

da". To chłopci i sami wiedzieli, że Boska wola najmocniejsza, ale chcieli by trochę o czymś pogadać? Zdawało się, że już tak żyć jak dawniej nie można. W takiej ciemnocie, o świecie bożym nie wiedząc, jakieś po ludziach szło poruszenie, jakiś niepokój w głowach, gawędy wieczorami, spory. Niemcy niektórzy umieli po polsku, gadali z ludźmi, czytali im z gazet co się na świecie dzieje. Podjelniaacy dowiedzieli się przez te lata nadzwyczajnych dziwów. Jak Niemcy dobrze żyją, jak na wszystkim się znają, jakie u nich mieszkania czyste. Że pisali wszyscy i czytali, to się bardzo podobało podjelniackim. I oni by chcieli. A Niemcy ich pytali po jakimu oni piszą będą, czy po rusku, czy po polsku, kto oni? Tutejsi!...

Tutejsi, to żaden naród. Takiego niema na świecie. Więc namyślali się Podjelniaacy ludzie, kto oni? A najwięcej myślał o tem Łauruk. Kto on, i ziemia ta jaka? już teraz nie tylko myślał co na niej siał i jak orać, ale czyja ona będzie, cała? Polska, ruska, czy niemiecka? „Nasza będzie“, mówili chłopci. Nasza, to nasza, ale my kto?

W takich myślach nadeszła zima. Niemcy zaczęli wszystko sprzątać, wywozić, sprzedawać i zabierać co można.

Jak chłopci jęczeli że im ostatki zabierają, to Niemcy im mówili: bolszewiki przyjdą, to wam dadzą.

I poszli sobie bez hałasu. Któregoś dnia nie było ich i koniec. Chłopci kiwali głowami. Żadnych urzędów nie było, żadnego panowania.

Raptem, jednego ranku, konno do wioski przyleciał jak piorun, młody chłopak w siwym mundurze, jakimś takim jakiego jeszcze nie widzieli.

Zwołał ludzi do chaty, włożył na zydel i przemówił. Do duszy, do serca. Że ludzie muszą się

zbierać i do polskiego wojska iść, kraju swego od obcych bronić.

Że tam już koło Krakowa, Warszawy, ziemia wolna i tamtejsi ludzie sami się rządzą, obcych niema, trzeba i tu się obronić, bolszewików nie puścić.

Nowe to były dziwy dla całej wioski. Posłyszeli jak bajkę, o takim człowieku, tutejszym, ze swoich stron, ze dworu Żułowa, nawet niektórzy znali ten dwór, że otoż Pan Józef Piłsudski, zebrał wojsko i z Polsszczy resztę Niemców wypędził, a potem i tu przyjdzie. Że za nim idą wszyscy, kto Boga w sercu nosi, i kraj swój kocha, bo on choć z panów, ale bogaczem nie jest, a od Moskali i od Niemców cierpiał wiele, za swój kraj.

Gadał bardzo pięknie ten chłopiec, ale nikt go nie znał, jednak Janek Malinowski i Romuś Wołodźko, poszli z nim, zobaczyć czy to wszystko prawda? I nie wrócili. Znów coś tam się porobiło na dalekim świecie. Nikt nie wiedział co, i dla czego? Ale do wioski zjechał jednego dnia brodacze w rubaszce, z kałamaszką, z żydem czarnym jak smoła, i po rusku zaczął tłumaczyć, jakie teraz na świecie porządki będą. Żyd także gadał. Zgroza powtórzyć, ale o komunii niechrest ten coś tumał, dopiero potem mądrzejsi powiedzieli, że to o komunie. Ale i to im się nie bardzo podobało.

Nasłuchali się o tem, że teraz będą rządzić sowiety i batrackie kamitety, i dla biednoty będą zwozić ze dworów wszystko do rozdania, ale jak pytali kiedy dostaną ziarna na chleb, to im żyd znów tłumaczył, że jak ziemia będzie niczyja, a wszystkich, to będzie dość dla każdego.

Jak to Łauruk posłyszał, wyszedł ze zgromadzenia i zatoczył się pod płot jak pijany. Co takiego? Ziemia ma być wspólna? To, co on, i ojciec jego, i dziad potem swoim polewał, nogami wyde-

ptał, to tam przyjdzie kto inny, może ten judasz żydowski, i on będzie pracował na jego Ojcowiznie?!

Zacisnął pięści i postanowił sobie najspokojniej zabić każdego, co mu przyjdzie ziemię odbierać; potem poszedł drzeć pod piecem, medytując czem rodzinę nakarmi.

Wioska cała, znów na zimę wkopała się w śnieg i lody, i zamarła jak zwierzę w norze. Głodno było jak i przy Niemcach, może jeszcze gorzej, nikogo nie było nad ludźmi, rozbójniki jakieś pojawiły się straszne, napadali i zabierali, co jeszcze u kogo znaleźli.

Jakiś komisarz bolszewicki siedział w miasteczku, i raz powędrowali chłopcy pytać, czy nie dadzą żyta, bo znów ludzie puchną z głodu. Ale żyd komisarz wylał ich i wypchnął za drzwi, zapowiadając że muszą odzienie, jakie kto ma, znieść do miasteczka, a komitet równo podzieli co komu potrzeba.

Przestraszyli się takiego rozporządzenia i zmykali do chat, przysięgając sobie nie ruszyć się już i o nic nie pytać, choćby umierać przyszło się bez sakramentów, już ani zajrzą do miasteczka. Bo widno koniec świata bliski antychryst rządzi, więc czego tam o co starać się? I tak to na nic. Taka na nich padła obojętność z głodu i zimna, że drzemali pół snem, pół jawą po chatach, czasami rozmawiając co będzie i dojadając resztek miękiny i kartofli.

Koło Wielkiej nocy jednak ruszyli hurmem do spowiedzi. Lodek jeszcze trzymał wszędzie, tylko wierzby kotki srebrne puściły i strumyki, co silniejsze, ciurkały prędko, prędko, jakby jakąś nowinę niosły po kraju. Lauruk wyszedł przed chatę, nosem wiosennego powietrza pociągnął, na ruń swoją popatrzał i ruszył otulając się w podarty koryzuch.

Wyciągając łapcie z błota, bo słońko dogrzało i lód na łące puścił, dopętlili do miasteczka. Pod

kościółem stało dość dużo kałamaszek, a ludzi piechotą przybyło jeszcze więcej. Raz w rok koło Wielkanocy spowiedź świętą odbyć, to już i czasu wojny konieczność.

Zeszli wszyscy i gadać zaczęli. I znów nowe nowiny posłyszeli jedni od drugich. Że oto wojsko Pana Piłsudskiego, wojsko polskie z samej Warszawy, przyleciało jak na skrzydłach anielskich do Wilna, na samą rezurekcję i wypędziło bolszewików.

I że całe Wilno śpiewa „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

Nie bardzo temu kto wierzył. Widać było w kościele, że stary felczer, który był zagorzały Polak i zawsze po cichu książeczki różne o Polsce rozdawał, teraz klęczy i płacze czegoś bardzo. Ale kto to mógł wiedzieć czego. Tu wszystko było po staremu, po tutejszemu, sennie jakoś i trwożliwie. Każdy się bał, sam nie wiedział czego. Dusza w narodzie była tak strzęsiona, że nic nie chcieli, ze strachu żeby czego gorszego nie było jak dotąd. Chociaż zdaje się gorzej trudno.

I kiedy oni sobie tak gwarzą, raptem, het na drodze ukazało się kilku konnych. Lecieli galopa aż dudniało. Kozaki? Niema kozaków. Bolszewiki? nie, jakieś zgrabniejsze żołnierzyki, nie w kozuchach. Widać ich było zdaleka, bo kościół stał na górze. Potem zniknęli na zakręcie i tam za kościołem rozległy się nagle w czystym, jasnym powietrzu wiosennym, głosy tak jasne, wesołe i dzwieczne, jakich jeszcze nigdy nie słyszeli ani ci ludzie z wiosek sennych, ani te smętne pola i niebo tęskne.

Słów słyszać nie było, ale każdemu słuchającemu zdawało się, że on wie doskonale co tamci śpiewają. Zdawało się, że ta melodia porywa i zaprasza, i ciągnie za sobą, a śmieje się, aż radość rośnie

w sercu, jakby kto srebrny dzwon na rezurekcję rozkołysał i dźwięczał nim.

„O mój Jezu“, szepnął Lauruk, a coś to za wojsko takie wesołe? Takich tu jeszcze nie było?“.

W tym momencie z za muru plebanji ukazali się jeźdźcy. Siwe na nich kurtki i mundury, konie zgrabne, dobrze żywione, broń piękna, czapki nieduże, a na nich znak srebrny błyszczący. A twarze jakieś swojskie, znajome! Kiedy spojrzą: Romuś Wołodźko między nimi. Jak wrzaśnie jego matka, drze się z płaczem, z krzykiem, do syna: — „Romuś, z kim ty przyjechał! Jakie to wojsko idzie!“

A Romuś już z konia zeskakuje i krzyczy na cały głos: „Legjony to mam, legjony polskie idą“.

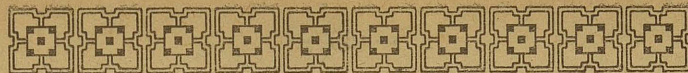
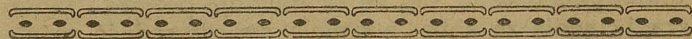
A inny co z nim był, widać starszy, zwrócił się do Lauruka, który stał najbliżej i spytał wesoło:

„Ojcie, a bolszewików tu niema? Polaków wypędzać nie będziecie?“

Coś dziwnego stało się z Haściłą. Popatrzał na szczerą, radośną twarz tego wojaka. Ani strachu w sobie nie poczuł, ani niepokoju; owszem spokój i błogość jakąś i ukontentowanie. Coś jakby w nim przemówiło: „no oł doczekali się“. Jakby kto jemu szepnął, że teraz będzie dobrze, że nikt nim poniewierać, ani go obdzierać nie będzie? Z daleka oni przybyli te wojaki, a po polsku mówią, swoi oni nie cudzy.

Choć raz swoi przyszli. Więc pochylił się Lauruk Haściło legjoniście polskiemu z dalekiej Polsczy przybyłemu i rzekł uroczyście.

„Nie bój się Panoczek, swoi my ludzie, zdrady u nas nie będzie. Idźcie, rozgoście się, z nami pożyczcie!“



„JAHADKA“.

Pierwsze lata życia Malwinki Klunduk były takie marne jak wszystkich dzieci wiejskich. Może wypili ludzie trochę więcej wódki na jej chrzcinach i mniej jej dokuczały owady za owych miesięcy, kiedy się od nich bronić nie umiała, albowiem przyszła na świat w jesieni, kiedy wszystkie roboty w polu ukończono i była pierwszym dzieckiem małżonków Klunduków. Poza tem łąziła, jak wszystkie inne dzieci wioskowe, z początku pod ławkami i na łóżkach w chacie, zakopując się zimą na dni całe w brudną pościel, pełną pcheł i pluskiew. Latem wypełzała na kurz i błoto podwórka i rosła, opiekana słońcem, zlewana deszczem, karmiąc rozdęty brzuszek zieleciną i surowizną wszelaką, a płową głowinę napętniając nieświadomie rozmaitemi wiadomościami potrzebniemi do życia.

Przekonywała się nieboga, że ogień piecze jeszcze boleśniej, niż pokrzywa, a ręka matczyna jednak mniej mocno uderza, niż wysoki, trudny do przebycia próg chaty. Że cały otaczający świat składa się ze zbiorowiska potworów, uzbrojonych, kłujących, gryzących i piekących, a wśród tych okropności wędruje bezbronna Malwinka, mająca za cały ratunek krzyk w niebogłosy i później cokolwiek — zwinne nogi do ucieczki.

Koło siódmego roku życia już niańczenie czworga rodzeństwa przygniotło ją o tyle skutecznie, że ode-

brało i te słabe odruchy ciekawości życia, jakie się w niej budziły. Całe dni teraz schodziły jej w ten sposób, że dźwigając na rękach np. Antuka, stawiała we wrotach domostwa i patrzyła sobie milcząc na drogę, na wioskę, tak długo, aż jej zemdlaly ręce; lub wrzask w chacie wzbudzał obawę, że pozostałe dzieci „zakrzyczą się na śmierć“. Wracła wtedy, zostawiała Antuka, brała Kaziuka i znów stawiała nieruchoma, wlepiwszy błękitne oczy w przestworza niezmierzonego, niepojętego świata. Trwało tak zwykłym porządkiem rzeczy i zaczynało nawet być coraz jaśniej Malwie, gdy podhodowawszy rodzeństwo, została zaliczona do swobodnej gromady pasterzy była i z nimi żyć zaczęła.

Właściwie rozkosz tego zajęcia polegała na wspaniałem nic—nierobieniu od świtu do zmierzchu, a dawało w całej wiosce określoną pozycję — „pastuszka“.

Z zaduchu chaty od garnków, ognia, pieluszek, pcheł i prusaków wydobyta — hasała Malwinka po zimnych i mokrych łąkach wiosną po ciepłej wodzie płytkiej rzeczki latem i kłujących ścierniskach jesienią. Jadła jagody, orzechy, dzikie jabłka i gruszki, chorując co roku, jak większa część dzieci, na dysenterję. Łowiła z chłopcami raki, wabiąc je na swe chude, odrapane nogi, psuła gniazda ptasie, zdobywając jaja na jajecznicę i piekła jesienią kartofle.

Nauczyła się doskonale wszystkich wymysłów i wyzwick pastuszych, wzmocniona ruchem i powietrzem biła się z chłopcami i wracała do chaty posiniaczona, ale pełna wesela. Żyłła swoim własnym, pełnym przygód życiem i rozwijała bez przeszkód wszystkie właściwości, które jej obdarzyła natura, całymi godzinami siadywała, objawszy chudemi rękoczynami kolana i utkwivszy szklany wzrok w przestrzeń, śpiewała długie piosnki cienkim, gardłanym

głosem, kołysząc się tu i tam, jak żyd nad Talmudem — może... kto wie? myśl zaczynała torować sobie drogę przez mroki jej umysłu.

Medytacje te zwykł był przerywać niemiłosierdnem „ściobnięciem“, biczem przez plecy, stary pastuch, wódz, ale i męczennik tej niesfornej gromady. Malwinka wybuchała wówczas nieopisanym wrzaskiem i pędziła co sił do chaty skarżyć się, że ją „dziadka Bałaban ze wszystkim zabił“ — nikt nie zwracał uwagi, a owszem matka jeżeli była przy robocie, to dała jeszcze na dokładkę w kark, żeby nie płała się pod nogi.

W jakimś 12-tym roku jej życia zaszedł wypadek, który miał wpłynąć na jej losy. Przyszła na wioskowe dzieci tyfus gorączka i szkarlatyna, zwyczajnie, jak i zawsze bywało na wiosnę, kiedy tyle błota stoi koło chat, a dzieci pluszczą się w tej wodzie lodaczkim pokrytej i sinieją z zimna. Tego roku osobliwie złe były te choroby, kasały na śmierć dzieciuki. Raz po raz małą żółtą trumienkę wynoszono, okrytą płóciennym ręcznikiem, na cmentarz. Matki ubierały sine trupki w białe perkalowe sukienki, stroiły płowe główki w wianuszki z papierowych róż, „głosili“ na całą wioskę, wymawiając synkowi, czy córeczce, że odeszły i rodzicom pomagać nie będą „ani w polu, ani w domu, ani przy żywiole, ani w stodole“... I kładły pozostałe dzieci w opróżnioną pościel, przesiąkłą zarazą. Ktoby tam wierzył, że choroba w rzeczach siedzieć może? Skąd o tem miał wiedzieć ciemny naród nie czytający i nie słyszający o niczem co mu potrzebne było? Choroba? Lata ot w powietrzu i na kogo padnie, „to od Boga dadzione i nic nie poradysz... jeszcze zamaulanie czasami... ale... i to na nic, jeżeli chwaroeba bardzo silnego gatunku“.

Rodzice Malwinki też zapłacili za ogólną ciem-

notę; trzy razy wynoszono z chaty trumienki, trzy razy wzdychając podpiłi kumy i sąsiady na pogrzebie.

Dwoje zostało, Antuk wyszedł cało, Malwince zaś, przekonano się niebawem, choroba odchodząc zabrała rozum i słuch. „Swoją rozum to ona ma”, tłumaczyła matka zaciekawionym sąsiadkom, „ale patrzeć, to ona ze wszystkiem durza”.

Prawda, rozumiała tyle co pięcioletni dzieciutek a przez głuchotę mądrości nie nabierała więcej, o nie!

— Ludzina bije się koło ścian, jak ta ptuszka bez głowy”, mawiano o dziewczynce ze współczuciem, ale że trzymała się jako tako na nogach, więc istniała. Ale takie to i życie, jak zepsutego sprzętu! To też gdy się nadarzyła sposobność służby we dworze, została przyjęta, jak wygrana na loterii. Robota lżejsza i jedzenie lepsze, a pensja będzie dla rodziny, bo taka durna ani na stroje nie wyda, ani na wyprawę. Inaczej się stało.

Gdy Malwinka wyplakawszy się głośno, ale suchymi łzami, przy rozstaniu z chatą i rodziną, znalazła się w piekarni, zobaczyła pełne misy i swój węzełek z burnosikiem, umieszczony na pięknym, szerokim łóżku, na którym miała spać z tłustą Agatą, radość rozbiłyś w jej turkusowych oczach, gęby zrobiła się większa. Taką zagapioną rokosznie i różową z radości ujrzał Paweł, najgłupszy parobek dworski, wchodząc, swoim zwyczajem w czapce, jak poganin i roztrącając wszystko po drodze, zataczającym się z niezgrabności chodem.

Dowiedziawszy się kto jest nowoprzybyła, rozparł się jeszcze głębiej na stole i wyciągając wskazując łyżkę z resztką jadła w jej stronę, palnął najniespodziewaniej, patrząc na nią łakomie:

— Ot jaka jahadka ochmistrzyni sobie znalazła!

czem wywołał wybuchy śmiechu połączonego z zadławianiem się i dogadywaniem. Nazwa została ogólnie przyjęta i z kwiatu stała się Malwiņa „jagoda”.

Ochmistrzyni miejscowa prócz zwykłych cech swego fachu: łakomstwa, kłótności i rozdzierających serce narzekań na trudy, była bardzo pobożna. Poczukiwała się do opieki nad duszą i ciałem swych dziewcząt, chlubiąc się tem, że łatwo od niej wychodziły za mąż i w cnotę. „Chwała Bogu na niebie, u nas tego niema, żeby panieńskie dzieci do chrztu wozić” mawiała z dumą pod kościołem w niedzielę, szpetnie przymawiając innym dworom. Aliści honor jej w tym względzie na ciężką został narażony próbą!

Narzekać wedle tradycji na dziewczki, które ją od lat 20-tu stale wpędzały do grobu, chlubiła się ich kwitnym wyglądem przed swoim i obcym. Te gadanie szło między chlewkami i kurnikiem jak następował: „Zdaje się żałować im nie żałuję, nie krzywdzę, rozjadłszy się jak krowy, a jaka z nich pociecha? Wszystko sama rob. Do każdego kąteczka zagłębij i tchnąć nie ma kiedy, na czysto dechy mnie zapiera i musi być umierać niedługo przyjdzie się, choć i bez pory. Jeszcze najlepsza Jahadka, nigdy nie odpowiada, i choć wiadomo... durna, ale do roboty swój rozum ma. Ależ i popatrzeć! Przyeszła jak ta główienka z pieca czarna, jak ta kaczerha chuda, jak ta szczypeczka sucha, a teraz nic sobie... bialińka, różowińka dziewczynka”.

I gładziła ją po głowie, zadowolona z pokory i niefrasobliwej wesołości dziewczyny.

Jednak Jahadka była jakaś coraz okrąglejsza i ciężka w ruchach.

Ochmistrzyni słysząc to i owo od tych i owych aż coś poderwało i tknęło: — Ci nie zdarzyło się coś? — pomyślała i zawołała Jahadkę do swej „stancji”

siedziała tam zaparszy się musi godzina ci więcej, aż dziewczętom piekarnianym zbrzydło podsłuchiwać.

W obliczu Pana Jezusa na krzyżu i Oficji rozłożonej między aloesem i gieranum, na szydełkowej serwetce, badała ochmistrzyni dzieje serca podpierającej piec, rozdziawionej wesoło Jahadki. O dwie rzeczy chodziło znerwowanej w sercu swoim opiekunce niewinności. Jak to się mogło stać? i o wywołanie skruchy w sercu upadłej.

Nie można powiedzieć, by oba te zadania były uwieńczone dobrym skutkiem.

Na wszelkie pytania z zakresu pierwszej kategorji, Jahadka, pokazując wszystkie, białe jak migdały zęby, odpowiadała uśmiechając się błogo:

— Ja i nie słyszała, jak on do mnie podszedł... — co znaczyło głównie, że go nie czuła. Zaś na rozpaczliwe pytania: „Co teraz będzie? Czy on ożeni się z tobą?” — odpowiadała śmiejąc się głupekowato:

— Nie wiem.

Ze skruchą poszło cokolwiek lepiej, bo gdy rozwścieczona i upokorzona na ambicie ochmistrzyni wykrzyczała jej do ucha o czekających na tamtym świecie karach piekielnych, o węzach jadowitych, parszywych ropuchach i wrzodach ognistych, które jej ciało pożerać będą, gdy jej w dodatku pokazała na jaskrawo kolorowym, lśniącem oleodruku, okropne płomienie i czerwonych jak gotowane raki potępieńców, klótych widłami, przez uwijających się ogoniastych i rogatych czarnych djabłów, oświadczając, że takie właśnie kary czekają rozpustników i cudzołozców zakonu bożego, światło prawdy rozdarło ciemne opony, kryjące mózg biednej Jahadki i ryknawszy wielkim płaczem, zaczęła głosić jak po umarłym. Zasunęła się w kąt pod piec, padła na podłogę i tocząc głową po ścianie, wrzeszczała w zapamię-

taniu, snując z głębin świadomości jakiś półśpiew, półskargę odwiecznej krzywdy, lubej, a strasznej zarazem.

— A Bożeczka, Bożeczka-a-a!... A czemuż on mnie tak zra-abi-i-ił! A czemuż ja jego słu-u-cha-a-ła-a! A żeby ja lepiej nie radziła-a-sia-a-a!... A żeby ty po świecie nie chadzi-i-ił... A doleczkaż ty maja-a-a!...

Ochmistrzyni pyrsnęła na nią wodą z octem, skuteczną w niezwykłych zdarzeniach i wybiegła, zostawując Jahadkę jej towarzyszkom. Te ją dźwignęły, pociągnęły spazmującą i ułożyły na łóżku, okrywszy wszystkim co było pod ręką najcieplejszego, a obłożwszy głowę octem, zabrały się do naparzania ziółek, skutecznych na zmartwiennię i poruszenie.

Gdy głupi Paweł przyszedł dnia tego na obiad, dziewczęta patrzyły na niego jak na zbrodniarza, a parobcy podkpiwali powtarzając: „Ot i zeszczypnoł piękna Jahadka, śliczna żonka nalaz, choć to dobrze, że kiedy i wyłajesz — nie odpowie, bo głucha”.

Każdy zaś podjadłszy i przeżegnawszy się, czuł się w obowiązku iść zajrzeć w oczy Jahadce, zobaczyć „ci nie myśli umierać”? Ona zaś witała te objawy współczucia głuchem stękanem.

Wtedy właśnie ukazała się ochmistrzyni, surowa, zboląła i godna nad wyraz. Zakłęła świętymi słowami zmieszanego Pawła, by powiedział jak na spowiedzi, czy wejdzie ze swą ofiarą w stan święty małżeński?

Na co ten chłopak tocząc baranem wzrokiem po obecnych, wygłosił po namyśle tę zdumiewającą odpowiedź:

— Jak będzie córka i do Wandzi furmana podobna, to ożenię się!... —

Zasypany gradem pytań o powód tak dziwnego warunku: — Bo ona mnie w guście — odparł sta-

nowczo i wyczerpująco. Wszyscy kiwając głowami nad durnotą tej pary powychodzili, prócz ochmistrzyni walczącej wymową i powagą o honor piekarni, bezskutecznie jednak zresztą, gdyż Paweł powtarzał w kółko: — Jak będzie dziewczyna i do Wandzi furmana podobna... — z tak głębokiem przekonaniem, jakby w ręce owego fatum kładł ufnie los swój i reszty. Roniąc łzy upokorzenia i ślaniając się z oratorskiego wyczerpania, opuścić musiała ochmistrzyni plac boju, ale poprzysięgła uwodzicielowi zemstę.

Jeśli Paweł myślał, że piekarnia zapomni o tem zdarzeniu, to się mylił srodze, a jeśli wogóle nic nie myślał, to od owego dnia musiał zacząć myśleć. Nie zaznał bowiem ten parobek spokoju. Chłopcy drwili zeń niemiłosiernie przy każdej sposobności, podszywani do tego przez niewidzialne porady, t. j. od ochmistrzyni. Dziewczęta okazywały jawną wzdargę i starały się, by miał najgorsze jadlo, najszczerbatszą łyżkę i spalony bok chleba. O upraniu lub przyszyciu czegoś w swem odzieniu, nie próbował nawet wspominać, a ile razy podsunął się do Jahadki — wytrzeszczała oczy i żegnała się tak rozpaczliwie, jakby był żyjącym obrazem mocy piekielnych.

Zaczęły przytem chodzić głuche wieści rozsiewane umyślnie, że na pierwsze słowo pani ochmistrzyni u państwa, Paweł za takie grzechy wyleci, ani się obejrzy. Wszystko to truło mu życie i zamyślał o porzuceniu służby, ale trzymało go lenistwo czy niechęć zmiany i jednak ciekawość: „czy będzie córka do Wandzi furmana podobna?”.

W tym stanie rzeczy nadeszła Wielkanoc.

Paweł sprawił sobie w miasteczku turkusową bluzkę, buty wysmarował dziegiem, a włosy naftą, mydła w łaźni zużył za całe 3 kopiejki i w pierwszy dzień świąt zadowolony z siebie, strojny i błogo

uśmiechnięty na myśl o wybornem jadle, którego zapachy lube od 3 dni wierciły przegłodniałe brzuchy, szedł do piekarni.

Ściany olśniewały białością, podłoga czerwieniła się wyszorowana do czystej cegły. Śliczna i wonna zieloność rzeżuchy i widłaku ozdabiała stół, a tęczami barw olśniewały girlandy papierowych kwiatów koło otartych z kurzu i wyluskanych z pluskiew obrazów.

Paweł błyskając małemi, ciemnymi oczkami, które wśród piegowatej twarzy, tkwiły jak rodzenki w szafranowem cieście, rozejrzał się w koło. Poczul się w harmonji ze strojnem otoczeniem przyglądził lśniące włosy, obciągnął bluzkę i ruszył pewnym krokiem, dziarsko podkutych butów, w kierunku stołu. Tam na czele dworni, stała, wśród grobowego milczenia, jakie zapanowało za wejściem Pawła, ochmistrzyni, strojna w niezwyklej barwy i kształtu zakiecie. Zaledwie zuchwały uwodziciel, nie orjentując się w niczem, sunął ku ceremonjałowi całowania ręki, surowa matrona odepchnęła go ze wstrętem i rzekła dobitnie na całą izbę, na cały dwór, ba na cały świat może!...

— Precz ode mnie brudzie. Jawnogrzesznikiem jesteś, krzywdzicielem niewinności panińskiej jesteś, niegodny zasiadać z chrześcijany. — Co rzekłszy majestatycznie wyszła, kręcąc falbanami spodnic i zostawując obecnych pod silnem wrażeniem słyszności tych wstrząsających słów.

Zaległo milczenie, przerwane bezmyślnym świegotem Jahadki, która ustrojona w nadzwyczajną suknię różową w czarne gałęzie, skubała za rękawy stojących i pytała rozgłośnie, czemu nie siadają jeść?

Paweł osłupiały rozejrzał się po dymiących z barszczem misach, po pękatej kielbasie o woni tak cudnie łechcącej wygłodniały postem żołądek,

zamajaczył mu pierog z twarogiem i rodzenkami, którego smak snuł się przez rok cały w pamięci jak coś nie z tego świata... Butelka wódki, ser tłusty, jaja malowane z zieleniną w koło, kabanina lśniąca od sadła, a nad tem wszystkim, twarze, jak mu się zdawało, patrzące na niego z obrzydzeniem.

Splunął, zawrócił i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Owiał go wiosenny, luby wietrzyk, ciepły z wierzchu a chłodny od spodu, cały wonny wodą, ziemią i jakby zapowiedzią miodnych kwiatów.

Po błękitnem niebie gonili płocze obłoczki, topniejąc szybko, jak ostatnie płyty śniegu pod całusami wiosennego, młodego słońca. Cisza była zupełna w całym dworze, tylko niezliczone wody, uwolnione z zimowych pęt, ciurkały w tysiącznych strumykach i niosły wesołe, pośpieszne szmery.

Zapach nawozu i ziemi buchał pod słońcem. Wróble trzepały się na bezlistnych drzewach, ćwierkając ogłaszająco, i fyrkały raz po raz na ziemię i znów na drzewo, gęstą gromadą, spoglądając z gałęzi oczkami jak paciorki, na samotnego chłopca. Najwyraźniej, widząc go odsądzonym od społeczeństwa ludzkiego, obrzucały go obelgami. Zdawało się Pawłowi, że cały wszechświat się nim brzydzi. Siadł na kłodeczce na trawniku i chwycił się garściami za uszy.

Nie miał woli iść do kawalerskiej stancji jak zamierzał, by tam, przykrywszy głowę kożuchem prześpać ten despekt. Głodny był, zły, ślina mu do ust napływała na myśl o smakowitościach, któremi się tamci objadali, więc spluwał raz po raz, kuląc się z chłodu, gdyż wiatr przenikał jego turkusową bluzkę.

Czuł nad sobą jakieś dekrety boskie i ludzkie gniotące go do ziemi, popychające w kierunku spełnienia czynu skomplikowanego i trudnego, przed czem onidlewało jego wrodzone lenistwo.

— Jak ten pies w taki dzień... — zalił się przed siebie „Kab ich... skrucilo!” życzył, spoglądając w okna oficyny, z za których dolatywał coraz weselszy gwar głosów i śmiechów. Poczuł się wyrzucony za nawias społeczeństwa jakąś niewidzialną mocą i dojmująca krzywda zapiekła go w serce. W tej chwili zobaczył jak po ganeczku zbiegła Jahadka, i iść zaczęła ku niemu, trochę już ociążale tocząc rozbujałemi kształty i wybierając starannie suche miejsca, by nie zamoczyć nowych trzewików.

— Czego! — wrzasnął rozłoszczony gdy podchodziła „naragać się przyszła!..“ ale nie dokończył... Jahadka bowiem śmiała się do niego po swojemu. Błyskały białe zęby, a błękitne oczy i pąsowe usta były radosne jak ten dzień wiosenny. Złotawe jej włosy, ciasno splecione, lśniły posmarowane masłem, a czerwony kwiat wetknięty za warkocz, sterczał i kiwał się przyjaźnie. W rękę trzymała kawałek placka i kielbasy.

— Co ty Paweł, chory a? — spytała stając przed nim.

— Idź, ty, durna, jaki ja mam wstyd przez ciebie — burknął.

— Chcesz, tak jedz, a — pytała podając mu porcję — czemu ty nie jad, a? — mówiła nie dostyśzawszy.

— Czy mnie porcję zostawili? — Wrzasnął jej do ucha.

— Aha, stoi w piecu, postawiłam — odparła wesoło gryząc placek. Paweł wstał. Obciągnął bluzkę, czapkę na tył głowy nasunął i wparłszy się w boki, rzekł rozgłośnie a uroczyście, patrząc na Jahadkę z góry i łaskawie.

— Nie ma co! Dam księdzu na zapowiedzi. Jahadka zadarła głowę. Coś jak namysł zmroził jej gapiowatą twarzą.

— A z kim? spytała pogodnie.

— Z tobą, durna, odparł życzliwie biorąc ją za plecy.

— A, tak cóż? Nie będziesz czekać ci będzie dziewczyna i ci do Wandzi furmana podobna?..

— Nu, niechaj sobie... nie będę... jak Pan Bóg da. A teraz ot, chodź do ochmistrzyni na swacie prosić, rzekł Paweł z nową i dostojną powagą.

Oznajmienie o mocnem i ućciwem postanowieniu Pawła odbyło się uroczyście. Ochmistrzyni dopuściła do ręki, wylała parę łez i objawiła swą łaskę podetknięciem dodatkowych smakołyków. Ze przytem parobcy wyludzili od Pawła parę rubli na wódkę, odprawili wnet zapoiny i do wieczora trwali w błogim nastroju sytości i pół sennego rozmarzenia, a Paweł siedząc na honorowem miejscu trzymał Jagodkę za rękę i czuł się zupełnie niezwykłą figurą. Przekonanie to spotęgowało się dni następnych, kiedy państwo powiadomieni o całym przejściu, obiecali wyprawić wesele jakby nigdy nic. Jahadka na widok szytej białej sukni, wybuchła śmiechem aż jej gardło było widać i zbierała prezenty od rodziny i znajomych. Ciężko jednak poszło z katechizmem. Już dwa tygodnie dobiegały końca, już trzy razy wędrowali wystrojeni państwo młodzi do plebanji, tracąc na roszkownem marudztwie całe popołudnie, a jak opowiadały dziewczęta...

— Trzy razy ich proboszcz rozbierał i tak, i siak... choć ty wskroś ziemi leż! Nic z nich nie wyszło, to słyszę, mówi: niechaj was kto chce rozbierze, a ja już i od rozumu odszedzsy jestem przez was.

Cała piekarnia tknięta ambicją uwzięła się jednak doprowadzić ich do ślubu po ludzku, i kto żyw poświęcał każdą wolną chwilę, by wrzeszczeć w uszy Jahadki: „Siedem sakramentów?” Na co ta nieod-

miennie odpowiadała: „Pycha, Łakomstwo, Nieczystość”, z tak piorunującą szybkością, że dopiero przy „Gniew”, można ją było przekrzyczeć i zwrócić na właściwą drogę. Pawła zaś specjalnością, było takie lykanie sylab, zlewanie ich ze sobą i mruczenie, że pojedyncze tylko litery i dźwięki, wpadały w ucho słuchaczy.

Wreszcie usilne i zbiorowe trudy do „siódmego potu” zwyciężyły jako tako te przeszkody, i wesele odbyło się z całą paradą. Pierwszą rolę odegrywała na niem ochmistrzyni: sława jej rozeszła się szeroko i okryła chwałą cnoty i wymowy, zdolnej przełamać chytrą szatańską męczyznę. Zebrane baby tak jej ten postępek wychwalały pod niebiosa, tak proponowały własne córki w zastępstwie odchodzącej Jahadki, ta zaś i jej rodzice obcałowywali jej łokcie i ręce nazywając matką i ciotką, że roniąc łzy rozczulenia, obiecała trzymać do chrztu „ta niewinna dziecina”, gdy się narodzi i obdarowała Jahadkę na nowe gospodarstwo, sporą poduszką, wypchaną twardo „gęsinami piórami”.

Jako też dotrzymała obietnicy i o mało nie stała się zupełną opiekunką małej Anielki, gdyż Jahadka leżała bez duszy dwie niedziele, „zupełnie już nie przy swoim rozumie”. A kto zajrzał w jej twarz, bladą, spuchniętą, mętne oczy, „jak zgotowane”, i usłyszał szybki, bezsensowny bełkot, kiwał głową i powtarzał: „Musi już z niej nic nie będzie”. Felczer określił jej cierpienia jako chorobę świętego Walentego, co się rzuciła do głowy. Baby przypominając sobie, czy [kto na weselu nie zajdrościł i nie zajrzał, twierdziły, że jej się przewróciły śródki: na to niema ratunku, inne zaś jako najlepszy sposób, radziły puścić krew z żylnego miejsca, a podkadziwszy wiadomem zieleń, zamówić mocnem słowem. Lekarz sprowadzony przez panią, leczył Ja-

hadkę na jakieś zapalenie nerek i choć baby wzruszały ramionami, twierdząc, że nikt z nich na taką niewidzianą, pańską chorobę nie choruje, pomagały cierpliwie Pawłowi leczyć żonę i pocieszały go, gdyż ryczał z płaczu i leciał przez ręce, kiedy Jahadka Sakramenty przyjmowała nieboga.

Wyzdrowiała jednak i znów biegła koło grządek, krowy i parsiuka, bardzo zapędzona za „kurmi, gęsiami i dzieciukiem“, który był śliczną dziewczyneczką i chociaż do Wandzi furmana nie podobną, jednak Paweł był z niej i z durnowatej żonki zupełnie zadowolony.

Lata płynęły spokojnie i jednostajnie, kręcąc maszyną gospodarską z wiadomym i określonym programem. Nagle, skądś? ... Z Bożego dopuszczenia z nieznanych krajów nadleciała ... wojna! Cóż pojmować mogła Jahadka z tego chaosu zdarzeń potężnych, co się dokonywały w jej oczach?

Wojna przewalała swe spiżowe cielsko najeżone bagnetami, sypała gradem szrapneli, truła powietrze gazami, warkotem aeroplanów i smrodem automobilów, miażdżyła miasta, wsie, lasy i ludzi ... najsztudniejszy rozum był niczem wobec tej potęgi. Pozostał jeno do przeciwstawienia tej mocy pierwotny instynkt niezależny od woli. To też Jahadką kierowały odruchy odwiecznych doświadczeń umęczonego stworzenia ludzkiego, skazanego niepojętymi wyrokami na tortury istnienia.

Chroniła, jak mysz polna, co się dało, w nory głębokie i ciemne, wlażyła z płaczem w piwnice z innemi, z obawy bitwy, wrzeszczała w niebogłosy gdy jej coś zabierano i ... istniała.

Przystosowała się do tego, bez wstrząśnień, w mózgu jej nie było nawet miejsca na zdziwienie. Przyszło coś, czego nie było — jest — więc widać być musi. Szczerzyła białe zęby do żołnierzy, prała im

bieliznę i zjadała nieznane przysmaki: „Keksy“, „Kawkawę“ i „murmuladę“. Pawła wziętego do kompanii roboczych widywała rzadko. To też nowe chrzciny wyprawione w rok po wejściu obcych wojaków, były omawiane przez baby i doszły uszu zbiedzonej i „zeschłej“ ochmistrzyni. Zbolała ta matrona zwiędziała niby duch pokutny, opustoszałe kurniki i chlewki darząc tęsknem westchnieniem wspomnienie o ich mieszkańcach.

Tam to napotykanne baby opowiadały, że chłopczyk Jahadki „ze wszystkim do niemczyka podobny“ zaczęły wędrowały gromadnie i medytowały długo nad dzieckiem, szukając w niem oznak „inszości“. Bo jakże? Wszak taki, całe życie już niemcem zostanie? Najciekawszą kwestją, co do której zdania się podzieliły było: jak przemówi? „Bo jeżeli niemczuk to musi po ichnemu zaskrzeczy“. Ale na to trzeba było poczekać. Natomiast, gdy ochmistrzyni zdybawszy Jahadkę — biegnącą o zmroku, istotnie w stronę kwater żołnierskich, rozpoczęła z dawną swadą kazanie o moralności i obowiązkach, młoda kobiecina ucałowała ją w rękę i rzekła radośnie i uspakajająco: „Paniczka, ciotka! milińka, nie krzycz, heć! nie darma!“ i poszła dalej, pogodna, istota w czasie i przestrzeni niezmienna, jak natura obojętna i nieświadoma.





Jaką to Niemiec kolacją utrakto- wał panią Pukšcinowiczową.

(1916 r.)

Działo się to w jednym dworze podczas wojny, która już na wieki wieków, amen, będzie się nazywać: wielka wojna narodów. Otóż nadchodzili Niemcy. Nikt ich nigdy nie widział i nie wiedział, czy bardzo straszni, czy też można z nimi wytrzymać? Ale każdy lękał się okropnie, bo o wojnie słyszano i czytano, że jest rzeczą straszną. W Suplikacjach prosili zawsze ludzie Boga „od powietrza, głodu, ognia i wojny! zachowaj nas Panie“, a tu teraz ogień szedł już blisko, niebo czerwone było od pożarów, a wojska szły kędyś stronami i grabiły wsie i dwory.

Strach padł na ludzi, że łazili jak błędni i roboty im z rąk leciała. Ale najwięcej płaczu i lamentu słychać było w piekarni, tam o każdej porze dnia, zachodziła ochmistrzyni pani Pukšcinowiczowa, i zapominając o swojej godności, o pańskich, delikatnych manjerach zaczynała po prostemu „głosić“ jak przy umarłym.

Zbierała koło siebie dziewczki piekarniane i pięknie je nauczała o karach boskich za grzechy, za które teraz ludzie będą pokutować. Ostrzegała, że żołnierze rzucać się będą na cnotę panięńską, jak

wilk na owce i zaraz zaczynała rzewnie płakać nad sobą i nad dziewczętami. Lamentowała krzycząc: „a co z nami sierotami będzie“. Potem wspominała czule swoich trzech nieboszczyków mężów, mówiąc: „a któż mnie samotnicę obroni, a któż za mnie zastąpi się? A któż mnie od pohańbienia nieprzyjacielskiego obroni, jeżeli moje mężowie w grobie, a synowie na wojnie, i zięć w Ameryce? Zginę ja, zginę i przepadnę ze wszystkim“. Dziewczyny zaczynały też płakać, i ryczeć, i wyć nieludzkimi głosami, słysząc takie smutne gadanie, ale parobcy choć sami wystraszeni, bo któż mógł wiedzieć, jacy oni będą, ci Niemcy? Zaczynali jednak wyśmiewać się z tych strachów pani Pukšcinowiczowej, i odzywali się, że co ona, to niema czego już tak drzeć o siebie, bo baba była półwieczna, gruba, nos miała jak kartofel, trochę brakowało zębów i oko miała jedno mniejsze od drugiego.

Ale że czerwona była jak brusznica po mrozie, i czerstwa jak zimowe jabłko, więc miała swoje pretensje, i wieczorami przy kądzieli—śpiewała cienkim głosem, przez nos: „A u wdowy, chleb gotowy, serce litościwe“. Albo przy furczeniu kołowrotka, na którym bardzo pięknie i cienko przędła, pieśń o Wurcelu, przywiezioną z okolicy szlacheckiej Cuckek, z kąd była rodem.

„Wurcelu, Wurcelu, Ty życia tyranie!

Zawsze zimny i nieczuły na moje wzdychanie,
Kochałam cię przecie, lat czterdzieści z górą,
Świadkiem czego, świadkiem czego, listów
pełne biuro!

Żeń się, żeń Wurcelu, niech cię djabeł zwiąże!
A mnie młodą jak jagodę, weźmie jaki książę!“

Przyczem takie rzewliwym głosem wyrabiała trele i tak przewracała oczami, że słysząc to, Agatka i Grasylda pękały ze śmiechu, a najmłodsza Hańka

wylatywała z piekarni i stojąc na ganeczku z Kaziukiem, opowiadała śmiejąc się do łez, jak to ochmistrzyni „teksty“ wywodzi i pieśni miłosne niewiadomo dla kogo wyśpiewuje. Wszyscy więc wiedzieli, że ochmistrzyni bardzo romansowa i naradzali się nieraz, czy będzie jeszcze swatać się za kogo, i czy to można jeszcze czwarty raz zamaż wychodzić?

Ale teraz mieli przyjść Niemcy, więc o tem wszystkim zapomnieli. Pani Pukšcinowiczowa, zbierając swoje dziewczęta koło siebie, radziła im, żeby na pierwszą wiadomość, że już idą, lecieć zamknąć się do wędłarni, która stała daleko w krzakach, w ogrodzie. Ale dziewczęta czuły, że mimo strachu, nie wytrzymają z ciekawości, nie wysiedzą w zamknięciu. I tak czekali, co będzie.

Każdy tylko dziwił się, że choć była ciepła jesień, pani Pukšcinowiczowa chodziła w ciepłym burнусie, chustką cała głowa obwinęta, aż ledwie twarz było widać i taka była gruba, że ledwie ruszać się mogła. Sunęła się tak po dziedzińcach jak kopa siana i tylko z pod chustki słychać było nosowy i piskliwy głos, pytający każdego co się nawinął:

„Czy idą, czy już ich widać?”

Przybywający ze strony stary leśnik Chwaluk zobaczył p. Pukšcinowiczową taką obwinętą i spytał ze współczuciem:

— A cóż to, a pani musi chora, że tak zawińiesz się chodzi? Ot, przytrafiło się w porę! Takim czasem chorować, to już ostatnia rzecz.

— Nie chora ja i chorować nie myślę... — odrzekła poważnie ochmistrzyni „ale już tak... mnie wiedzieć, czemu ja tak chodzę” „Nu, a co?” spytał leśnik zdziwiony.

— Powiem Panu pod sekretem, że obronicielką swoją sama postanowiłam być, bo kto mnie obroni sierotę? i zaraz zapłakała, ale tylko troszkę, bo

chciała mówić dalej: „otóż włożyłam na siebie, co mam najlepszego odzienia, z karku chyba nie zedrą wdowie nieszczęśliwej?... A i dasz Pan wiary, od kilku dni nie czesana i nie myta chodzę, nawet twarz dla wszystkiego czego, sadzą pomazała... że i wstyd pokazać się człowiekowi swojemu..., ale dla tych poganów, tak najlepiej okazać się... zhażda i nie podsunie się żaden”.

Stary Chwaluk wytrzeszczył oczy i gęba mu się skrzyła ze śmiechu, bo ochmistrzyni i bez sadzy piękna nie była, ale się powstrzymał, bo go zawsze zapraszała na herbatę i serkiem potraktowała, więc i teraz nie chciał sobie popsuć przyjaźni. „Tak to tak”, pokiwał głową „wojna to wojna”, „Onu, wiadomo”, westchnęła wdowa po trzech mężach.

— Bardzo to Pani politycznie obmyśliłaś, — dodał Chwaluk, „a dziewczęta coż, one jak?”

— Ot i nie wspominaj Pan Chwaluk, czy one, rozpustnice, myślą o zbawieniu duszy! Niby piszcza ze strachu, a jak kto krzyknie: wojsko idzie! to wrzasną „Matko Boska ratuj!” ale lecą, jedna przez drugą, zobaczyć, musi być, czy Niemiec taki sam mężczyzna, jak nasze chłopcy, czy nie!

— Otóż to, otóż to, — mruczał Chwaluk, myśląc o tem, czy ochmistrzyni da serka, czy nie da, ja by zaszedł do Pani stancji pograć się. „Wiatr taki” przymówił się słodko.

— A, bardzo proszę, herbaty napijem się, na poruszenie bardzo herbatę zdrowo wypić, najlepiej z miodem.

— Czy wiesz Pani, co powiem? że ja to wszystko, co teraz widzimy — przewidział i prześnił, można powiedzieć; czytałem ja książkę o końcu świata, Apokalipsa nazywa się, tam jest powiedziane, że antychryst ziemię ogniem trącić będzie... ot i jest... — tłumaczył Chwaluk ochmistrzyni, która

jeszcze większego strachu nabierała od jego słów i popłakując przyrządzała herbatę w czystej swojej stancyjce. Wreszcie stało się. Przylecieli któregoś ranka Niemcy, jak by ich wiatr przyniósł. Porwali konie, co mogli zabrać do zjedzenia i polecili dalej, powtarzając: „*morgen, morgen!*“ Co znaczy dzień dobry... no komu dobry, a komu zły! Coraz większe tłumy ich przychodziły: to piechota, to konnica, a wszyscy rabowali i jedli, jedli i rabowali. Za każdym postojem było coraz brudniej we dworze i coraz puściej w oborach i chlewach, a pani Pukšcinowiczowa tak opłakiwała swoją „żywiolkę“, że i o własnej osobie trochę zapomniała. Zresztą nikt jej nie zaczepiał, żołnierze nazywali ją „matka“ i tylko parę trzewików i ręcznik jej skradli.

Po jakimś czasie zamieszkał we dworze sztab, najstarsi wojskowi i sam generał. Obiady wyprawiali wspaniale i pili czasami całą noc, a kucharz, bardzo gruby Hans, wołał do pomocy ochmistrzynię i dziewczęta do skubania kilkudziesięciu sztuk drobiu i innej roboty przy kuchni. Przy tem zajęciu przywykła pani Pukšcinowiczowa do Hansa, i gdy upłynęło kilka miesięcy, można było ich nieraz zobaczyć, jak razem szli na spacer w stronę kurników i chlewów, a tam Hans machając rękami tłumaczył ochmistrzyni, po niemiecku, że trzeba kur lub prosięcia, a tu niema!

Ochmistrzyni pokazywała mu na palcach, ile tam było za jej czasów bogactwa i żywiły rozmaitej, a ponieważ nie umiała tego powiedzieć, więc to beczała, to kwiczała, to zaczynała gęgać i gdać, a potem mówiła: niema! i rozkładała ręce, a Hans rozumiał doskonale, że już wszystko zjedzone i drapał się za ucho. Potem wędrowali do wioski szukać czegoś na stół generałski, ale i tam nie było już czego zabierać.

Zawsze jednak ochmistrzyni dostawała od Hansa tłuste kęski z kuchni, to też nie chudła wcale, a że była łakoma, więc wcale już na Niemców nie wyrzekała, owszem mówiła, że nic sobie ludzie.

Nawet od czasu, jak się okazało że Hans katolik, ochmistrzyni śpiewała z nim razem wieczorkiem „Anioł Pański...“, ona po polsku on po niemiecku, tak fałszywie zresztą, jak mówili ci, co to słyszeli, że szczury uciekały z domu. Ale pani Pukšcinowiczowa dowodziła, że jej przy Niemcu bezpieczniej, jak czuje, że on katolik, wtedy ma nadzieję, że on jej nic złego nie zrobi.

Tymczasem było z jedzeniem coraz gorzej. Sztab miał wszystko, co mu było trzeba, ale ludność pod wiosnę zaczynała głodować. Wioski były popalone, chaty i gospodarstwa porujnowane. Któregoś dnia przyplątał się do pani Pukšcinowiczowej piesek łaciasty, czarny z białym. „Chwościkiem“ go nazwała i przyzwyczała sobie. Hans bardzo się ucieszył pieskiem, zaczął mu resztki oddawać, tak że chudy kundys miał boki coraz okraglejsze, więc ochmistrzyni z rozczuleniem mówiła, że Hans pewnie byłby najlepszym mężem i ojcem, bo kto dla psa dobry, to dla człowieka, tembardziej. I chodzili sobie we trójkę na spacer: pani Pukšcinowiczowa, Hans i Chwościk, wszyszy tłusci i w dobrym humorze. Chwościk wywijał ogonem i ozór wyciągał pędząc za wronami. Hans gładził go, cieszył się, że piesek tłusty. Razu jednego Hans w poobiedniej porze zawędrował do stancyjki p. Pukšcinowiczowej.

Czysto tam było. Firaneczki białe, geranja i aloes na oknie w wazonikach, Złoty ołtarzyk i okulary na komodzie, serwetką białą, szydełkową, przykrytej, pasyjka różańcem otoczona i piękne obrazy na ścianie.

Hans usiadł sobie ciężko, aż zydelek jęknął,

czapki nie zdjął, bo to u Niemców nie w zwyczaju, tylko na tył głowy ją zsunął i zaczęli z ochmistrzynią, po swojemu. „Matka“! rzekł Hans „Frauchen“, (Paniutko) ham, ham, pokazał jedzenie i zrobił mine łakomą i wesołą, gładząc się po brzuchu.

Ochmistrzyni rozłożyła ręce desperacko:

— Nie niema! nic niema! — jęknęła.

— Nic niema! Je, je — zauważył Hans wesoło. I jakoś jej wytłumaczył, by zrobiła kawy, a on kolację smaczną przyniesie.

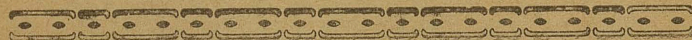
Zakrzętnęła się nasza imość, kawę zagotowała, mleka kapkę znalazła, chleba żołnierskiego nakroiła pięknie na spodek, cukru i marmelady na drugi i czeka niecierpliwie co będzie.

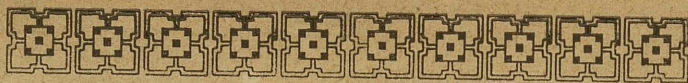
Nie upłynęła godzinka, Hans wsunął się do izby z pokrywą przykrytą, z której smakowite zapachy mięsa i cebulki rozeszły się po całej stancji. Zamknął tajemniczo drzwi na klucz, w czym pomagała śpiesznie ochmistrzyni, w strachu, by im kto w łasunku nie przeszkodził. Potem podszedł do stołu, ucieszył się na widok zastawy i gut, gut! wołał, wylewając na talerze potrawkę z mięsa. Zasedli i już ochmistrzyni pierwszy kąsek przełknęła, kiedy zastanowił ją smak jakiś nieznajomy, i jak potem opowiadała, coś ją tknęło jak zimnem żelazem i zerwało we wnętrzu. Bystro spojrzała na Hansa, który zajał jak wilk. „Hans“, zawołała „co to jest? beee?“ zabeczała pytająco. Hans miał pełną gębę, trząsnął tylko głową, lykając większy kawałek.

— No, to cóż to? krowie? muu, muu? — Hans trząsnął śmiejąc się czegoś głową, „świnie, nie świnie? ui... ui... ui...“ zakwicziała już bardzo czegoś niespokojna ochmistrzyni. „Hau, hau, hau“, zaszczekał wesoło Hans w odpowiedzi, pokazując ręką na ziemię, na wysokość Chwościka, którego od paru dni nie było widać we dworze. „Ratujcie“!

wrzasnęła co siły w piersi pani Pukćcinowiczowa. Runęła na ziemię jak długa, krzycząc, ach i och, przeraźliwym głosem.

Hans zgłupiał. Do drzwi zaczęli się dobijać ludzie, żołnierze kleli pytając, co się tam dzieje, dziewczęta, piszcząc, że Niemiec panią ochmistrzynię morduje, wołały gwałtu. Nim wystraszony Hans otworzył, zbiegł się cały prawie dwór i wnet się rozniosła wiadomość, że panią Pukćcinowiczową Niemiec psiną utraktował. Chociaż doszedłszy do przytomności, po długiem oblewaniu wodą, okadzaniu ziółkami i wymiotach, zaklinała się, że odrazu przejrzała i ani tknęła potrawki z Chwościka, nikt nie wierzył i żołnierze śmiejąc się szczekali za nią kiedy przechodziła, a Hans próbował przekonywać, że to bardzo smaczna potrawa i tylko dzicy Polacy jej nie lubią. Ale od tego czasu, Pani Pukćcinowiczowa nie gadała z nim wcale i została taką nieprzyjaciółką Niemców, że dobrego słowa o nich nie mówiła, a gdy wspomniała swe pohaanbienie, zalewała się łzami ze złości i ze wstydu.





PIERWSZY PODPIS.

(1919 R.).

Zebrał się dnia tego ludzie na wielkie zebranie. Wiec nazywa się! Nigdy tego najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby prosty naród mógł zebrać się swobodnie i o swoich biedach, jak chcąc, w każdej mowie rozprawiać.

I to nie tylko mężczyźni, ale i baby; słyszane rzeczy!

Baby także cisną się, swoje trzy grosze wsadzić, bo i one wolność słowa mają. Tak powiedziano całemu narodowi.

Przyszło wojsko z Polski, i stało się wszędzie, że nastały równe prawa i wolność! No i czy to było wierzyć różnym takim, co mówili dawniej, że z Polski pańszczyzna idzie, że polskie wojsko, to pańskie i inne różne wygadywania: że panowie modlą się zawsze: „Pańszczyzna, wolność racz nam wrócić Panie!” i oto bunt zrobili przeciw dobremu cesarzowi ruskiemu, który chłopów wolnością obdarował, a panów za bunt okropnie ukarał. No, dobrodziejstwa te okazały się nie bardzo dobre. I za wiarę i z biedy nacierpieli się chłopci. A najgorzej, że prawdziwej wolności nie było. Bo cóż, bieda, czy nie, a w gminie mało kto śmiał się odezwać. Pisarczyk złodziej pisał i pisał coś po rusku, czego nikt wyczytać nie mógł, nawet tacy, co do sielskiej

uczyliszczy (szkoły) chodzili i od nauczniaka (nauczyciela) zdrowo po karku dostawali. Potem pytał, taki czort, nie wiedzieć skąd przybyły: Sa głasno?! — i ludzie, jak barany, odpowiadali: Sa głasno, — i koniec. Wszystko tak uchwalone było. A żeby co dobrego? Aha, najlepsze to były pensje dla pisarczyków, dla nauczniaka i dla felczera. Żeby mieli na wódkę, bo to i monopol blisko ich domów, i monopolszczyk ich kum, tak samo ruski człowiek, z dalekiej Rosji przysłany, naszym, tutejszym chleb odbierać i swojego rosyjskiego rozumu nas uczyć.

I czy kto kradł z nich, czy gnębił prosty naród, czy kto chciał czego, czy nie, to mógł w duszy schować i sumować do śmierci, bo ani tego gdzie wypowiedzieć, ani z tego korzyści nie było, jeżeli próbował mówić.

A pisać do gazet nikt nie umiał, bo mało kto był uczony w tamtych stronach. Dobrze, jak na Oficji, czy Złotym Ołtarzyku, przesylabizował pacierze, a i to na pół z pamięci, a pisać!? Mój Ty Jezu, najmiłosierniejszy! Kto tu tego uczył. I nie wolno było po swojemu, tylko po rusku, a to uczenie to już było takie słodkie, że rodzice często woleli przyrzucić nauczycielowi trochę zboża, czy tam czego, aby dzieci nie męczył prawosławnymi pieśniami i nauką, gdzie więcej było bicia i łajania, jak czego.

Tak i żył naród w ciemnocie, jak bydle w jarzmie, rozumu swojego niemające, zmiany nie żądające.

Aż tu przyszła wojna; zrobił się przewrót świata, i w naszym kraju dziwy nastały. Rosjan przegнали Niemcy, Niemców znów bolszewiki, Żydy z Ruskiemi, a tych Polacy.

I wtedy naród przemówił.

Pierwszy raz od czasu, jak pamięć ludzka sięga,

ozwał się prosty naród swoim głosem. Wszędzie, gdzie przeszły legjony polskie, przez ziemie Litwy i Białej Rusi, tam swobodnie odezwał się prosty naród. I przemówił, powiedział: Do Polski—i po prostemu: Da Polszczy chcem.

I tak mówił nie raz, nie dwa, ale często, na różnych zebraniach, gdzie pytali przyjeżdżający panowie, albo panienki, czego ludziom brak i czego chcą? A ludzie najczęściej mówili: chleba, bo był wielki głód po ziemi litewskiej i białoruskiej, którą nieprzyjaciele obdarli, że była jak żebrak w łachmanach, zeschnęła z głodu.

A zaraz potem mówili ludzie: nauki! Bo, duchem świętym oświeceni poczuli nagle, że bez oświaty, bez nauki nie żyć mu już na świecie.

Naród zmądrzał od tych nieszczęść, rozejrzął się, wzmocnił i sam o sobie radzić zaczął, krzepiąc się do nowego życia.

Już nikt nie mówił, że szkoły, to pańska fanaberja, że kali baćki tak żyli, to i my tak budziem. Nie, uczyć się chciał każdy, duży i mały. Jakby dusza się obudziła w tych ludziach, których biedne ciało tyle męki zniosło przez wojnę. Głodu, choroby i strat rozmaitych mieli tyle, że, zdawało się, wyginą co do jednego. A tu patrzajcie! Dużo żyje i o sobie radzi, nowe życie buduje.

Od tego właśnie były wiece. Zbierało się ludzi po kilka tysięcy i uradzali. To i owo, a zawsze wspominali serdecznie naszego Pana Piłsudskiego i legjony jego! I często podpisywali papiery, jak taka, a taka gmina chce do Polski się przyłączyć.

Kto umiał podpisywać, sam pisał, a kto nie, krzyżyk stawiał.

Raz, w Oborkach, taki wiec się odbywał. Ludzie wygadali się z panienką, co z Wilna przyjechała i bardzo pięknie przemawiała; a mała była i w-

soła, jak ptaszeczka, aż wesoło robiło się na duszy, patrząc na nią. I wierzyli temu, co ona mówiła, bo ją znali ludzie, że za ruskich czasów, kiedy karali za nauczanie po polsku, ona, za prostą dziewczynę ubrawszy się, w kurnych chatach dzieci uczyła, choć była, mówili, pańskie dziecko, ze dworu. Ale tak już Bogu widać ofiarowała się naród oświecać. Zawsze mówiła dawniej: „Przyjdą polskie czasy, zobaczycie!” Ot i przepowiedziała, łaską Bożą przewidywawszy, czasy przyszłe.

Więc teraz rozpytuja ją, co i jak będzie, a ona każdemu odpowiada tak serdecznie, że najbardziej senliwy, najdurniejszy człowiek, coś koło serca poczuje ciepłego, i w głowie jakaś jasność mu zaświeci.

Patrzy z tłumu na małą panienkę stara Łowkisowa. Podoba się jej to; co ta dziewczynka mówi. Innym babom też.

— Ot, słuchaj kuma, mała taka, młodziutka, a jaka uczona, — mówi Gudasowa.

— Wiadomo, ale czekaj kuma, puskaj mnie do stołu, i ja pokażę, że choć bez szkół, ale i ja uczona — dowodzi Łowkisowa.

Cisnie się baba do panienki; tęga sobie, krepą, twarz pomarszczona, oczy siwe i jasno patrzące, podchodzi blisko.

— Panienko moja, — mówi, — ja pod ten papier podpiszę się,

— A dobrze, proszę, — rzecze panienka. — A że to, matko, umiecie pisać? A któż uczył?

— Ach, moja mileńka, kto mnie uczył? Ruski mnie uczył, nahałem przez plecy i zakazem swoim. Ot co! Dawniejże, nie wolno było. Kradnij, jak chcesz, rozpustnie żyj, ale pisać, czytać po naszemu, nie wolno było! Od samego cara, słyszę, zabroniono.

— Pan Bóg jego za to skara! Czy prawda, że

jego z całą familją pomordowali kozaki? — pyta ktoś ze słuchających.

— Prawda, nikt z nich nie żyje.

— A ot, widzisz jaki Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy...

— A czy prawda panienczko, że w ichnym Petersburgu teraz taki głód, że strach powiedzieć... mięso ludzkie jedzą... pfu... zgiń, przepadnij, taki narodził!

— Opowiadają, że tak, że to Ghińczycy, poganie, krają zabitych i sprzedają to mięso...

— O Matko, cudami słynąca!... O, Jezul Antychryst tam panuje chyba, to i hadania niema... — odzywają się głosy.

— No, ale jak było z tą nauką, gospodyni? Jak, kto nauczył?

— Sama ja, panienczko miła, sama, z pomocą Bożą, bo do nauk zdolna byłam, tylko, że nie było gdzie. To trochę ciotka pokazała, a potem ja sobie sama, na elementarzu, tak i siak, składałam i czytałam! Raz, wleciał czegoś do chaty ten lucyper kudłaty, uriadnik i jak zobaczył mój elementarz, kiedy zaczęłam tarmosić i krzyczeć: „A kto tobie dał, a polska miatież“! i różne takie przeklinania... Poczekał ty, poganinie, już ty mnie nie zobaczysz z książką, myśle sobie. A mała jeszcze byłam, może dziesięć lat miałam, nie więcej. Tu my z bratem na pieczie uczyli się, a jak ciemniejszy dzień, to pod ławką, czy pod stołem, jak psiuki siedzieli. Ale co powiesz panienka? I tak złapali. Uriadnik i znów przyleciał, nahajem plecy przeorał. To brat płakał, a ja nie, tylko nadto serce zaskaliło się we mnie: ty nie chcesz, myślę, nu, czekaj, ot ja taki będę umieć czytać! Nosila pręgi na plecach, tłuste jak kielbasy, a nie płakała. Elementarz przeczytała pięknie do końca, i znów kilka razy, a te pohany nic zrobić nie mogły.

I pisać pomaleńku nauczyła się, najwięcej od syna, co w Wilnie służył i tam chodził do jednego księdza. Ale potem wyjechał on do Ameryki, mój Antek, aż pisze do mnie list i pieniądze przysyła. Wołają do kancelarji: „Rozpisz się“, — mówią. — Aha, ja już nauczona, drugi raz bić się nie dam! „Nie umiem“, — mówię. — To oni rozpisali się. A więcej, to nie było okazji podpisać się. Kiedy w naszym babskiem życiu jest pisanie? Chyba list do kogo. Ale pod tym papierem, to ja chcę swoją familję położyć, bo to święta sprawa, a choć ja pod ławką uczona, to mnie anieli za rękę wiedli, jak ja starała się, i dlatego dziś mogę, jak chcąc, pisać. A teraz i baby mają głos, oho!

— Piękny będzie porządek, — mruczy jakiś gospodarz.

— A czemuż ma być nie piękny! Cóż to, baba nie człowiek! A czy ona mniej pracuje od dziada? A co wy bez bab by poczełi?! A czy ty by jadł, czy ty by koszulę na plecach nosił, czy by przeżegnać się umiał, czy ty by na świecie chodził, żeby ciebie baba nie urodziła!...





„ŚMIERĆ BURŻUJOM!”

(1920 R.)

— Uciekają, żeby ręce-nogi połamali... Jasnie Pany... ot i przyszedł na was koniec ostateczny... ot wasze wojska, ot wasze generały... Koniec waszego panowania, krowopijcy wy... Pany... burżuje...—tak mruczał, stojąc koło drogi, Piotr Gawul, spoglądając z podębna na straszny sznur wozów, ciągnący się drogą. Słońce piekło żywym ogniem, jakby znikąd już miłosierdzia nie było nad nieszczęsnymi ludźmi. W upale, spiekocie i kurzu, z rozpalonemi zmęczeniem i gorącym twarzami, ze spuchłemi nogami, wlekli się dysząc, ciągnąc za sobą krowy, pędząc owce, jęcząc, płacząc, osłaniając mdlejące z kurzu i pragnienia dzieci, których czerwone twarzyczki i błędne oczy zapowiadały różne choroby, czyhające na nie w tułaczce. Kurz bury, gryzący w gardle, stał od świtu do zmroku na drodze, jak tuman, zdaleka widny, w którym jak w długim pasie szarym, majaczyły bezustanku powozy pańskie, pełne starych osób i dzieci, wozy dworskie i kałamaszki szlacheckie i proste gnojówki chłopskie, na które zwalono pościel, garnki, kołowrotki i co kto miał najlepszego. Wszystko, jak obłąkane, ciągnęło na południe, wszystkie serca były jednym nieprzytomnym strachem. Uciekali mężczyźni w sile wieku, jak baby, jak dzieci. Nikt nie myślał o tem, żeby się bronić, by stawić opór. Strach opętał cały na-

ród, opętał wojsko, zdawało się, że niema ratunku, że idzie tam hen, taka potęga, której oprzeć się nie można, że to nie ludzie, a szatany zwaliły się na ziemię.

Więc uciekali wszyscy i kraj stawał się jak człowiek, któremu żyły podcięli, a niemi upływa wszystka krew. Za niemi zostawała martwa pustka, nieme dwory, opuszczone i wyludnione zaścianki i wioski bez żywej duszy. A zdala, za tymi nieszczęśnikami, szły echa strzałów i pożogi. Płonęły miljonowe bogactwa lasów, napelniając powietrze gryzącym dymem, smoląc oczy uciekinierom i sierść zgłodniałym, padającym z pragnienia bydłom.

Podmuchał ognistych płomieni zamieniał powietrze w istne piekło i zdawało się, że w tej spiekocie, w tych płomieniach i żarze ognistym idzie na świat sam książę piekieł, Antychryst, i że oto koniec świata przez Apokalipsę oznajmiany nadszedł.

Jeden jęk trwogi szedł od wozu do wozu, czy to pańskiego pojazdu, czy prostej chłopskiej drabiny: „Bolszewiki”.

I cała ta straszna droga, ten trakt, co drgał i przewalał się jak wąż w mrowisku, jęczał cały i stękał, i skomlał tysiącem głosów ludzi i zwierząt, wzbijając się ku rozpalonemu niebu okropną skargą i boleścią nieludzką.

Po drodze, w wioskach, gdzie jeszcze trwoga nie doszła, wylatywali ludzie z chat i łamiąc ręce, lub stając w ponurem milczeniu, patrzyli na dole uciekinierów, namyślając się, kiedy to samo ze swoim dobytkiem robić i jak?

Niektórzy biegli do wozów, wołając z rozpaczą:

— Po co wy uciekacie! Bolszewiki panów biją, nie nas! Czego wy, prosty naród, tak strwożyliście się, co to?

— A „bieżeńcy odpowiadali” z jękiem:

— Mężczyzn biorą gwałtem do wojska, wioski palą, Chińczyki idą z niemi, brzuchy ludziom rozpruwają i tak puszczają... żywcem zakopują.

Inni wołali, jak w oblężeniu:

— Grobom nie przepuszczają! W Serenczanach rozbili pod kaplicą trumnę samego pana i kości wyrzucili na drogach.

— A tam, tam, za jeziorem, na rozstajnych drogach... Krzyż... Mękę Pańską porabiał czerwonoarmiejec na kawalki i krzyczał: Ty polskij Pan Bóg, czemu ty z panami nie udrał!"

Kobiety zakrywały oczy, martwiąc ze strachu, przed tak okropnem bluźnierstwem, a mężczyźni mruczeli, że ci, co idą, nie boją się ani Boga, ani szatana...

Wiele porywali się oszaleli ze strachu, wciąż nowi i nowi ludzie i płynęli rzeką, ociekającą potem i krwią ludzką.

Dniem i nocą, środkiem drogi, waliło wojsko. To było najstraszniejsze. To co wczoraj jeszcze było potężne, dawało pewność spokoju, bezpieczeństwa, ładu i opieki, teraz jak opadnięte gorączką, czy oblędem jakimś zaraźliwym, gnało, leciało zdziczałe, roztrącając wszystko i wszystkich po drodze, rzucając broń, mundury, konie, armaty, wozy. Czasami, na postojach, najeżdżały treny jedne na drugie, łamiąc wozy i dusząc chrapiące konie, aż żołnierze rzucali klnąc i bluźniąc straszliwie, wszystek wojenny rynsztunek i lecieli po polach, lasach i gąszczach, aby dalej i dalej od tej straszności, co tam szła za niemi i na nich. Nieprzytomność ogarniała patrząc na to, bo wszak były to wojska waleczne i bitne, jak żadne, zwycięstw odniosły bez liku, szły od roku naprzód! A teraz! chyba im rozum pomieszał djabł, któremu Bóg dał na próbę ludzkiej wiary moc nad światem na czas jakiś! To też widząc to pię-

kne, dzielne i wesołe polskie wojsko w takiej rozsypce i ucieczce, ludzie do reszty tracili głowy i gnali przed siebie bezprzytomnie. Mało kto zostawał.

W Bucewiczach, wiosce wzdłuż traktu rozłożonej, wrzało, jak w garnku. Wrzask, płacz, lament, klótnie i bójki z uciekającym wojskiem i „bieżącami“, którzy wypasali łąki i pola, traktując je i niszcząc, jak każdy kto ucieka, splunawszy na wszystko za sobą, a unosząc tylko życie, jakby ono było tak wiele warte, zdala od swoich i w nędzy. Klęli jedni drugich; nienawiść, strach i zawziętość podnosiła złość w ludziach, że rzucali się do siebie, jak dzikie zwierzęta, potem cichli i zapadali w tępą obojętność, wlokąc się sennie, półprzytomnie, ot, tyle, ile koń pociągnie.

Na skraju wioski, na małym skrawku ziemi, zarosłym nędznym warzywem i troszką owsa, stała chata Gawulów. On sam, rozkudłaczony brudny, oberwany i zły jak zawsze, patrzył przepalonemi wódką oczami na uciekających i smaląc fajkę, pluł w stronę wozów, koni, ludzi i wojska z jakimiś przekleństwami, które ginęły w jego rudawej, wiechciowatej brodzie.

Zona jego lamentowała w ciemnej kurnej chacie, gdzie drugie dziecko konało im na dyzenterję, a dwoje starszych, w czarnych od brudu koszulach korzystało z zamieszania, obrywało garściami groch sąsiada, bogatego Kiskuna, i pakowało strąki do wiecznie głodnych gęb, latając pomiędzy wozami i przyglądając się uciekającym.

— Gawul! Kiedy jeszcze raz twoje dzieciyszka najdę w moim grochu, to tak dam, że obaczysz! — wrzeszczał na niego Kiskun ze swojego dziedzińczyka.

— Kap ty spuch! — odwrzaskiwał Gawul — i coż ty? będziesz groch zbierać myślisz? Nie boś,

zbiórą tu bez ciebie, będzie komu zbierać, będzie!...

— A niedoczekanie, żeby ja swojej jarzyny nie zbierał, chyba ubiją, a kiedy Bóg da przy życiu pozostać, to zbiorę, któż mnie nie da?!

— Ucieknieszże musi i ty za swoim jasnie panem, ty pies dworski, — mruknął ciszej Gawul. — Cóż to ze dworu nie myślą uciekać? — spytał głośniej. — Tu śmierci będą czekać i pan ze swoją młodą żonką i dzieciukiem?

— A zgiń ty, przepadnij, Judaszu przeklęty, splunął Kiskun, nie chrześcijanin ty musi być zrobił się w tej Rasiei, żeby tak bliźnim życzyć.

— Jakie mnie bliźnie te krowopijce, pany, burzuje, ja by ich, ot tak, rękami darł! — zawarczał Gawul.

— Nu to zadaw się swoją złością i sam siebie drzyj pazurami jak czort, bo oni uciekną... już nieboś, wyjadą w porę, konie dobre, a rzeczy już pakują.

— A tyżesz razem na pastucha, a? — zakpił Gawul.

— Musi ty Gawul wypiuwszy i znów jesteś... rzekł spokojnie Kiskun, patrząc tylko z obrzydzeniem na pijaka: — A żeby i wziął mnie pan na pastucha, toby ja pewno ućciwie służył, a nie kradł jak ty.

— Złodziejem ty mnie nie rob! — wrzasnął Gawul.

— Sam siebie zrobił i w turmie huncfot siedział, a teraz jeszcze człowieku ućciwemu naręga się! Tfu, zgiń ty przepadnij, bolszewik ty nieszczęsny...

To mówiąc, schował się Kiskun do swojej porządnej i pełnej wszystkiego dobrego chaty, by wydać ostatnie rozporządzenia, jak nocą mają synowie jego pochować się z koniem i krowami w błotnistym olszniaku, żeby ich nie znaleźli ani legjony, ani

„krasnoarmiejcy“. Nic go, prawdę mówiąc, nie obchodziło prócz tego, by swoje dobro i żywiołe zachować. Nie myślał wyjeżdżać, choć lękał się, że Gawul, który był już raz przy bolszewikach „predwoditiel batrackawo rewolucjonnowo kamitieta“, zaskarży go przed jakimś komisarem o życzliwość dworowi i burżujom, a złakomiwszy się na jego konie i krowy, jego samego odda w pazury czerezwyczajki. Ale że miał chytry Kiskun zakopane w butelce carskie „traskuszcze“ storubłówki, a trochę srebra, parę złotych półimperjałów i parę funtów „Kościeszek“ w pudełku od konserw, w dziupli drzewa, więc miał nadzieję, że ze wszystkimi da sobie radę.

Postanowił tylko dla pewności nie iść do dworu zegnać się z panem, żeby na niego potem Gawul nie czekał. Ale korciło go, bo z jednej strony żałował młodego pana, wychodowanego na jego oczach, a z którego ojcem chodził na raki, oraz kusiła go myśl, że przy wyjeździe niejedno może skapnąć od wyjeżdżających.

— Kował szelma wszystko chwyci, on największy chapun... — medytował, — ekonom cichińki, durnińki do złodziejstwa był zawsze, to i teraz nic nie weźmie... pfu, zgiń przepadnij i jaż kraść nie myślę... ale jak ma już ginąć... to lepiej żeby ja skorzystał, bo ja nie zmarnuję. I na myśl ile tam we dworze pozostanie bogactwa, i jak to wszystko pogłumią ludzie, jeżeli rzucą się rabować, aż ślina mu ciekła, jak psu z łakomstwa. Tylko teraz jeszcze lękał się iść.

Zdaleka jednak, krzakami, podłaził powoli, żeby zobaczyć, co tam się dzieje w pałacu i czy Pan już prędko wyjeżdża? Stał sobie za klombami bzu, duże lipy kwitły właśnie i gałęzie aż do ziemi spuszczone, zasypały były złotawym kwiatkiem, tak pachnącym miodem, aż w gardle drapało od słodyczy, a pszczołki pracowały pocziwie, szumiąc swoją

pioseneczkę, nic a nic nie zważając na ludzką niedolę.

— Miodny rok będzie — westchnął Kiszkun, pociągając nosem, żeby mnie Germancy nie spalili ulów, miałby teraz dziesięć, piękna pasieka... a u pana jest jeden, ci dwa teraz? To żeby dopilnować! znów pomyślał, ale odegnał złodziejskie chęci krzyżem świętym i zaczął patrzeć przez gałęzie na to, co się działo przed białym podjazdem starego dworu.

Pan, młody i bardzo wysoki, a chudziński i blady jak po chorobie, biegał na wszystkie strony, nosząc tobołki, poduszki, garnki i ładując węzły w zaprzężnięty w niewielkie koniki wóz.

Pomagały mu dwie, czy trzy, zapłakane kobiety, a młodziutka żona, trzymała kilkomiesięczną córeczkę na ręku i oparta o słup ganku płakała tak, aż szlochaniem wstrząsało nią całą. Matka pana, staruszka siedziała, zakrywszy oczy, na schodach.

— Ot mocno płacze — Zamruczał Kiszkun spluwając, haniebnie mocno, głosi jak po umarłym aż serdce boli... żałuje... wiadomo... także bogactwa... a pan nasz nic... zaskaliwszy się z żalości, zęby zakąsiwszy chodzi. Przyszło na nich... nu... panowali, panowali, a ot i na panów przyszło... Niechaj by żyli... Wiadomo, ziemi ma za wiele i tak wszystkiego, ale czego ich zaraz pod ścienku... niech by żyli... ci to ziemi i powietrza mało... byłoby i nam i im chleba.

— Musi mężczyzny pochowali się ze strachu, — medytował dalej, patrząc na krzątające się baby. — Nie, a ot, Kimbar taki lezie panu pomagać, szlachcic on, wiadomo, to i sunie się do swojego. Ot, nie lęka się nic!

Pokręcił głową, dziwiąc się odwadze zacnego człowieka, który, narażając siebie, pomagał młodym

dziedzicom pakować koniecznie potrzebne w podróży z malutkiem dzieckiem rzeczy.

— Niedługoż im było życia i panowania, młodym... półtora roku pobrali się, ot i walaj, gdzie oczy poniosą, jak cygany... A dlatego przykro jakości, — mruknął, spluwając, jak po gorzkiej wódce.

Dziwnie jakoś było Kiszkunowi na duszy. Żadnych on czułości do panów nie miał, żyć, żył, ze dworem dobrze, zamożny był, więc nie kradł i do szkody nie laźł, bo był uczciwy. Znał się z panami, po gazety czasami chodził i na gawędę, po lekarstwo, albo parsiuka gatunkowego kupić, a miodu, gościńca panience przynieść. Ale prawda prawdą, zazdrościł im wszystkiego, aż jego coś w piersiach ścisnęło. Chciwy był okropnie i ile razy widział bogactwa pańskie, to aż jemu dechy zapierało, takby, zdaje się, wszystkie wziął dla siebie. Gdy widział, że tyle rzeczy pomarnowało się w czasie wojny, że teraz zniszczą do reszty wszystko, tak mu było szkoda tego, jak własnego.

— Niech by już oni zostali i nażywali się, a i nam by coś było, — myślał, — a tak, ani nam, ani wam, przez tę wojnę przekłą.

I taka złość go wzięła na to zniszczenie, na ten ciągły, od lat sześciu, niepokój, że kłął w duszy: i Polaków, że nie obronili, i bolszewików, że idą, i panów, że uciekają, i chłopów, że takie czyhające na dobro pańskie. A gdy wspomniał swego sąsiada, Gawuła pijaka, i jak ten tylko o tem myślał, by wszystko potłuc, spalić, podrzeć, pięści mu się ścisnęły i pomyślał z pasją:

— Czekaj ty czorcie, już ja ciebie nie dopuszczę do niczego.

Właśnie w tej chwili zobaczył jak do ganku dopadła chuda, mała kobieta, brudno i nędźnie

ubrana i „głosząc“, krzyżąc, dopadła do starej pani, coś jej tłumacząc.

Na razie Kiskun nie dosłyszał o co chodzi, ale potem rozpoznał Gawulową i zrozumiał, że ona prosi panią o jakieś lekarstwo dla dziecka. Młoda pani targnęła się w tył, osłaniając swoją malutką córeczkę i patrząc jak nieprzytomna na szlochającą kobietę. Pan krzyknął coś na nią ostro i odepchnął zniecierpliwiony, ale młodej pani stara coś powiedziała i ta pobiegła pędem nazad do dworu. Wróciła zaraz z jakąś flaszeczką w rękę. Wetknęła ją Gawulowej, coś jej tłumaczyła, przez łzy wciąż płynące po bladej twarzy.

Pan stanął koło wozu i zapalał papierosa, a ręce mu tak drżały, że zapalki gasły jedna po drugiej.

Gawulowa rzuciła się dziękować i pobiegła znów do chaty, a młody pan powiedział wtedy ochrypniętym jakimś głosem:

— No kochanie moje, już trzeba ruszać, ostatni czas, Mamo.

Wtedy stara pani osunęła się na progu dworu na kolana, jakby jej kto kosa nogi podciął, i pokłoniła się starym ścianom nisko, nisko, dziękując i żegnając wszystkie swoje dni szczęśliwe.

Kiskun zobaczył, jak jej siwe włosy prawie że zamiotły te stopnie, po których kiedyś, dawno, weszła, jako młoda mężatka, i po których do chrztu niosły wesołe kumy jej trzech synów, jeden w drugiego paniczów, jak sosenki.

Temi schodami, tym pięknym gankiem pod kolumnami, wyszły na wieczny spoczynek zwłoki starego pana marszałka... Oj byłże to pogrzeb i stypa! Najstarsi ludzie pamiętali, ile i czego najędli się wtedy i napili. A jak panicze żenili się i przyjeżdżali z żonami! Toż to tu, na tym progu, stara pani ich chlebem-solą witała, tu błogosławiła,

tu dzieci ich, wnuki swoje za rączki wodziła... Tu gości przyjmowali państwo, kiedy dudniał podjazd od tupotu czwórek koni, i aż echo szło, jak furmani palili z bata. Tu Kiskun, kiedy był chłopcem, przychodził z całą gromadą, z wiankiem, na dożynki, słuchał oracji przodownicy i pił, ile wlało, piwo, zakąsując chlebem, z dobrym, tłustym serem, białym jak śnieg... a potem panicze tańczyli z dziewczętami...

— Smaczny był syr, — przypomniał sobie Kiskun, — nie ma serka takiego... splunął, bo mu znów jakoś gorzko zrobiło się w gębie.

— Stara ciągać już i nie warto, jej by tu umierać, a nie wlec kości w obcą stronę. Coby jej zrobili? Wiek przeżyła... ot ciężko dlatego, jakby skórę obdzierali z człowieka... cóż dziwnego, wiek tu przeżyła.

Wszystkie te dawne rzeczy i zwyczaje i ludzi, jakby kto zdmuchnął, byli, niema. A tylko stary dwór stoi i szybami cichemi świeci, ale i jemu musi być ostatnia nadchodzi godzina. Młody pan, podniósł matkę uważnie pod ręce i wsadził na wóz, potem żonę z dzieckiem, sam obejrzał się w koło, zmarszczył, zęby zaciął, i krzyknawszy do zmartwiałego Kimbara: — Uratuj co możesz, — wskoczył, zaciął konie i ruszyli.

Panie obie modliły się widać. A za wozem, ciągnąc powróż, szła laciasta, piękna krowa i biegł w wesołych podskokach śliczny wyżeł, biały jak śnieg „Rex“.

Baby płacząc, ocierały nos i oczy w fartuchy, ale zaledwie państwo zniknęli za klombami, pomknęły do środka, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

— Szelmy, ot i zaraz nałowią się wszystkiego czego — mruknął sobie Kiskun, i straszną pokusa ciągnęła go, żeby iść, ale wstydział się. Żeby on,

bogaty gospodarz, laź grabić pierwszy, jak głodny pies, nie, tego już nie będzie. Inna rzecz, jeżeli wszyscy pójdą, a wtedy... to już czemu nie skorzystać?... Może i nikt nie pójdzie, bo chwała Bogu, ludzie nie takie potrzebujące... Ale przypomniał sobie Gawula i pomyślał, że ten i sam pójdzie i innych podmówi.

Tymczasem jednak, w całej wiosce i dworze siedzieli cicho, jak przyczajeni. Gawul laźł tu i tam po chatach, namawiał, żeby iść dwór rabować, ale ludzie lękali się. Kto to wie, co tam się może jeszcze stać i na czyją stronę obróci się cała historia?

Pod wieczór tylko kilka bab poszło nakopać kartofli w dworskim ogrodzie, bo tam rosła „pośpieszka“ i chwaliły się, że chodziły po pokojach, ale nic nie brały, choć bogactwa wszelkiego jeszcze dużo leżało na podłodze, i po komodach i szafach otwartych na roścież.

Nad ranem, kiedy słońce wstawało, bez rosy, suchym jakimś, jak oddechem chorego na gorączkę człowieka, podmuchem, przyniosło ludziom powietrze zapach spalenizny, odgłos krzyków i tętent koni.

Na dziedziniec wpadło kilku legionistów, czarnych, jak ziemia ze zmęczenia. Jeden wyrwał z pasa granaty ręczne i raz, dwa, huknął nimi w most wjazdowy, który prysnął w powietrze, rozbryzgując w koło cegły i cement, oraz malowane białe poręcze. Tamci polecili dalej, krzycząc, że bolszewicy są tuż, tuż!

Jakoż nie upłynęło godziny, kiedy z dzikim krzykiem wpadła wataha, na dworskie dziedzińce. Na czele pędził krasnyj kamandir i wywijając szablą krzyczał:

— Gdzie chaziain, padawat' jowo!

A dowiedziawszy się, że uciekł, kłął na cały głos, odgrając się, że gdy za dni kilka wezmą

Warszawę, to nie zostanie już wcale polskich panów, bo nie będą mieli, gdzie uciekać.

Wpadli w kilkunastu do dworu, kazali zaprządź wozy, ile zdołali znaleźć, i zaczęli wynosić co się dało. Potem pili, krzycząc w niebogłosość, a wnet potem doleciał uszu słuchających chłopów, którzy się zebrali koło klombów, brzęk stłuczonego szkła i przez pękające szyby wielkich, weneckich okien zaczęły wylać lepsze meble, talerze, wazy, miednice, lustra i t. p. Żołnierze rzucali się na te rzeczy i miażdżyli obcasami porcelanę, a z mebli zdierali adamaszki i okręcali sobie niemi brudne i poranione nogi, w podartych butach. Tu już baby nie wytrzymały, za trzy jajka, odebrała młynarzowa od bolszewika lustro starej pani w mahoniowych ramach, a za suchy ser dostał się Agacie, gospodyni, fotel rzeźbiony z bronzami.

Po kilku godzinach tej zabawy, spici wódką, którą gdzieś znaleźli, ruszyli bolszewicy dalej, ale przed wyjazdem zwołał „kamandir“ ludzi i krzyknął do nich:

— To teraz wszystko wasze, bierzcie, niech i ślad burżuizmy zniknie! Śmierć burżuom!

Tylko Gawul powtórzył za nim ten okrzyk, a potem cwałem ulecieli dalej, zaś chłopci, Gawul pierwszy, sunęli w drzwi pałacu, tłocząc się jak owce w ciasnych wrotach. Każdy, rozumie się, chciał przed innymi nachwytać się, czego jeszcze nie zniszczyli bolszewicy. Rwali też bez opamiętania firanki z okien i pokrycia z mebli, wyrzucali oknem krzesła i wybierali całe szyby, niosąc je w stronę chat.

Kiszkun stał może najdłużej na dziedzińcu nie wchodząc do środka i pocieszając Kimbara, który płakał i lamentował, bo mu bolszewicy zabrali wóz i konia, Gawul bowiem podlaźł do kamandira i coś tam naopowiadał widać paskudnego. Teraz głos jego

schrypnięty, dochodził z powybijanych okien i widać było raz po raz jego brodatą głowę, wykrzywioną śmiechem, kiedy tłukł coś o brukowany podjazd dziedzińca.

Raz wyciągnął sapiąc lustrzaną szafę i odepchnąwszy tych, co cisnęli się i rwali mu ją z rąk trzasnął nią z całej siły o muirowaną kolumnę ganku, aż tynk z niej odleciał, a szafa rozleciała się w drzazgi. W tej właśnie chwili przypadła do niego z wrzaskiem sąsiadka, wołając, że córeczka Gawulów kona, a matka głowę o ścianę tłucze. Ale rozwścieczony chłop pchnął ją z całej siły i wbiegł znów do pałacu. Wtedy Kiskun nie wytrzymał.

— Wziąć nie wezmę, bo może Pan Bóg skarać, ale popatrzę, a jeżeli co chwyć, to oddam im, jeżeli wrócą—obiecował sobie w duchu i wleciał do pokoju.

Już zaraz w pierwszej izbie, oszklonej, gdzie stały wazony z kwiatami, aż zgrzytało pod nogami od stłuczonych szyb i wazonów powywracanych. Chłopi deptali ciężkimi butami po ślicznych kolorowych kwiatkach i robili z nich bezkształtne śmiecie. W dalszych pokojach popychając się i tłocząc, wydzielali sobie z rąk do rąk, co pod oczy popadło. Chłopcy chwytały po kilka książek i uciekali z niemi, baby rzuciły się na porcelanę i roznosiły, jak głodne psy padlinę, wszystkie graty ze spiżarni. Drzwi, zamki i szuflady leciały z hałasem na ziemię. Nad przewróconem na ziemię, wielkiem lustrem, siedział pastuch Chybalonek i łupał je na kawałki, wyrwanym skądś żelaznym probojem. Ze wstydem zobaczył Kiskun starych gospodarzy, którzy rwali kłaki sierści i sprężyny z kanap, a dwie baby z wioski, stękając z trudu, ciągnęły fortepjan, tylko że im utknał we drzwiach, ani w tył, ani w przód ruszyć go nie można było. Raz po raz powstawały wrzaski, kłótnie

i nawet bójki, najczęściej koło Gawula, który nie dawał nic brać, tylko wszystko niszczył i tłukł, jakby się wściekł, wołając na całe gardło:

— Durnie, jak raz wszystko połamim, to oni nie będą mieli do czego wrócić. Spalić dwór, ja wam mówię, a nie tu peckać się z temi meblami.

Ale chłopie o tem słyszeć nie chcieli. Tyle dobra można było nabrać, skorzystać, a ten głupi, jak wściekły pies, co to ani sobie, ani drugim! Więc wypychali go i nawet szturchali mocno, ale on wracał i swoje wrzeszczał.

Nagle zobaczył Kiskun, jak Gawul skoczył, zerwał obraz ze ściany i trzasnął nim o ziemię. Kiskunem coś zatrzęsło, a baby rzuciły się, odpychając szarpającego się Gawula.

— Nie ruszaj ty, czorcie, ręce, nogi tobie pokręci... toż to małej panienki portret, ty! poszoł!.. krzyczały i jedna przez drugą zdzierały ze ściany fotografie i portrety do chat na pamiątkę. Kiskun ruszył spokojnym krokiem i wszedł do kancelarii, gdzie pamiętał, że wisiały inne portrety. Tam wszystko było porozbijane najgorzej, szukali broni czy pieniędzy, podłoga nawet była porąbana, a drzazgi mahoniowych mebli, strzępy papierów, planów, książek, flaszki jakieś i drobiazgi przejść nie dawały, bo nogi grzęzły w nich powyżej kostki. Portrety, wyszarpane z ram, leżały na ziemi. Rozdarta leżała twarz starego Pana Holszańskiego i zdawało się Kiskunowi, że zmarszczył srogo brwi i wąsy nasrożył, patrząc, jak tu jego dawni poddani hulają, na jego Jaśnie państwo nie zważając. Przypomniwały się Kiskunowi różne z dziecinnych lat przez starych gwarzone straszne opowieści, co jadem sącyły złe wspomnienia w dusze ludzkie. Ponuro powtarzali dziady nie jedno nazwisko pańskie, co haniebną pamięć zostawiło z pańszczyźnianych czasów. Gdzie, w jakim

dworze siekli różgami, gdzie przegrywali poddanych w karty, gdzie „duszami“ chłopskimi handlowali, o tem pamięć i gawędy szły przez długie lata, mszcząc się na dzieciach i wnukach.

— A ot Pan! co pokazało się, — mruknął Kiskun z jakąś satysfakcją, — my na wierchu, a? Skończyli się wy... och koniec wam smętliwy przyszedł... nu co zrobisz? Tak musi Bóg wam sądził za pychy wasze i nadto hardość wielka... mało ja razy bez czapki na mrozie przed im wystąpił... a ot teraz ja po nim chodzić mogę... ale nie będę... mruzczał sobie. — Naco? Wieczne odpocznienie racz jemu dać Panie... i zabióra, a potem młodemu oddam, i tamte portrety takż, — dodał, zbierając rozrzucone płótna; podniósł też starą, ślicznie okutą książkę i jakiś nóż myśliwski, cyzelowany, który znalazł pod szafą.

Wahał się, medytował i oglądał, aż wreszcie nie wytrzymał i oberwał zieloną materję z parawanu. Schował ją prędko w zanadrze i wyleciał zawstydzony.

W tejże chwili posłyszał krzyk „pali się“—i zobaczył jak daleko, w ostatnim pokoju, buchnął ogień i dym, przetkany płomieniem, Gawul biegł, krzycząc:

— Nia budzie ni twaje, ni panou! Zgiń, przepadnij! Dałoj pany, krowopijcy!

Chłopi, wściekli, że tyle dobra zginie, dali mu raz i drugi w kark, ale on rzucił się ochoczo do bitki, więc uciekli, nie myśląc nawet ratować dworu, który płonął jak pochodnia, aż ogień huczał, nosząc się z pokoju do pokoju...

* * *

W kilka dni potem Piotr Gawul przyszedł do Wilna i wsadziwszy czapkę na tył głowy, chciał się

wepchnąć do urzędu „Osobyj oddiel“, w którym bolszewicy badali uwięzionych i przyjmowali donosy i oskarżenia. Ledwie wlaź do przedpokoju, zaraz obskoczyły go młode Żydki i wrzeszcząc, pytać zaczęły po rosyjsku czego chce?

Gawul nie lubił Żydów i, niewiele myśląc, odrzekł:

— Poszli won, Żydy!

Z tego zrobił się taki rwetes i krzyk, że mało go nie rozszarpali na miejscu, ale wreszcie uspokoił się, kiedy im powiedział, że przyszedł coś o majątku burżuja krowopijca powiedzieć. Długie odbył ceremonje, nim dopuścili go przed oblicze głównego urzędnika i tu o mało nie splunął z obrzydzenia, bo znów Żydy siedziały jeden przy drugim. Ale ostatecznie wszystko, co miał, wygadał.

Tłumaczył, że cały majątek Widuny trzeba jemu oddać pod zarząd, bo on jest bezrolny i proletariusz roboczy, który tylko krzywdy i krwawego wyzysku doznał. Pan z niego krew i pot wyciskał, a że on wziął „mału sasonku“ z lasu, to burżuj oddał do sądu i siedział on w więzieniu za to. Nie dodał, że przy sasonce był i dębuszek i dwie osiny i że dopiero za trzecim razem oddał go dziedzic do więzienia. Owszem, tłumaczył, że to dlatego burżuj coś do niego cierpiał, że on jest komunist i bronić chce interesów proletarjackiego narodu. Wszystko to zostało zapisane i chwalili go bardzo za takie myśli, a kiedy wychodził, jeden komisarz mu powiedział:

— Nu, my już z waszym burżujem niedługo porządek zrobim, to i zapanujecie, roboczy naród!

Ale kiedy Gawul poprosił służby, czy pieniędzy, powiedzieli mu, żeby szedł won, i że w Widunach dość jest wszystkiego, żeby się tam ci, którzy na roli pracowali, mogli wyżywić. Pracy to Gawul nie

bardzo lubił. Głodując, przenocował gdzieś w kacie, w Wilnie, i jak świt, zawrócił nazad do Widun, myśląc, że zetnie parę sosen w lesie, obciosą i sprzeda Żydowi, to i będą pieniądze. Idąc przez ulice Wilna, widział, że miasto było smutne, jak wymarłe. Tylko bardzo brudni bolszewicy chodzili, przypatrując się wszystkiemu, a wyglądali tacy głodni i nieszczęśliwi, takie mieli twarze dzikie i smutne, taka jakaś nuda od nich szła i nędza, że Gawul sobie myślał, że tam, w Rosji chyba nie tak dobrze roboczemu narodowi, jeżeli żołnierze tak nędznie wyglądają. I nie mógł zrozumieć, że te dzikusy przepędziły polskich żołnierzy, z których każdy wyglądał jak „panicz“.

— Musi dlatego, że ony burzuje, tamte, a te to twardy naród, sami mówią: nam życie... kapijka! Bo i takie życie... Nu, ale panów prohnali i jak sami pójda do Warszawy, to my tu zapanujem, a nasz pan już nie wróci.

W kilka dni przyjechał z Wilna jakiś komisarz bolszewicki, rozpytywał ludzi o to i owo, o krzywdach, jakich od pana doznali, o ziemi i lasach, że mają być wspólne i t. p.

O panu rozmaicie mówili, zwyczajnie ludzie, ten gorzej, ten lepiej, ale wielkiego narzekania nie było, bo Pan był spokojny, od urodzenia tam żył i ludzi wszystkich znał od pokoleń, a oni też całą rodzinę.

Zaraz potem rozeszła się wiadomość, że stara Pani umarła w Wilnie, w drodze, z dezynterji, a że gdzieś za miastem zaaresztowali bolszewicy młodych państwa i uwięzili. Potem ktoś gadał, że czytał w bolszewickiej gazecie, że Pana rozstrzelali. Mówił to Kiskun, który słyszał od przejeżdżającego Żydką i opowiadając o tem ludziom, kręcił głową i potwarzał:

— Nie dobrze, jeżeli jego krew na nas spa-

dnie... żonkę, młodziutkę i sierotkę zostawił. Ja nic na Pana nie gadał, ani źle, ani dobrze, ale te, co gadali, to niewiem, jak z ich sumieniem będzie... nie wiem, ci będą oni spać spokojnie w swoim życiu, bo tak człowieka gubić, to musi ciężki grzech. Bo i to słyszę, że bolszewiki i księdzu podejść nie dadzą i rzuca ciało gdzieś, jak ścierwo, że i na mogile nie pomodlisz się... To już straszno pomyśleć! W święconej ziemi nie leży... A jak pies, Boże odpuść! pod płotem, ci w krzakach gdzie.

Przytem patrzył jakoś podejrzliwie na Gawulę, a inni, mało co mówiąc, porozchodzili się po chatach, bo im jakoś straszno się zrobiło. Każdy bowiem wiedział, że Gawul i przed komisarzem na Pana gadał i do Wilna skarżyć łaził.

Gawul zaśmiał się, zaklął i zaraz ruszył do miasta, ciekawość go wzięła, czy to wszystko prawda, co gadają. Tak mu było pilno, że ani się obejrzał, jak był już na pół drogi i siadł sobie troszkę koło rowu, piasek z dziurawych butów wyrzucić, kiedy zobaczył idącą z Wilna kobietę, z dzieckiem na ręku.

Szła jak pijana, czy nieprzytomna, bo stawała i zataczała się i ledwie, ledwie pęzła przed siebie.

A kiedy była już blisko, Gawul posłyszał, że dziecko płakało, piszcząc słabym głosem tak, jak głodne niemowlęta płaczą. Gawul wstał i popatrzał na dochodzącą, a ona przystanęła i podniosła ku niemu twarz tak straszną, że chłopca dreszcz przeszedł. Na razie nie mógł zrozumieć, skąd on zna tę nędzarke w łachmanach prawie, ale po chwili poznał młodą żonę właściciela Widun.

Miała na sobie tę samą sukienkę, w białe i granatowe kratki, w której wyjechała, ale brudną, zmiętą jak ścierka; dziecko, zawinięte w jakąś chusteczkę, pissało bez przerwy, a twarz młodej kobiety była jak nie z tego świata. Kiedy spojrzała na Gawulę,

mimo upału, przeszedł mu mróz po kościach. Oczy te jej były jak pływające we krwi, tak czerwone miała powieki, ciemne, spuchnięte plamy pod oczami. Usta spalone, aż ciemne, policzki zapadłe, cała twarz zczerniała, na nogach jakieś gałgany sznurkami obwinięte i widać było, że ledwo idzie.

Jakimś nieludzkim głosem, co ledwie, ledwie z gardła wychodził, spytała cicho, patrząc tak żałośnie, jakby zaraz skonać miała:

— Człowieku, czy daleko jeszcze do Widun?

— Niedaleko, — burknął Gawul, — ale nie dojdziesz... — padniesz, czego tam idziesz, a? — spytał, widząc, że go nieszczęśliwa nie poznaje.

— Ratować, ra-to-wać, — wyjęknęła, — męża, dziecko umiera! — krzyknęła i zaczęła jak w malignie, prędko mówiąc, opowiadać, przysuwając się do Gawuła, aż czuł jak od niej żar gorączki bucha. Chora moja mała dziewczynka, córeczka! Patrz! patrz! Człowieku, panie, towarzyszcz! Weź ją, zanieś tam, do ludzi, niech uratują, ja nie mogę, ja muszę do Wilna, bo tam mąż ginie... w więzieniu, na śmierć, oni go zabijają... A czem ja mogę dziecko nakarmić, kiedy nie mam nic... nic... ani kropli mleka, ani grosza, i nikogo!... Uciekli wszyscy, a nas złapali... Chcieli dziecko zabrać daleko... od matki... męża zabierali... uciekłam... strzelali do mnie... nie wiem kiedy jadłam, nie pamiętam kiedy spałam... Uciekam, ratunku! już nie mogę dalej, a muszę wracać do Wilna, tylko co z dzieckiem, co z małą?

Było coś tak strasznego w tej skardze żony i matki, której dusza i serce rwały się na dwie strony, jakby ją kto końmi rozszarpywał, że Gawul poczuł, choć nie był wcale czulego serca, jak włosy mu na głowie stanęły. Nie tyle on żałował „burżujskiego szczenięcia“, jak sobie myślał, ile strach go

przejął, że to on właśnie spotyka wdowę i sierotę po tym człowieku, którego wydał na śmierć. Byłby uciekł, ile siły w nogach, zostawując ją na drodze, bez litości. Ale ona, widać do ostatecznej trwogi i rozpacz przywiedziona, uczepiła się jego odzienia i trzymała go z całej siły, więc popychać ją, wstyd mu jakoś było.

— Czemu nie zaszła tu do folwarku! — spytał, wskazując na gaik, — tam by mleka może dali i nocleg.

— Nie wiem gdzie... ja muszę wracać do Wilna, męża ratować, nieś dziecko! — szeptała nieprzytomnie biedna kobieta, kładąc na ręce Gawuła płaczące niemowlę.

Żeby go była rozpalonem żelazem dotknęła, nie byłby skoczył inaczej. Szarpnął się, aż ona padła na ziemię, a dziecko o mało nie wyleciało im z rąk.

— Czort z tobą tańczył, ty prekatyje, burżujski nasienie! giń ty raz, przepadnij, — wrzasnął — a to ciąga się jeszcze po świecie! Bij ich, pal, strzelaj, a ciągiem znajdują się na drodze. Razstrelali użę twajego jaśnie Pana, tak i ty ze swoim psiukiem dechnij sobie, mnie co za bieda! Burżujów mniej, narodu lepiej, śmierć burżujom!

Tak gadał na głos Gawul i nagle stanął, bo sam nie mógł zrozumieć, czemu uciekał od leżącej na drodze kobiety i wszystko to mówił do siebie, czy tak, na powietrze.

Zamyślił się: czy ona słyszała, że mąż zabity, czy sama żyje jeszcze? Coś z głębin sumienia szarpnęło go, jak za włosy.

— Wróć, ostatnia pora, ratuj matkę i dziecko niewinne.

Coś mu jakby zagroziło strasznego i taki lęk go chwycił, że nie oglądając się za siebie, nie słu-

chając głosu duszy, nie myśląc o niczem, bieć zaczął i biegł tak długo, aż mu tchu nie stało.

Kiedy przyszedł do Wilna, powędrował prosto do znajomego stróża więzienia na Łukiszkach i tam dowiedział się, że prawda, właśnie, 24 godziny temu, rozstrzelali bolszewicy: młodego pana z Widun, rzemieślnika — ojca czworga dzieci, kupca Żyda i staruszką dzierzawcę. Gdzie ich wszystkich rzucili, do jakiego dołu, nikt nie wie, bo bolszewicy umyślnie nie mówią tego nikomu, żeby rodzina i tej pociechy nie miała, żeby nad grobem ofiar się ponadlić.

— Ale, — mówił stróż, — ludzie chodzą i patrzą tu i tam, pytają, bo wiadomo, państwo to bogate i jak ci wyjdą, to wielkie pieniądze dadzą temu, kto ciało znajdzie, żeby pochować po chrześcijańsku.

— A cóż to gadasz, oni wyjdą! Dlaczego mają wyjść, toż wojsko polskie rozbite i Warszawę zaraz wezmą krasnoarmiejcy i burżujów nie będzie! Kanieć z jemi!

— Aha, spodziewaj się, kto durny, — rzekł stary stróż, — nie boję, Polaki potrafią ich jeszcze przegnać! Tak dadzą po... czymś, że im krasno w oczach stanie, tym sobakom żydowski.

— Co gadasz? Co ty dziadu durny gadasz!

— A o wspomnisz moje słowa, a nie krzycz nademną, bo ja nie lękam się ani ciebie, ani ich. Dość ja napatrzył się śmierci niewinnych ludzi i bliżej mnie do grobu, jak od kołyski.

— Czekaj, ja spytam mojego znajomego komisara...

— A idź z donosem, Judaszu, idź, kiedy chcesz, a tymczasem won! Żeby ty świata Bożego nie oglądał... — mruczał stary, wściekły, że się wygadał przed niepewnym człowiekiem, który jak wilk wyglądał.

Gawul wyszedł stamtąd, zataczając się jak pijany.

Noc była jasna, księżyc świecił mocno i kiedy zeszedł na brzeg Wilji, woda leciała dokądś daleko; jakby sypała srebrne pieniądze po drodze; przy brzegu coś tam gadało z tej wody, jakby narzekało i skarżyło się ludzkim głosem. Gawul trząsł się cały; do szpiku kości mróz go przejął, choć była noc ciepła.

Na drugim brzegu zaszumiał czarny, sosnowy las na Zwierzyńcu.

I znów wydało się chłopu najwyraźniej, że coś wzdycha i stęka w powietrzu i leci przez te gałęzie jakieś płkanie, jakby korzenie tych drzew krwią ludzką się napoiły i w niebo teraz wołają: „Kainie, oto krew brata twego woła do Boga o sprawiedliwość!”

W uszach mu dzwonić zaczęło i przed oczami snuć się coś: mary, nie mary, ale i nie żywe istoty. Może to były cienie, może krew mu oczy zalewała, ale wszystko zasłoniła mu czerwona mgła.

— A za ciało zapłacą pieniądze — szepnął ktoś tuż za nim, aż się obejrzał. Ale nikogo nie było. Poczuł teraz jakby uspokojenie i ulgę, że ot, stało się. Skończyło się pańskie panowanie, będzie mógł hulać w majątku, po lesie, letki mieć zarobek i wielkie pieniądze... Pieniądze? I teraz by były potrzebne na wódkę... skąd wziąć? Aha... za ciało, prawda, zapłacą pieniądze! Kto? Któż to gadał? Za trupa? Któż da za trupa? I gdzie on? Ciekawość? Zdawało mu się, że cień jakiś mignął i zachichotał: „Idź! idź! idź!”. Poczuł, że musi iść szukać ciała zabitego dziedzica.

Szczekając zębami, wlaź w niegłęboką w tem miejscu Wilję i przepawiwszy się na drugą stronę, iść zaczął tam, gdzie słyszał od ludzi, że rozstrzelują skazanych. Woda go orzeźwiła, zapalił fajkę

i śmiać się zaczął jakimś strasznym śmiechem, sam do siebie.

— Ot, zarobię ja na tobie, choć po śmierci — żartował.

— Po swojej — coś szepnęło z krzaków, drgnął i ruszył, oglądając się, coraz prędzej i prędzej. Nagle wydało mu się, że jest przed nim jakiś dół, że tu właśnie kopać trzeba.

Przysiadł i zaczął, jak pies łapami, odrzucać miękką ziemię garściami. Ale zaraz zerwał się i niepokój jakiś pognął go dalej. Znów rzucił się na ziemię i drzeć zaczął murawę pazurami, potem wdrapał się na pagórek, odsunął jakieś ciężkie kamienie, łamał krzaki, spadł w wąwóz, podrapał się i zadyssał. Strach i niepokój go opanował.

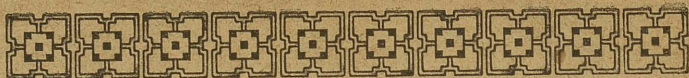
Bez tchu, bez siły laził to tu, to tam, kręcąc się w kółko po lesie, rzucając się w bok, z bijącym strasznie sercem, z oczami, wyszłymi z głowy. Jakies gałęzie łapały go za odzienie jak szponami, biły po twarzy, kiedy darł się wśród krzaków nieprzytomny; walił się na kamienie i zdawało mu się, że to cmentarz wioskowy i ojców groby. Obejmował drzewa, a one rosły zda się w krzyże niebotyczne, na których hen, wysoko, rozpięty wisiał Chrystus, w krwawej męce lży lejący nad ludźmi. — Trzeba, trzeba na cmentarz, do poświęconej ziemi, — szeptał Gawul spiekłymi ustami — a i pieniądze... pieniądze... trzydzieści srebrników — płątało mu się coś w pamięci. Wydało mu się, że słyszy płacz tej małej dziewczynki i zaczął uciekać, wydało mu się, że ktoś jęczy pod nogami, zaczął pełzać na czworakach, rękami macając trawę, to znów zrywając się oszalały, bo czuł najwyraźniej, że ziemia podnosiła się pod nim, stękając, jak matka, co trupa syna kołysze.

A jakieś djabły leśne pędziły go ciągle, z miejsca na miejsce, szepcząc: „To tu, to tu, to tu, tu, tu!”

I Gawul rzucał się, darł ziemię palcami, gryzł zębami, dusił się, dławił, w gardle miał jakby popiół, a choć chwilami z za krzaków błyskała bliska rzeka, nie pomyślał iść się napić, czy orzeźwić. Oczy mu zalewała czerwona fala, w uszach dzwoniło i stukalo, aż pękała z bólu głowa.

I nagle ostatkiem uciekającego rozumu pojawił nieszczęśnik, że będzie oto tak, szukał i szukał dzień i noc ciała swej ofiary i ani mu już snu, ani jada, czy napoju, ani chaty, czy rodziny, tylko pędzić go coś będzie tak, do końca życia. I wtedy przyczaił się nieprzytomny, oszalały zupełnie Piotr Gawul i zawył w cichą noc księżycową, jak wyje wilk w lesie, albo zwarjowany człowiek, co dla ludzi był zwierzęciem.





SUCZKA SZCZUCZKI.

Dziwno to pomyśleć, a jeszcze dziwniej uwierzyć, że w naszym kraju, choć już od lat 435 chrześcijaństwo ludzie przyjęli, jednak nie zapomnieli różnych zabobonów pogańskich. Jedne z nich są straszne, inne zabawne, jedne i drugie płaczą się w pamięci ludzkiej od dziadów, naddziadów, rozum bajkami mąca, czasami szkodzą, a czasami śmieszają tylko. Aż dziwno, że tak długo trwają, zupełnie jak te trawki co to depczesz na steckach, koło budynków, bydle je szczypie, słońce pali, a one nic, rosną i odrastają zawsze. Tak i tu: księża nauką i kropidłem wypędzają stare pogańskie duszki i bożyczki z chat, z rojstów, z błocinek leśnych, z dróg rozstajnych i ze starych karczem, a one, te jakieś djabelstwa i „złe” rozmaite, tańczą sobie po głowach ludzkich, śmiejąc się z ich głupoty, albo gwizdzą po suchych kępach, czy pluszczą się po brzegach cichych jezior, kiedy nikt nie widzi i tylko czasami dzieci pastusze coś wymiarkują, bo woda tańczy i pieni się nie swoją mocą... „złe” kapie się i potem skacze po kępach na kozinych nogach, a w nocy stuka w szyby, albo po strychach hałasując wykrada jabłka i kurom jajka. Czasami smokce krowy, a czasami konie zajeżdża w nocy księżycowe, aż potem oblane trzęsą się i pracować nie mogą. Ludzie rozsądni mówią, że to szczury dokazują, ale taki kto wie...

oho! to on już inaczej całą rzecz wytłumaczy! Do takiego ludzie chodzą po radę i leki i prędko sława znachora przynosi mu pieniądze i gościńce.

Wierzą i nie wierzą ludzie, śmieją się i lękają... Mężczyźni kpinki sobie stroją, ale baby latają po cichu na wróżby i uczą się słów zamaulania od krwi i od ognia, od poruszenia i przełknięcia i na różne zdarzenia niezwykle. Ofiary do kościoła noszą, spowiadają się księdzu z zabobonów, a nie mogą wytrzymać. Stare bożyczki pogańskie trzymają się pieczki w chacie, czepiają się spodnic babskich i za kosy dziewczęta tarmoszą po nocach, a po piętach śpiących łaskoczą, przypominając o sobie. To i wierzą ludzie i nie wierzą, lękają się i śmieją, ale ziołki kurzą i słowa naszeptują ważne, mocne, zaklinając złe, by cicho siedziało.

Bliżej miast ludzie zapomnieli o tych bajkach, ale dalej, w takich okolicach, gdzie szumią jeszcze bory ponad rzekami, gdzie puszcza nie dała dostępu siekierom, kolei i gazetom, tam wierzą ludzie w różne rzeczy tak, jak przed wiekami. I nic dziwnego! Kiedy wejdiesz w tamte strony, czujesz że ot, cóż tam znaczy sto lat na świecie!

Tu drzewa szumią sobie jak szumiały, swoją dawną pieśń do słońca, co im życie daje. Po mchu zielonym zbiera łania szczaw leśny i młode listki leszczyny szczypie aksamitnym pyszczkiem, a po pachnących, liljowych wrzosowiskach dołem sunie się ruda gadzina jadowita, a górą na kwiatkach zbiera miód dobra pszczołka, pracownica niezmordowana. Błękitna woda jeziora to westchnie, to uśnie, to zmarszczy się od wiatru i lica jej ściemnieją ze strachu, czy gniewu. A potem skamienieje lodem i wszystko zatuli się w pierzynę śniegu. Śpi i śni o wiośnie, o nowem życiu, co od wieków rodzi się co rok radosne za rozkazem Pana-Słońca, wtedy

kiedy Wiosna z nim śluby bierze i biegnie budzić ziemię, by na niej gospodarzyć.

Tam zdaje się, że nie ludzie rządzą, a siły jakieś niewidzialne, tajemnicze, jedne od Boga, inne od Szatana zesłane, a kłójące się ze sobą w całej naturze i w duszach ludzkich. I dobrze pomedytować musisz nim rozpoznasz? Która od kogo. Do tego trzeba było mieć osobny rozum, znachorski, albo być bardzo świętym człowiekiem, ale takich już niema, tylko ksiądz o nich mówi z ambony i w książce pisze.

W takiej to właśnie okolicy, lesistej i jeziorzystej, szły sobie raz na odpust Porcjunkuli, do miasteczka Mosarza, trzy pobożne kobiety i gawędziły, wiadomo, o wszystkim czem.

Dwie były z wioski Maracze nad jeziorem Szwakszty, Rozgulowa, wdowa wysoka i tęga, bardzo nabożna tercjarka, zwana zwykle Rozgulichą za język zajadły i niepowściągliwy, cicha i głupkowata Amilka Dziergaczowa i ważna, napuszczona pani Czupczyńska z zaścianku Inturki, która starała się delikatnie dać do zrozumienia towarzyszkom, że wielki im honor robi, ona, szlachcianka ze szlacheckiej okolicy, urodzona Borowszczanka, że z chaminjami na odpust boso idzie, prostego stanu nie postponując, bo tak Pan Jezus kazał.

Szły niewiasty rozmawiając o rzeczach nabożnych i starając się nie obgadywać bliźnich, bo tak wypadło idącym na odpust; czasami wzdychały licząc grzechy, które miały wysypać księdzu w konfesjonale, przytem kłóciły się trochę, czy lepiej do swojego, czy do miadziolskiego proboszcza?

— Swój znajomszy, ale tamten słyszę twardy i tak duszę wyczyści, że aż letko stanie grzesznemu człowiekowi— tłumaczyła Rozgulicha, która oblatywała

wszystkie odpusty i święta w okolicy i znała proboszczów na pamięć.

Rozlazła Amilka medytowała, pociągając nosem czy to jej grzech, czy mężowski, że jej dał w kark za źle upieczony chleb tamtego tygodnia? A że była cicha i pokornego serca, postanowiła wyznać jako swój. Bo i prawda, zalenila się i chleb był paskudny, zakalcowaty jak glina. A już zły chleb upiec, to wielki wstyd dla gospodyni i nawet prawdziwie grzech.

Pani Czupczyńska nie mogła się powstrzymać, żeby towarzyszkom raz po raz czegoś o swojej ważnej familji nie opowiadać: o braciach na swojej ziemi siedzących i szwagrach na urzędach, których dzieci języków uczą się w Wilnie „w gimnazji“.

Od czasu do czasu Rozgulicha wtórowała z gardła „Godzinki” czy inne pienia pobożne, Dziergaczowa zaciągała cieniutko i przez nos, a Czupczyńska pięknym głosem dopomagała, aż echo szło przez las i mile odpowiadało śpiewającym.

Szły bowiem drogą piaszczystą, która rznęła się przez bór, jak korytarz o ścianach zielonych i wonnych, i het, het, leciała daleko, coraz zdaje się węższa. Na prawo ujrzały w jakimś momencie karczmę dawną, jak straszdyło wytarmoszone wiatrem, ze strzechą trzymającą się tylko mchem rosnącym na niej i oberwanym węglem, przez który sterczały żerdzie strychu.

Nędzny ogródek z trochą warzywa, głównie cebuli i bobu, koza, kury i zapach ryby, rozchodzący się wkoło, oznajmiał żydowską siedzibę.

— A ot już i Głęboki Ruczaj — westchnęła Czupczyńska — dobrze idziem dlatego, pół drogi już i jest.

— Musi nie wytrzymam i skoczę wody poproszę — odezwała się Amilka — nadto w gardle zaschło.

— Klemensowa! Co zmyśliła! Boga przyjmować mając i jeszcze u Żyda pogana woda pić myśli! Bez głowy, bez rozumu...—obruszyła się Rozgulowa.

— A Jezus, prawda, ciotka, prawda, ot durna moja głowa! — przyznała się Dziergaczowa zawnstydzona.

Kiedy mijaly starą rudere, wylazł z za węgla rudy jak ogień Chałameško, który tam mieszkał z kupą bachorów i trudnił się, nikt dobrze nie wiedział czem. Ot tak „trochę z rybem, a trochę z kradzione konie”. Żyd ciekawy, jak to Żyd, przelazł przez rozwalone wrota i wysunął się na drogę.

— Do Mosarza musi na fest, kobiety, a? spytał.

— Aha — odrzekły wszystkie, zwalniając mimowoli kroku i zaglądając w czarne czeluście rudery.

— Uj, jeszcze ładny kawałek drogi, ale narodu dużo jedzie i księdzów pojechało. Będzi kanonik iz Wilna, bardzo fajny i gruby uch, ja wcioraj rybe woził, to widział, strach co narodu jest, i kramy, uj, kiedy piękne cy, cy, cyl—gawędził Żyd, aby gadać.

Niewiasty choć pobożne, ale nowinki lubiły, przystały, słuchały poprawiając chustki.

— A tak co słyszać?—spytała Czupczyńska.

— Niu co ma być słyszać? Kamisar od pana grafa polował wczoraj po lesie i łapali Szczuczkę, tege z Wyrwanki, un ucik, ale psiuka jemu zastrzelili. Winokurka należli u Dżidziula w Podwiewiórcie, ujuj, jaki to głupi chłop, un nie chciał dać uradnikom łapówki, to uni na jego naprowadzili; konia ukradli, cygany pewnie, a może i burłaki, u stanowego przystawa, a w Jejnach świnię chorują na czerwone i felczer jeździł do gminy dzieciom ospę szczepić...

— Ci widzisz? To wszystkim nakazano szczepić? spytała Dziergaczowa, która miała siedmioro.

— Wsistkie. Bo tam, gdzieś, za jezioro, zaraze.

— No pójdźmy już, czas, a to gorąco bardzo będzie, już słoneczko wysoko—napędzała Rozgulowa.

— Nim do Wyrwanki dojdziecie, będzie 10-ta, obaczycie ci un bardzo zły za tege psiuka ten Szczuczka; un bardzo zwierzynę psuje w grafskich lasach—mleł jeszcze Żyd ozorem, a kobiety już szły przed kim, równym krokiem.

Las szumiał i pachniał, ptaszki ćwierkały, susząc skrzydełka z rannej rosy, a zioła leśne zaczynały pachnąć miodem, aż słodko w gardle było od tego zapachu. Tu i tam, z zielonego, jasnego mchu, świeciły grzybowe głowy rydzów i lisiczek, aż kusiło, żeby zbierać, a koźluków to prosto jak nasypiano pod drzewami i zdaje się aż pod nogi babom biegly i piszczwały: bierz! bierz! bierz!

— Ot grzybów! — westchnęła Czupczyńska—aż przeciwnie zostawiać, choć ty ich garścią pobieraj... szkoda że koszyka niema!

— A szkoda, toż rydz pierwszy grzyb, ci solony, ci tak...

— A u mnie to już borowik najważniejszy, ale i borowików tu ile zechcesz... co ja powiem? Ot zajdźmy do Wyrwanki, poprosim koszyka i podbierzmy po drodze.

— Spóźnim się na nabożeństwo — rzekła Rozgulowa.

— A idź ty, jeszcze wcześniej — sprzeczała się Dziergaczowa, która była niebogata gospodyni i chciała na wszelakie dobro. — A jak nie teraz, to wracając nabierzem, tylko koszyk pożyczym teraz, bo po drodze można zbierać.

Już i dochodziły do Wyrwanki. Prawdziwie, jakby kto tam z lasu wyrwał kawałeczek pola, na którym jeszcze stare pnie sterczały, chatka jak na kurzej nóżce, płot postrzępiony i czarna koza na sznurku na mokrowatej łączce.

— Isz jaka koza, jak djabeł — zaśmiała się gapiowato Dziergaczowa, patrząc na rogate stworzenie, które nastawiło na przechodzące rogi i wspiąwszy się na tylne kopytka, oparło przednie nóżki o płot i patrzyło żółtymi oczami, świecącymi jak złoto, mecząc jakby się śmiało.

— W imię Ojca i Syna, nie wstyd Amilka, przed sakramentem, nazwisko nieprzyjaciela bożego wymieniać—obruszyła się Rozgulicha — a jeszcze i w takim miejscu...—dodała, oglądając się ukradkiem.

— A cóż miejsce, a? spytała Czupczyńska.

— Pani nie wiesz? Tu raz Żyda zarznął, i co dziwnego?... Krzyżowe drogi, a męki pańskiej nie postawiono, bo słysze cesarz ruski nie pozwala! to jak nie ma tu zły duch dokazywać?... Moja Pani... i o Szczuczce tak i siak gadają... że taka fuzja ma, co zawsze trafi, zamówiona... i że tak różnie może z ludźmi... ale Boże strzeż, może i grzech mój będzie tak mówić... a odpuść nam nasze winy — zaszeptala pobożnie.

— Nu ja zajdę po koszyk — upierała się Dziergaczowa popychając wrota, a tamte dwie, ot sobie, przez ciekawość, szły razem, jakoś czegoś strwożone. Zaraz koło wysokiego progu nie podobało się im, że wielki kruk podniósł się, załopotał skrzydłami i prawie im pod nosem przeleciał ciężko i siadł na płocie, kracząc tak paskudnie, aż babom zatrzęsły się serca.

— A zgiń ty, przepadnij, mańro nieczysta! — wrzasnęła Czupczyńska — nie pójdę ja... na śmierć tu czyjaś kracze, tfu, hadość taką hodować! Ni tu kury, ni tu krówki, ni parsiuka, tylko koza i kruk, a wszystko czarne...

— A żeby jego, jak on mnie nastraszył, — przyznała i Rozgulowa — Amilka nie idź, zostaw ty ten interes, mnie cości tu nie podoba się...

Ale Dziergaczowa już przelazła przez wysoki próg i drzwi rozwarte, więc i one do ciemnej wsuwały się sionki. Drzwi do stacji były tylko na kolek zamykane, więc popchnięte otworzyły się, skrzypiąc i wnet, czarny jak smoła kot, błyskając zielonemi oczami, przeleciał pod spodnicami bab, które jednym głosem wrzasnęły: „A Jezus!“

Z pustej stacji ciemnej, kurnej, zadymionej, gdzie tylko ława, stół i jakieś ceberki stały, rozszedł się dziwny jęk. Pisk jakiś, skowyczenie nie ludzkie, jak potem przyznawały wszystkie trzy kobiety, ozwało się z leżanki za piecem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — rzekła głośno Rozgulowa, rozglądając się i żegnając trwożnie.

Ten sam głos odpowiedział i pytanie:

— A któż to, a kto, kto? jęklawie wyrzeczone doleciało.

— Swoje, swoje kobietki, z Maraczów, po koszyk, ale co tu jęczy, czy to Szczuczkowa? Ci chora co? pytały, rade że głos ludzki posłyszały, a jakoś grzeszna ciekawość trzymała je, jakby sznurkiem ktoś ciągnął.

— O, o, o, już ja teraz nie Szczuczkowa, a prosto suczka, suczka, suczka, — zajęczało coś za piecem

— A toż co? szepnęła Dziergaczowa okrągłymi oczami patrząc na towarzyszki: „nie już on ją w suczkę przemienił“.

— Idź ty głupia, — obruszyła się na nią Rozgulowa. „Co tobie kochanińka, chora ty musi co? może co pomóc?—spytała podchodząc odważnie, a tamte za nią, do kupy brudnych łachmanów, w które wkopana leżała kobieta w ciemnym kącie.

— O, o, o, choroba moja nie ludzka i człowiek mnie nie pomoże... zabił on mnie z duszą—ciałem...

niechaj jego, czorci syn ten... oj ojoj, co on ze mną uprawia!..

Wszystkie trzy kobiety stały teraz ściśnięte razem i patrzyły z przestachem na leżącą Szczuczkową. Tarzała się ona wśród brudnej pościeli i targała się chudemi rękami za czarne włosy, które rozsypane koło chudej twarzy i kościstych pleców, co wyglądały z za czarnej z brudu koszuli, okropnie robiło wrażenie. Wielkie czarne oczy leżącej palily się jakimś ogniem niezwykłym, żeby zgrzytały i raz po raz widać było błyskające białka, tak jej oczy w słup stawały, a wiła się jak robak w ogniu.

— Co tobie, Szczuczkowa, a, duszo... co ciebie tak rzuca? pytała półgłosem Dziergaczowa, czując zimne dreszcze.

— Ach co mnie, ach co! Ach jak to i wymówić! A żeby on skroś ziemi poszedł, a żeby on chlebem zadawił się, a żeby jego ziemia wyrzuciła z mogilnika, kat ten, gubiciel mój, czorci kum... — klęła Szczuczkowa.

— Kto, kto, kto?, wszasnęły kobiety.

— A tenżesz mąż mój, żeby on żyw do chaty nie wrócił... zaczęła na nowo, a one stały skamieniałe ze zgrozy. Bo pewnie, każdej z nich zdarzyło się wrzasnąć ze złości na męża: Kap ty spuchł, albo kap ty okolał, ale żeby tak już przeklinać, na życie i śmierć, to im się wydawało straszne.

— Co on tobie zrobił, musi nabił mocno, a? Dlatego grzech tak przeklinać — rzekła Czupczyńska poważnie.

— Co on zrobił! Grzech! A on co robił. Coż ja? żona? ja kobieta teraz!? w suczkę, w suczkę on mnie przemienia, i lataj jemu całą noc, język wywiesiwszy, zwierzy na płos po gąszczarach, szczekając i wachając! W suczkę mnie sobie obrócił, ani mnie snu, ani mnie ludzkiego życiał... Wstyd, hańba

i zatracenie! Ot patrzajcie, jaka ja w błocie, w rosie, całutka noc, całutka noc lataj i za suczkę jemu służ! Żeb on żywym do piekła wlaź, paskudnik ten, czort... czort... — jęczała taczając się po pościeli. Ale baby nie dosłuchały końca majaczenia gorączkującej kobiety. Kopnęły się tak, że popychały jedną drugą i trzęsąc się, szepcząc pacierze, nie swoim duchem przeleciały przez próg i wrota, i daleko na drodze, jak już i chaty widać nie było, przystanęły zasapane i bez tchu patrzyły na siebie pobladłe ze strachu.

Pierwsza oprzytomniała Czupczyńska. Przestraszyć się przestraszyła, ale była trochę więcej rozgarnięta od towarzyszek i kiedy ochłonęła, wydało się jej, że to jednak być nie może.

— Musi ona tak z gorączki bluźni, — przemówiła — ci to może być, żeby on miał taką moc w sobie, żeby ludzi przemieniać w zwierzę.

— A czemuż nie może, jeżeli z... tym, co nie chcę imienia wymówić, sprzął się, albo duszę zaprzedał, to i wie, gdzie jakie pieniądze w ziemi leżą, gdzie krynice płyną i może obrócić siebie w każde bydle i kogoś także — tłumaczyła Rozgulowa.

— Jak tu nie wierzyć, sama mówi... i prawda, widziałam sukienka jej obłożona, ona ledwie żywa i jakaś twarz u niej już nie taka jak człowiecza... co to psem bywszy! To już cokolwiek i zostanie takiego.

— A Jezus najświętszy, że to takie sprawy jeszcze są na świecie... — jęczała Czupczyńska — choć kościoły stoją.

— Gdzie moja Pani głos dzwonów nie dochoodzi, tam zły duch może jeszcze panować, jeżeli człowiek dopuści.

— Boże mnie strzeż jego spotkać... Ot kobieta nieszczęsna... toż ona też duszę zagubi, a za-

wszesz to mąż... to i odejść jakoś nie pięknie... ot dola... — biadały.

Naturalnie nikt nie kazał babom trzymać język za zębami i kiedy po odbytej spowiedzi i wymodleniu się w ścisku, poszły sobie przed kościół, a potem na kiermasz, nie minęło i godziny, a już polowa ludzi wiedziała, że Szczuczka Cyprian jest okropny czarownik, co na miejsce zabitej przez łowczego pana grafa suczki, żonę swą w gończycę zamienia i zmusza napędzać sobie zwierzynę pod czarodziejską fuzję, co nigdy nie chybia. Nazwisko chłopca pomagało jeszcze do tej bajki, i nim słońce zaszło, kto żyw gadał i wiedział o suczce-Szczuczkowej, o czarach w Wyrwance, gdzie zwierzęta poczarowane wszystkie na czarno, a go-spodyni biega po chacie na czworakach i już tylko szczekać może, zaś Cyprian siedzi w świronku i liczy złote pieniądze, wykopane w lesie po Francuzach, co lat temu sto szły ze swoim cesarzem Napoljonem przez Litwę, na Moskwę i rozbite chowały kasy wojskowe pod dębami i w błotach.

Pół jarmarku jechało i szło piaszczystym wielkim traktem wśród lasów. Ludzie zmęczeni upałem, kurzem, ściskiem i kłótniami przy targach, wracali powoli, chłodkiem wieczornym się ciesząc, paląc fajki i gadając o zdarzeniach jarmarkowych. Od wozu do wozu szły przymówki, a z kałamażeczek, co łżejsze przelatywały bokami, raz po raz ktoś zaśmiał się i zaśpiewał, bo i podpiłi nieźle niektórzy.

Jechał swoją zieloną kałamażką, z czerwonymi szprychami i lejcami, siwakiem zaprzęzoną, pan Nikodem Aljubowicz z okolicy Daszeczki, szlachcic zagrodowy, pyszny bardzo i bogaty; do niego przysiadł się boczekiem i, poprosiwszy o podwiezienie, Jurka Papałajkis, Litwin rodem, który jednak oże-

niwszy się na Białej Rusi i po dworach za rymarską robotą chodząc, zapomniał własnego języka, po białorusku mówił z litewską, a po polsku z białoruską. Jednak każdy się z nim dogadał, bo człowiek był trzeźwy, fach swój znał i sumiennie robotę robił, a że był bardzo pobożny, więc bratczykiem został, chorągiew nosił i śpiewał pięknym basem podczas procesji, za co miał łaski u proboszczów i organizmów, którzy go zapraszali na festy.

Z tego powodu Papałajkis miał pretensję znać się na sprawach kościelnych i rozumieć różne obrządki lepiej od innych, a że czytać umiał aż w trzech językach: po polsku, po litewsku i po rusku, do czytania był chętny, a po dworach dawano mu książek, ile chciał, więc po skończonej robocie nabierał sobie mądrości do głowy i dowiadywał się rozmaitości, jakie tylko są na świecie z gazet i książek. Aljubowicz leń był do czytania i prenumerował gazetę tylko dlatego, że panna Pelagja Borowszczanka, z wielkiej familji Borowskich, pobytwszy w Wilnie u Ciotki, chodziła na naukę, w sekretnym sposobie udzielaną w owe czasy po polsku, i tam, nabrawszy nie babskiego już rozumu, zarzekła się i pobożyła, że nie wyjdzie za takiego prostego „chłausiuka“, bo nawet gazety nie trzyma, na czterech włokach siedząc i nie wie, że Mickiewicz napisał o Litwie najpiękniejszy poemat: „Pan Tadeusz“. Te gadania panny bardzo ubodły szlachcica; zaprenumerował gazetę, czytał i polubił gawędę z Papałajkischem, bo z niej się dowiadywał łatwiej i prędzej wielu rzeczy, którymi potem pannę Pelagję mógł zadziwić i zaciekawieć w rozmowie. Strasznie chciał coś takiego zrobić, czy taką naukę osiąść, żeby harda panna uznała jego osobę za ważną i godną zostać [mężem] najpiękniejszej szlachcianki z okolicy, a że sam był mężczyzna urodziwy, wielki i „praworny“ do wszy-

skiego, więc liczył na to, że zdobędzie rękę, serce i posag pięknej Peli.

Papałajkis i Aljubowicz słyszeli na jarmarku o czarach w Wyrwance. Wierzyć nie wierzyli, ale za nic by nie chcieli ręczyć. Jeszcze Nikodem zuchwały jak prawdziwy szlachcic, choć sama ciotka jego uko-chanej panny Peli, pani Czupczyńska opowiadała ze zgrozą o tem, co się działo w chacie Szczuczki, nie bardzo okazywał, że wierzy w czary. Ale Papałajkis, który naczytał się rozmaitości o czarodziejach, opętanych, a ostatniemi czasy czytał ogromną i bardzo nudną książkę o Masonach, czyli farmazonach i ich z djabłem komitywie, ten, pytany przez Aljubowicza, robił ważną minę i kręcił głowę na tak i na nie.

— Tak mówiesz Pan Papałajkis, możesz to być, czy tylko babskie w tem gawędy — rzekł Aljubowicz, ćwicząc batem grzbiet siwka, by spędzać baki, ślepce obrzydliwe, które wpijały się w skórę ślicznego konia, aż strużki krwi ciekły po tłustych bokach i szyi.

— Baba kukała, chłopca oszukała — rzekł Papałajkis. — A likoż ik wie, co one na prawdę widziały, tylko to Waćpaństwu powiem, że na świecie są takie zdarzenia, że widząc nie wierzysz, a kcesz prawdy dójść! Na to człowieczy rozum za mały.

— Bardzo Pan rozumnie gadasz i prawdziwie, nie powiem inaczej, tylko jaby chciał wiedzieć, ci było kiedy takie zdarzenie na świecie, żeby człowiek człowieka w zwierzę zamienił, a do tego własną żonę?

— Otoż to, że tu i sakrament w robocie, któren powinien przeszkadzać złemu duku, ale kto liko przezna i przepatrzy? Kto dj... z przeproszeniem Waćpanstwa, duszę zaprzedał, ten, wiadomo wszystko może, a to bywało, ajej nie raz, nie dwa, dawniej-szemi czasy i w książkak o tem piszą, to i teraz cóż? Mogło stać się... Kwała Bogu nie w mojej parafii.

— Tak cóż, może by proboszczowi dać znać? żeby pokropił w chacie?

— I wiadomo, że wartoby, bo z tego może być bieda na okolicę, tylko że tutejszy ksiądz zaraz zakrzyczy, że zabobon, bo i opętany nie kce egzor-cyzmy czytać; ale na to nie koniecznie księdza... może i tak kto po łacińsku umie i zna na książce.

— Pan byś potrafiłby?

— He, czemu nie potrafił, nie takie ja sprawy widział. Aljubowicz zamyslił się głęboko; powoli brnąc po piasku, przebierał się spotniały siwak drogą, na której stał w spokojnem powietrzu tuman kurzu. Zbliżali się już do Wyrwanki. Opowieść o czarach zrobiła na Aljubowicza głębokie wrażenie. Wierzyć nie zupełnie wierzył, ale myślał, że coś w tem jednak jest niezwykłego i nieczystego. Chciał jedynie przekonać się na własne oczy, popatrzeć na parę ludzi zaklęciem objętych i kto wie, może coś na to poradzić.

— Jeżeli to prawda — medytował, — to djabelska sprawa, ani gadania, a w takim razie piękną odwagę okaże ten, kto z taką mocą wojować zechce; co to z szatanem na udry pójść. Ale ja nie lękam się — myślał chętnie, — do spowiedzi chodzę, krzywdy ludzkiej na mnie niema, nie może mieć zły duch do mnie przystępu. A żeby tak jęgo za ogon przyłapać i pannie Pelagji przyciągnąć do progu... nu, rozumie się nie to już samego jęgo, ale tę babę zaczarowaną i odczynić ją w jej oczach, pokazać moc swoją nad takimi rzeczami... to ważniejsze, jak konia ujeździć, albo nocą jezioro przepłynąć... byłaby rzecz na całą parafję, he, na całą gubernję sławna...

— Słysz, Papałajkis — przemówił, — a nie zajechałby ty ze mną do tej Wyrwanki? Obaczym co tam

jest naprawdę, bo wiadomo, babskie gadanie, plewy wiatrem niesione.

— Cemuż? Można — odparł powoli i z namysłem jak zawsze pobożny Papałajkis i ukradkiem przeżegnał się, bo go dreszczyk jakiś przeszedł po krzyżu.

W tym czasie, na dzikiej kolonji Wyrwance było jeszcze smutniej niż zwykle. Zła była dola tych Szczuczków, i ktoby bliżej ich życiu się przyjrzał, to by chyba już nie mógł myśleć, że za taką biedę z nędzą mógł ktoś diabłu duszę zaprzedać. Szczuczka mógł, czemu nie, ładne pieniądze zarabiać, żeby chciał i żeby nie był dziwakiem, ale on, sierota od małego, wychowany u leśnika i za popychadło używany, zdziczał od wczesnego dzieciństwa, jedną rzecz na świecie lubiąc: polowanie. Dlatego nigdy do grosza dojść nie mógł i ożenił się z dziewczyną nie młodą, o której kumy mówiły pocichu, że nią rzuca o ziemię wielka choroba; ale że miała sto rubli posagu i trochę płótna, więc się złakomił.

I przeklinał codzień ten dzień, kiedy się złakomił. Szczuczkowa była jędza nieopisana. Od rana do nocy, żeby mogła, dokuczała by mężowi, a że on mało w chacie siedział, bo żyli głównie z tego, co on upolował lub w sieci nałowił, więc już kiedy wrócił, ona jemu zadawała takiego farnapiksu, aż w mózgu kręciło. Kleła i łajała, aż szybki brzęczały w oknach niskiej, kurnej chaty, a suczka, ulubione stworzenie gospodarza, kudłata Ciula, zaczynała poszczekiwać, jakby bronić chciała swego pana przed ożogiem tej jędzy. Ona jak w impet wpadła, nic nie doradzisz! Dostało się kudłom i suczynki, i mężowskim, aż Szczuczko, długo cierpliwy, jeżeli baba sunęła się bić, brał ją milczkiem za kark i łupił akuratnie, bez złości, ale tyle, żeby jej na dłuższy czas się odechciało. Baba naturalnie ryczała wtedy w niebogłosy,

kleła męża w żywy kamień i odgrażała się tak, że patrząc na jej płonące oczy i wiecznie rozczochrane czarne kudły na głowie, myślał Szczuczko ze strachem, że może go kiedy otruć albo zarznąć w nocy. Ludzi mało widywali na tem odludziu i żyli, można powiedzieć tak, jak sto, czy trzysta lat temu, żyli ludzie tej okolicy leśno-jeziorzystej. W wioskach naokoło już i lampy wszędzie pokupowali sobie ludzie, już i szyby w oknach większe i kominy nauczyli się stawiać, pługami ziemię orać i buty nosić. A w Wyrwance, w długie, zimowe wieczory, błyszczało wśród zadymionej, kurnej izby łuczywo, Szczuczkowa jęklwie śpiewając kręciła żarna podczas kiedy mąż plótl łapcie lub sieci wiązał całemi godzinami nic nie mówiąc tylko mrucząc coś do swojej burej Ciuli, która jedynem była stworzeniem w tej smutnej chacie, mającem wesole oczy i życzliwość do ludzi. Ciula tuliła się do smutnego człowieka i lizała mu ręce, a w zimne noce ogrzewała mu nogi, łaśiła się do gospodyni, od której dostawała daleko częściej kopnięcie w chudy bok, niż co do zjedzenia. Ile razy to dosłyszał mąż, baba dostawała raz w kark pięścią, wtedy rozpoczynała wrzaski, a on brał robotę, cmoakał na swoją Ciulę i wynosił się na cały dzień, a czasami i na parę. Zaszywali się w puszcze z suczką i tam spali sobie w szalasię z gałęzi, piekąc to co upolowali, lub ułowić się dało w sieci, bardzo im było dobrze i rozumieli się doskonale. Szczuczko leżał na mchu, smokcząc fajkę, to drzemiąc, to medytując o sposobach polowania na wszelkie stworzenie leśne i polne, które mogło mu dostarczyć skóry i mięsa, Ciula przewalała się z boku na bok wygrzając pchły z kudłów, albo plując i prychając w nory pod korzeniami i drąc pazurami miękką ziemię pachnącą próchnicą leśną.

Wiadomem było każdemu, a najwięcej Szczucz-

kowej, że jej mąż lubił na świecie jedno tylko stworzenie, ową Ciulę kudłatą; umiał on wogóle przyswajać zwierzęta, w chacie były ciągle jakieś „hady“ jak nazywała, to kruk, to wiewiórka, to łasica, sowa, lis, nawet borsuk jakiś czas hodował się w świronku, wilczka próbował obłaskawić, ale się gryzł z Ciulą i za to go zabił Szczuczka, żałując ulubionej suczki, jedynej pociechy w smutnym żywocie. Kiedy mąż brodził po puszczy, to skacząc po kępach, to godzinami leżąc w jagodniku, zając brusznicę, czernicę, poziomki lub maliny, co tam było dojrzałego, przez ten czas żona rozszoszczona obtłukiwała się po pustej chacie i aż płakała z nudy w tej samotności. Wtedy właśnie zbierała się w niej złość jak woda w zastawie, ale nie miała na kim jej wyrzucić, bo nawet jeśli chciała się z Chałamešką wyklócić o byle co, to musiała ze 2 — 3 wiorsty lecieć.

Więc wszystko zbierało się dla męża i gdy przyszedł, witała go łajaniem takim, że niedługo popasywał. I tak w kółko. Szczuczkowa nie wiedziała już czem mężowi dogryźć i choć wiedziała, że z polowania głównie żywią się oboje, postanowiła pozbawić go ulubionej suczki, ponieważ jej tylko ponury myśliwy okazywał czułość i przywiązanie. Tu pomyślała, tu i zrobiła. Wyprawiła męża po sól do miasteczka, zważyła Ciulę na kawałek chleba i poszła do Chałameški, który jak zwykle stał przy wrotach i węszył, kto i czego idzie drogą.

— Żydzie, wiesz kto najwięcej psuje zwierzyny w lasach pana grafa? — spytała.

— Ny... — zdumiał się Żyd — co nie mam wiedzieć! — przecieże Szczuczka i z tą suczką paskidnicą, co mojej Sorce spodnicę oberwała i mnie chciała ugryźć.

— No, a co dasz, jak ja ją tobie oddam...

— Co to jest... a co ja z nią zrobię, ona mnie zje!?

— Zaprowadź ją do dworu, sprzedaj, stróż ona i gończyca doskonała, podzielim się pieniędzmi, a ten czort nie będzie miał z kim włóczyć się po lesie i zacznie po ludzku koło domu robić swoją robotę.

— Cy, cy, cy, fajny rozum u Szczuczkowej... ale jak zabrać tego psiuka, ona mnie zagryzie — rzekł Chałameško patrząc niewyraźnym wzrokiem na burą sukę, która spoglądała na Żyda z podełba i cicho pokazywała wilcze zęby, gotowa milczkiem ugryźć.

— Ja ją podprowadzę do leśniczówki i przywiążę sznurkiem do płotu, a potem leśnik da jej w łeb i po wszystkim, mężowi powiemy, że pewnie zastrzelił ją w lesie, bo goniła zwierzynę i ty tak mów. Powiedziano, zrobiono!

Kiedy uwiązana za szyję psica rwała się na sznurze i wyla jęcząc i lamentując, Szczuczkowa uciekła pędem, bo czuła, że męczy i na śmierć oddaje pocziwe, wierne zwierzę, żywicielkę ich obojga. Ale taka była zawziętość w tej babie, że wołała sama cierpieć, aby mężowi dokuczyć. Paskudny miała charakter, o tem wiedział każdy, kto z nią choć trochę pobyl, a mąż biedak najwięcej.

Wróciła do chaty, niedługo i Szczuczka nadszedł. Wyłajała go jak zwyczajnie, że długo siedział, a on zaraz zaczął się rozglądać i gwizdać.

— Gdzie Ciula? — spytał.

— Musi polować pobiegła do lasu, szelma, ale ci nie koniec jej przyszedł, bo słyszałam jak goniła, potem bach, bach, dwa razy i skomlenie, a wiem, że leśnik dziś po lesie chodził — wytłumaczyła jemu ze złością. Szczuczka jak był chudy, wysoki czarniawy, tak wstał i posunął się do baby, blady cały,

— Co ty, co ty durna szczekasz, gorzej od

suczki! dlaczego ją kto strzelał?... Cóż to za moda... cudzego psa... gadaj!.. wrzasnął wstrząsając ją za ramię.

— Odczep się ty czorcie... idź, idź spytaj Chałameśki, on wie co leśnik zastrzelił... idź idź — narażała się.

Szczuczka nic nie mówiąc ruszył do drzwi, a kiedy wrócił za godzinę, był bardziej ponury i dziko patrzący niż zwykle. Siadł w kącie na ławie, głowę podparł i nie ruszył jedzenia, które mu, dziwna rzecz, bez zwykłego hałasu postawiła żona. Ale kiedy podsuwała mu misę, namawiając by jadł, chwycił cały garnek z botwiną, trzasnął o ziemię i dzikim głosem rzekł do wystraszonej żony.

— Babo przekłeta, to twoja robota, że mojej suczynki niema... dobrze... chciałaś... teraz ty będziesz za suczkę służyć... popamiętasz ty, czekaj...

Nazajutrz po tym wieczorze znalazły właśnie idące na odpust kobiety jęczącą Szczuczkową i dowiedziały się od niej, że ją mąż w suczkę na noc zamienił..... Jak to było, jak się odbyło?!

Nie rozpytywały o to, bo strach wypędził je z chaty czarownika nie swoją mocą. Teraz właśnie, gdy Aljubowicz i Papałajkis zbliżali się do Wyrwan-ki, ponury Szczuczko siedział na progu chaty z głową w rękach i kiwał się jak pijany, słuchając stękania żony. Sam nie wiedział, co z sobą robić? Polować bez psa było nudno i tak mu świat obrzydł, że zdaje się poszedłby i obwiesił się gdzie, choć i tej babie przekłetej pod nosem, na złość za jej pohanne postęпки. Ale jakoś strach i wstyd duszę gubić za psa. Pomedytował, powzdychał, popatrzał na zachodzące słońce, zajrzał do chaty i ostrym głosem zawołał do żony.

— Czekaj, czekaj, nie przewalaj się w pościeli, tylko ciemno stanie, pójdziesz i znów po krzakach, mnie

zwierzynę napędzać; będziesz za suczkę służyć co noc, co noc, aż z ciebie albo dechy wyjdą, albo złość wytrzęsiesz gdzie na stepach; Ja ciebie nauczę! I nie słuchając, jak zaczęła wyklinać, zabrał strzelbę i cicho sunął na swoich lipowych łapciach, zaraz wlaższy w gąszcze i kierując się ku jezioru, gdzie zastawił bucze przy rzece w ajerach. Właśnie zaraz potem jadący zbliżyli się do opuszczonej siedziby. Przywiązawszy konia do płotu, odważnie weszli, Papałajkis coś mruczał pod nosem po łacinie, bo nie był zupełnie spokojny, Aljubowicz nadrabiał miną, ale widział czarną kozę i kota, kruk tylko gdzieś spał pochowawszy się na noc, więc co do zwierząt było tak, jak baby gadały. A z temi czarami? Nic nie wiadomo i to było najstraszniejsze. Pomaleńku wleźli do chaty. Cicho tam było, jakby i żywego ducha nie zostało.

— Czy jest tu kto? — spytał odważnie Aljubowicz.

— Ooojoojooj! jest, suczka Szczuczki nieszczęsnal z żony w suczkę obrócona, w suczkę! — jęczeć zaczęło coś w kącie.

Choć i mężczyźni, dreszcz po nich przeszedł...

— „A słowo stało się ciałem”, — szepnął Papałajkis żegnając kąty i szepcąc ministranturę po łacinie, jako że djabeł bardzo tego języka, w którym się Msza Święta odbywa, nie lubi.

Ale Aljubowicz nie mógł długo się czegoś lękać, może tam były jakie czary, za to, ani przeciw ręczyć nie mógł, ale o tym sekrecie musiał się dowiedzieć koniecznie.

— Co Szczuczkowa gada? Proszę nam powiedzieć wszystko, jak było, a może coś poradzim, — rzekł ostro.

— Ach ludzie, zmiłujcie się, na ojca, matkę zaklinam, zabierajcie mnie stąd, bo ten czort mnie zgubi z duszą, z ciałem! Weźcie, wieźcie, dokąd chce-

cie, ja będę za sługę, za pomywaczkę, ale niech ja z tego przeklętego miejsca wyjadę, bo on mnie tu zabije.

I Szczuczkowa rozgorączkowana, wółprzytomna, bo ją febra wieczorem gorzej trzęsła, wyskoczyła w koszuli z łóżka, i rozczochrana, czarna, z płaczem i krzykiem rzuciła się stojącym do nóg i zaczęła tarzać się wprost po ziemi, obejmując im buty. Papałajkis długo potem opowiadał, że jednak ona nie swoim głosem skowyczała i że najwyraźniej czuł jakby gorące, djabelskie pazury przez cholewy, tam, gdzie ona dotknęła, ale ponieważ był obyty z niezwykłymi sprawami tego świata i naczał się o opętanych, więc na widok kobiety rzucającej się po ziemi, jak ryba po lodzie, przeżegnał ją kilka razy, zawsze po łacinie, a potem rzekł z miną ważną:

— Ona musi opętana i nic więcej, a może i Walentego koroba, przyrzuciwszy się, tak jo tarmosi, nic nie będzie, tylko kiedy kcesz Pan Nikodem duszę krześcijańską ratować i zasługa Bogu okazać, to zabieraj ją na wózek i potaszczyj do plebanii. Jak proborszcz obaczy co z niej wyrabia się, to i uwierz, koć on na te sprawy niedowiarek.

— A czy wiesz pan co, że rozumnie gadasz, — rzekł Aljubowicz, który wierzył w to, co Papałajkis mówił, bo to były z książek wiadomości, bedzim ją brać i koniec, a okaże się, że tak tylko, ludzka choroba, to jeszcze lepiej, niechaj sobie u mnie poleży, pozdrowieje, chleba u mnie dość.

— Wstawaj duszo zagubiona, zatracona, zakłeta, przyszli bliźni twoi, krześcijanie dobre, ratowniki twojej duszy nieszcześnie, kodź z nami, my ciebie od szatana obronim, słowem bożym zlecym, — zaczął przemawiać uroczyście Papałajkis do stękającej i kulającej się po klepisku chaty kobiety. Ona przysiadła i podniósłszy głowę wlepiła w nich oczy strasznie

czarne, wpadnięte, błyszczące, z pod czarnych, rozkudłaczonych włosów. Uspokoila się trochę, ale nie wróciła jej zupełna przytomność.

— Ach zabierajcie, zabierajcie mnie stąd! — Jęknęła i znów potoczyła głową po ziemi.

Prawdę powiedziawszy, obaj dobrodzieje nie zajmowaliby się z pewnością obcą, chorą babą, żeby nie ta dziwna historia z zaklęciem. Ale obaj byli ciekawi do wszystkiego czego, a Papałajkis tyle się naczał o czarach, opętanych i zaklęciach, tyle razy rozmawiali o tem z Aljubowiczem, że teraz ciekawość ich piekła przekonać się nareszcie, czy to być może naprawdę?

Wzięli więc pod pachy Szczuczkową, włożyli na nią jakiś burnus, chustką głowę owinęli, na wózek podsadzili i jadą. Jadą prędko, wieczór już zapadł, ciemny, bo chmury jakoś gromadziły się na niebie i wiatr duszny przelatywał, jakby ziemia gorączką dyszała.

Konik prychnął w kurzu, Szczuczkowa jęczała i stękała, a oni medytowali. Nagle Aljubowicz zaśmiał się na całe gardło, aż echo w borze też się zaśmiało.

— A ot co ja pomyślał! Jak Szczuczka wróci do chaty, żonki nie najdzi i dowie się, że ona u mnie, to gotów pomyśleć, że ja ją sobie upodobał, chwycił dla kochania się, cha, cha, cha, czarownicę taką!

— Przestań, nie narażaj się złemu duku, bo cokolwiek może przylepić się, lepiej różaniec odmawiać, — odparł Papałajkis, który szeptał pacierze, przygładając się Szczuczkowej z podelba.

Ale pan Nikodem zamyślił się nad tem, co powiedział... a broń Boże ludzie coś głupiego rozniosą na językach i p. Pelagja pomyśli czort wie co?

I przytem ot, żeby ona mogła też taką sztukę zobaczyć, jak z tej baby coś robi się na noc?... Wła-

śnie i jadą blisko zaścianka Inturki, gdzie państwo Czupczyńscy, krewni Borowskich mieszkają i gdzie piękna Pela miała być po feście.

— Ot i okazja zobaczyć tego aniołeczka. Nic innego, tylko trzeba tam zajechać i okazać się tak odważnym kawalerem, jakiego i w okolicy niema.

W tymże momencie właśnie wyjechali z lasu i zapachniało kwitnącą koniczyną od łąk, Szczucz-kowa zaczęła rzucać się i jęczeć coraz więcej i głośniej. Mężczyźni uspakajali ją jak mogli, ale nic nie poradzili na tę jakąś moc, co biedną babę rzucała i tarmosiła, naprawdę jakby w niej djabeł siedział. Wiła się i kręciła w ich rękach jak nadeptana gadzina, a wrzeszczała, zupełnie jakby pies szczekał i dwum odważnym zuchom gorąco się robiło na myśl, że kto ją wie? A nuż w jakimś momencie, bardzo mocno ją czort do lasu zawoła i ona suczką obróci się w ich rękach, może ukąsi? I pójdzie! na wody, na bory, ogon zadarłszy!

A kiedy zaglądając jej w twarz, zobaczyli wywalone białka, wyszczyrzone zęby, którymi zgrzytała jakby orzechy gryzła i pianę na gębie, mróz im przeszedł po kościach i pożałowali, że wleźli w taki pas-kudny interes. Ale choć mieli ochotę wykinąć babę nad rów i uciekać nie oglądając się, to nie mówili nic o tem, bo im było wstyd jeden przed drugim. Widzieli jednak, że dalej jechać trudno, to też kiedy zabłyśły światelka i doleciały poszczekiwania psów w Inturkach, Aljubowicz rzekł stanowczo:

— Wiesz pan co, trzeba nam zajechać do Czupczyńskich, może jej choć jakich ziółek dadzą, czy obrazem świętym przeżegnają, bo my nie doradzim jej... i jakoś już bardzo przeciwnie takiego... po nocy ze sobą taszczyć.

— Tak to tak, ale komuś na kark zwalić taki fant, myślisz pan, że wpuszczą? Jaby nie wpuścił —

rzekł Papałajkis, który aż spotniał, tak trzymał rzucającą się babę. — Tak od niej ogniem idzie, że ja przez odzienie czuję... ta gdzież do stancji, a Boże strzeż!

— Gorońco od baby idzie? Tak i powinno być, a? Pan Papałajkis, cości, ci nie przypomniał kawalerskie lata swoje, a? — zaśmiał się wesoły pan Nikodem.

— Tfu, zgiń ty, przepadnij! Przestań pan z takimi żartami... a to jak widzisz, cokolwiek przy-czepli się do kogo z nas...

— Tak niema co, trzeba gdzieś popasać, ja nie będę rozumie się zajeżdżać z nią w gościnę, ale konia postawię koło świronka, a sam pójde poradzić się.

— A ze mną coź będzie? — jęknął Papałajkis, — nie już ja sam będę z nią tarmosić się pociemku?

— Ot, minutkę tylko, lepiejże panu jak mnie! Ja do djabła nie umiem po łacinie gadać, a pan jak proborszcz potrafisz...

Mruczał Papałajkis, ale rad, że jego mądrość chwalili, zgodził się popilnować konia i baby; już i dojeżdżali. Ludzi nie spotkali, bo tam wszyscy po powrocie z kiermaszu jedli kolację; widać było przez szyby dworów, których w okolicy szlacheckiej Inturki było pięć czy sześć, że siedzą koło stołów, przy lampie i posilają się z apetytem. Świronek Czupczyńskich stał, jak i wszystkie, naprzeciw ganeczku na słupkach; naokoło rosły jakieś krzaki, dalej była obora i gumno.

Aljubowicz wyskoczył z bryczki, przywiązał konia i poleciał do środka domu. Kiedy drzwi otworzył i zobaczył całą rodzinę Czupczyńskich i państwa Borowskich z córkami, zapomniał o całej historii ze Szczuczową, bo śliczna panna Pela na jego widok krzyknęła i zaśmiała się.

— Ot Pan Nikodem! I strachu narobił, tak wleciał, ja myślałam, że jaki rozbojnik drzwi wywalił, a to Pan... ot już nie ładnie.

— Na skrzydłach ja tu leciał i doleciał, gołębiem, czy jastrzębiem, jak panna Pelecza myśli? — pytał półgłosem wesołej dziewczyny, która drażniła się z nim, ale widać było, że go lubi i rada, że przybył niespodzianie. Wszyscy mówili, witali się, wspominali kiermasz, Czupczyńscy zapraszali do stołu, tak że dobra chwila minęła, a o Szczuczkowej niezręcznie jakoś było wspominać. Nawet już i siadł p. Nikodem koło panny Peli, a panna Jadwińka, młodsza jej siostra, figlarz wielki, skreśliła dwie gałeczki z chleba i pytała uszczęśliwionego Nikodema, którą woli, a gdy medytował chwytając się za czub, trącała siostrę, śmiejąc się do rozpuku. Myślał sobie młodzieniec: — „Głupstwo, postoi Papałajkis, baba uspokoi się, a potem ja powiem, kiedy będzie polityczniej“.

Aż tu nagle, właśnie kiedy mówił p. Peli, że ma dla niej taką nowinę, że ona oczki swoje piwne wytrzeszczy, z dziedzińca doleciał krzyk Papałajkisa: — Ratujcie bracia Krescjany! — jakieś skowyty, gon, zupełnie psiaczy, aż pobudziły się psy w zaścianku, i rwąc się na łańcuchach, gwałt podniosły piekielny, wyjąc i szczekając. Wszyscy zerwali się przestraszeni i Aljubowicz zaledwie powiedział, kogo tam wiezie na kałamażce, kiedy już kto żyw z chaty leciał, tłoczając się na ganeczek, oglądać te dziwy. Ale tam stanęli wszyscy jak wryci, bo koło świronka działo się coś zupełnie paskudnego: Papałajkis trzymał rzucającego się ogiera za uzdę i prawie z płaczem krzyczał:

— Ratujcie! Skoczyła i poszła, tu w krzakach, koło świronka, i musi już przemienia się w suczkę, bo ot, ot, słuchajcie!

Każdemu dechy zaparło! Prawda, koło świronka coś ruszało się i tarmosiło, babskie jęczenie i suczyne skomlenie było słychać.

Pani Czupczyńska zaczęła gwałtu krzyczeć, męża za szyję chwyciwszy, inni szeptali pacierze, najodważniejszych mróz chwycił za żebra... Tylko pan Nikodem, śmiejąc się, ruszył naprzód. Co jego teraz obchodziły jakieś czary! Lepsze on czarodziejstwo czuł na sobie od tych ślicznych piwnych oczu i czerwonych usteczek, co go przywitały tak mile. Samego Lucypera z piekła by za ogon jej przyciągnął, tej Borowszciance, a nie babę w suczkę przemienioną. Ciekawość go przytem aż zapiekła. Prosto skoczył w stronę świronka, ale... kiedy pochylił się rozgarniając krzaki, ze skowitem i szczekaniem, skoczyło ku niemu... naprawdę kudłate stworzenie, prawdziwie pies, czy suczka!.. i ujadając, przysiadając na łapach i broniąc dostępu do kąta przy schodkach świronka.

— Jezus! A ot i jest Szczuczkowa w suczkę zaczarowana, patrzajcie, ratujcie, gwałtu, uciekajmy, Boże ratuj — takie głosy słychać było na ganku skąd wszyscy rozbiegli się w prawo i w lewo, popychając jeden drugiego, wrzeszcząc co sił, zupełnie nieprzytomni. Zostali tylko Papałajkis, który wtulił głowę w grzywę końską i szeptał wszystkie egzorcyzmy, jakie pamiętał, Aljubowicz i panna Peli. Dziewczyna nie zlekła się niczego, tyle się już nauczyła w Wilnie, że nie wierzyła w czary, ciekawa była, a przytem obok pana Nikodema nic jej się stać nie mogło, tego była pewna. A pan Nikodem, widząc jej odwagę, krzyknął tylko: „panno Peleczo proszę się nie lękać, ja obronię od wszystkiego“ i kopnąwszy nogą ujadającą psicę, zajrzał pod krzaki, prawdę mówiąc niezupełnie pewien, czy tam jeszcze gdzie leżąca babę? Czy też może to prawdziwie ona

skacze koło niego, trzęsąc czarnemi kudłami i dobierając się do jego spodni?

Ale Szczuczkowa leżała skrzycona w kłębek i pewnie zemdląta, koło niej zaś, liżąc jej twarz i te ręce, które ją tak często kijem łupily, łasiła się skomląc, pocziwa Ciula, chuda, z bokami zapadłemi i kręciła kołtunowatym swoim ogonem. Zaraz też p. Nikodem, zrozumiałwszy, co się dzieje, zaczął się tak śmiać serdecznie, że aż łzy kapaly mu z oczu.

— Ludzie, wracajcie — zawołał. — Panno Peleczo, aniołku mój śliczny, nijakiego tu czarnoksięstwa niema! Toż to gończyca tego Szczuczki przyłeciała skądys i swoją panią odnalazła, a ta leży biedniśka bez ducha.

— Przynieś pan wody, ja po ocet pobiegnę — odrzekła Pella, dotykając rąk i głowy Szczuczkowej — obwiążemy jej czoło, a potem wieź ją pan do szpitala, bo to może być tyfus i do domu krewnych moich nie można jej wnosić, bo to może być zaraźliwe.

— To i nie dotykaj jej rączkami swojemi, moja królowo. A Boże! jeszcze ja durny swojemi żartami biedę na panną Pelę naprowadzę, toby ja utopił się...

— Nie gadaj pan głupstw, nie każdy tyfus zaraźliwy, a ja ręce wymyję... A pan w tę zaklętą suczkę też z ciemnoty wierzył? spytała z groźną miną, ale widać było, jak jej się śmiać chciało.

— Prawdę powiedzieć, nie zelgać, to minutkę wierzyłem. Jak wyskoczyła na mnie z krzaków...

— Ale szedł dlatego, nie lękał się...

— Ot... wielka ważność, toż panny Peli trzeba było bronić... a ja i tak nielekąjący się...

— Ja lubię, żeby kto nie lękał się niczego, mówiła panienska patrząc mu w oczy.

— To mnie lubi troszeczkę? spytał pochylając się ku niej.

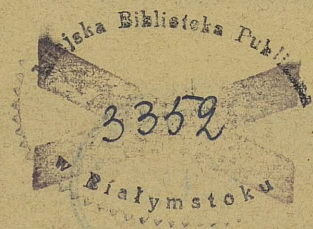
— At... już tego nie powiem, że nie lubię...

Tak sobie młodzi wesoło gawędzili przy słupkach ganeczku, korzystając z tego, że wszyscy wrócili, widząc, że nic złego się nie dzieje; wsadzono chorą babę na kałamażkę, obwiązywano jej głowę, gadali wszyscy jedni przez drugich o tem zdarzeniu, a najwięcej Papałajkis, który spływał ze złości na Ciulę, rozżalony, że na zwykłą, naturalną sobakę, tyle łacińskich słów wyrzucił, jakby na samego posłańca szatańskiego. Młodzież, pękając ze śmiechu, opowiadała sobie, jak to lecieli, przewracając się i tłocząc w ucieczce od zaczarowanej suczki. Zeszli się i sąsiedzi i kręcili głowami na takie zdarzenie. Czupczyńska mówiła mężowi, że pewnie krople walerjanowe brać będzie, tak ją wstrząsnęło we środku z przestachu. Ciula liżała ręce dzieci, bo ją karmiły chlebem i wyciągała nos, wietrząc w stronę lasu, gdzie pewnie łaził lamentując za nią jej pan, do którego chciała dobiec jaknajprędzej, żeby go pocieszyć i znów polować razem, a tu trzeba było i żony jego dopilnować...

Długo, długo potem wioski i zaścianki okoliczne lubiły ze śmiechem opowiadać o suczce Szczuczki.



3352





3352